

AGNIESZKA KACPRZYK

Klinika kuciel

Życie to jest teatr, mówisz ciągle, opowiadasz;
Maski coraz inne, coraz mylnie się nakłada;
Wszystko to zabawa, wszystko to jest jedna gra...
Edward Stachura

OSOBY:

Ewa (Ruda)

Robert (Błękit)

Gruszka

Krzysiek (Makaron)

Kasia

Patrycja

* * *

z retrospekcji:

Ameli

Sofia

Kratka

Melik

I PODRÓŻ

Zdjęła buty i podkurczyła palce, podciągając kolana pod brodę. Ulubiona pozycja, która daje poczucie bezpieczeństwa. Zawsze można schować tam głowę, wcisnąć się w ciepło własnego ciała, zamknąć oczy i udawać, że nas nie ma. Można nawet udawać, że ma się cztery lata i zaraz ktoś zdejmie z nas ciemność i krzyknie: „a kuku!”. Można. Ale teraz wystarczy okryć się izolującą osłoną, o którą odbijać się będą śmiechy i gwar przedziału. Jest jedną z nich, lecz nie należy do kręgu. Nie czekała na ten wyjazd miesiącami, nie ustalała tras, nie żyła planami i monotonnym odliczaniem dni. Pojechała tylko za namową Kratki. Ta podróż to rodzaj misji, koleżeńskiej przysługi, tak dziecinnej, jak i głupiej, że szkoda o tym gadać (czego się nie robi dla przyjaciół), ale jednocześnie pretekst, aby mieć czas dla siebie, przestać gonić i poczekać na własną duszę - zagubioną w szalonym tempie i gorączce wiecznego pośpiechu.

* * *

Ostatnie spotkanie z Kratką. Rozstanie na Victoria Coach Station w Londynie. Przesadna troskliwość Kratki każe jej odprowadzić Ewę do samego autokaru. Przez dworzec przepływają tłumy polskich robotników, wracających do kraju z kieszeniami wypchanymi zwitkami mozolnie wypracowanych funtów i z twarzami, których nic nie zdoła zadziwić ani zaskoczyć; są puści w środku niczym woskowe figury z muzeum Madame Tussaud. Jadą do swoich rodzin, do bliskich, którzy mogą okazać się dalecy, do współmałżonków dzielących sypialnię z kimś innym oraz do dzieci - przegapionych w młodzięcym rozkwicie. W ich dziecięcej pamięci zatarły się już rysy dawno niewidzianego rodzica. Ojca na telefon, matki z sercem włożonym do paczki na święta lub w kopertę z czekiem. Niewielu jest w tym zalewie

studentów pracujących w Anglii dorywczo, sezonowo, dorabiających na kurs języka, podyplomówkę, prawo jazdy.

Po wejściu do Unii to właśnie Polacy do spółki z Hindusami, Arabami i uciekinierami z Czarnego Łądu całkowicie opanowali północny Londyn, wynajmując liche, zatęchłe mieszkania i żywiąc się fasolką w pomidorach za dziewięć pensów oraz brzoskwiniami w puszcze za pięć, dostępnymi jedynie w zatłoczonym Netto.

Ewa wracała po dwóch miesiącach pobytu, dwóch miesiącach szaleńczego poszukiwania roboty i morderczej tułaczki po rozmaitych noclegowniach - miejscach przygodnych znajomości, przypadkowych kontaktów, miejscach, gdzie spotyka się cały przekrój ludzkiego gatunku. Wystarczający czas, aby nasiąknąć lekko przegniłą atmosferą emigracyjnych komun, przytyć sześć kilo na wykradanym z knajpy fast foodzie, przekonać się, że co drugi napotkany Polak pochodzi z Sokółki i szczyci się dziarą smoka albo tygrysa. Jednak póki, pozostawione tylko sobie, razem z Kratką wspólnie przedzierały się przez londyński busz, póty tęsknota za krajem czaiła się jedynie gdzieś w podświadomości, ale niebawem Kratka poznała muzułmańskiego kucharza, z którym nawiązała romans przy okazji nadziewania krwistych strzępów mięsa przeznaczonych na kebab w marokańskim coffee shopie przy Old Street. Ich znajomość rozwinęła się w tak zawrotnym tempie, że po miesiącu doszło do zaręczyn, a datę wesela wyznaczono na czas wakacji z uroczystością w jego rodzinnym mieście. Ten pośpiech oczywiście nie był konieczny, ale, jak twierdziła Kratka, wyrażał temperaturę ich związku - wyjątkowego, wymykającego się szablonom i stereotypom - na całe życie. Bo on był jedyny w swoim rodzaju. Gorący południowiec, racjonalny Brytyjczyk łączący marokański tradycjonalizm z europejskim postmodernizmem. Tu nie mogły pomóc

zdroworozsądkowe argumenty, a wszelkie głosy krytyczne kończyły się fiaskiem i chociaż intuicyjnie Ewa czuła powiew nadchodzącej katastrofy, postanowiła się wycofać. Może Kratka potrzebowała jedynie coś sobie udowodnić po tamtej historii? Po wydarzeniu, w którym sprowadzono ją do roli nadmuchanej lali?

- Gwarantuję ci wyśmienitą zabawę! Oni nie są normalni, ale mają swój urok! - Kratka, zwinąwszy dłonie w trąbkę, przekrzykuje warczący już autokar, gdyż kierowca ma zwyczaj zapuszczać silnik kilka minut przed odjazdem. - A przy okazji oddasz mi przysługę, za którą będę ci dozgonnie wdzięczna. Tylko jedź z nimi. Jedź! Proszę!

Zdążyły się jeszcze uścisnąć, Kratka zeskakuje ze stopni autokaru, macha jej szeroko i chwilę później autobus Star - Tourist brodzi wśród tysiąca innych pojazdów po kolorowych ulicach stolicy.

* * *

Dochodziła północ. Czarna jednolita powierzchnia okien wiernie odbijała życie wewnątrz pociągu i tylko rzadkie światła migotały sporadycznie, zostawiając na gładkim szkłe jasne pastelowe smugi. Wewnątrz panował gwar. Dopisywały nastroje. Ona wciśnięta w kąt przedziału, oni w ruchu, śmiechu, tańcu gestów i mimiki. Strzelały korki od butelek, dzwoniło szkło, kapsle dryfowały po pochyłej podłodze. Śmiechy i rozmowy zagłuszane były brzdąkaniem gitary, a po korytarzu tłocznie przemieszczały się rozmyte sylwetki z misją zarażenia swoim entuzjazmem choćby i połowę składu. W miarę upływu czasu za oknem przybywało pomarańczowo rozjarzonych punkcików, aż wreszcie na horyzoncie ukazała się rozległa luna unosząca się nad miastem. Dojeżdżali do Krakowa. Dopiero rano mieli być w Przemyślu, aby stamtąd ruszyć na wschód. W góry.

Usadowiła się w pozycji obserwatora. Do sekcji turystycznej UAM należała krótko. Nie знаła ich dobrze, a nigdy nie zaliczała się do osób, które na pytanie: „co u ciebie?” gładko opowiadają historię swojego życia, zdobiąc ją intymnymi detalami, aktualnymi problemami serca, pracy czy zdrowia. Panujące tu egzaltacja, entuzjazm i euforia wprawiały ją w lekkie zakłopotanie, bo sama wykorzeniła je tak, jak wyrywa się mleczone zęby, aby w ich miejsce wyrosły te, które przystosowane będą do dorosłego życia - mocne i twarde. Do miażdżenia orzechów, otwierania butelki w parku, rozgryzania problemów i gryzienia się w język.

- I spójrz. Tu jest trasa. Kompletna dzicz. Wyobrażasz sobie, jaki odłot? Totalne oderwanie. Nie wiesz nic przez dwa tygodnie. Zero telewizji, Lata z Radiem, muzyki, nachalnych billboardów i telefonów - na kartę, abonament, mix. Ty i przyroda. Dźwięki natury, czyste obrazy, naturalne smaki. Prawda nietknięta palcem cywilizacji. To niczym podróż wstecz wehikułem czasu. - Gruszce nie zamykały się usta.

Gruszka wydał się Ewie świetlisty. Widziała to w oczach - ogromnych i tak intensywnie niebieskich, że można by maczać w nich pióro i czerpać jak z kałamarza. Potem uwagę przykuwała sylwetka - długa, chuda, o kościach grzechocących pod cienką, spaloną słońcem skórą.

- Nie wiesz nic. - Błękit pociągnął duży łyk piwa i zagryzł kabanosem. - Wyrywasz się z medialnego bagna. Nie wiesz, kogo posadzili, co wysadzili, kto komu wsadził. To się nazywa wolność.

- Zobacz - Gruszka wskazał szerokim palcem o obgryzionym paznokciu punkt na mapie - stamtąd jeździ kolejka w góry, którą dotrzemy do strategicznego miejsca.

Jego gesty rozsadzała moc, tak jak i mimikę - żywą i w ciągłej transformacji, i nawet jego skóra wydzielala charakterystyczny zapach, kiedy w żyłach, zamiast krwi,

pulsuje adrenalina. Hormon strachu i podniecenia, czyli tych uczuć, które ona starała się kontrolować, uważając je za szkodliwe i zgubne. Bądź silna, wytycz granice, nie ufaj ludziom, bo i tak cię wykorzystają, kiedy tylko odkryją twoją słabość. Nie płacz. Płacz czyni cię bezbronną i nieodporną na ciosy. Tracisz wyrazistość. Nie okazuj złości. Przez złość przemawia bezsilność. Nie bądź zbyt wylewna, radosna, entuzjastyczna, bo kiedy spadniesz, bardziej zaboli. A zatem graj. Tylko gra sprawi, że zachowasz siebie. Graj maską, a kiedy wrócisz do domu, zdejmij ją i przejrzyj się w lustrze. Widzisz? Twoja twarz została nienaruszona - żadnych ran, blizn, tylko odciski po masce, ale i one zejdą. Za chwilę, jutro, kiedyś, nigdy. Nauczyła się być nijaka, żeby pozostać sobą. Potem również w środku stawała się obojętna, przezroczysta, stąpająca po ziemi w lunatycznym śnie. Rzadko odczuwała prawdziwą fascynację czymkolwiek, a wszystko, co robiła, było wyłącznie dziełem przypadku. Zarządzanie i marketing na Akademii Ekonomicznej z racjonalnych pobudek - aktualnego zapotrzebowania na rynku (ojciec kpił, że po studiach w rubryce „zawód” wpisze sobie: dyrektor), pasja teatrem zainspirowana przez dziadka, a teraz za namową

Kratki sekcja turystyczna.

Może dlatego fascynowali ją pasjonaci, kolekcjonerzy, ludzie o wyraźnie sprecyzowanych zainteresowaniach. Gruszka na takiego wyglądał. Wiedział wszystko i zabierał głos na każdy możliwy temat. Zaopiekował się nią już na dworcu, przedstawił wszystkim i nie odstępował ani na krok, mimo że nie była najwdzięczniejszym towarzyszem. Niezrażony jej małomównością, wprowadzał ją w tajniki sekcji anegdotami o poszczególnych osobach - zblazowanym Błękiecie, na którego temat miała już wcześniej wyrobioną opinię, Pati przypominającej krzyżówkę lisicy i anakondy oraz bez ustanku gruchającej parze - Kaśce i Makaronie. Ci ostatni

studiowali na Wydziale Fizyki, mieszkali razem w akademiku i prowadzili zaciętą rywalizację. Ale wyścigowi projektów, ocen i aktywności naukowej nieodłącznie towarzyszyło przesadnie słodkie ćwierkanie, jedzenie sobie z pyszczków tak kiczowate i urocze, że Ewa nie mogła oderwać od nich oczu - rzucając mimochodem dyskretne, ukradkowe spojrzenia. Pomiedzy jednym a drugim pocałunkiem dyskutowali o doświadczeniu Schrodingera:

- Kot zamknięty w pudle jest jednocześnie żywy i martwy. - Makaronowi z przejęcia wystąpiły na czoło sine żyłki.

- Jest żywy, dopóki nie wystrzelił pistolet - upierała się Kaśka.

On przewracał oczami, ona robiła minę obrażonej księżniczki.

- Chodzi o to, że - Makaron objaśniał z anielską cierpliwością - ludzka percepcja pozwala dostrzec tylko makroskopowe stany alternatywne i tak jak mówisz, kot żyje do momentu wystrzału pistoletu, a potem jest martwy. Tymczasem na poziomie cząstek elementarnych kot jest jednocześnie żywy i martwy.

Żywy i martwy. Dobry i zły. Piękny, brzydki, słodki, gorzki. Kontrasty, bez których nie można wyobrazić sobie świata, kontrasty, bez których nie byłoby wartościowania, oceny, marzeń, dążeń. Kontrasty, które budują tożsamość, wyznaczają cele. Ewie przypomniał się film Lyncha - tajemnicze duety, podwójne wcielenia, dwie różne kobiety - drapieżna i delikatna, a jednak podobne rysy, przenikające się historie, splecione ze sobą osobowości. Zawikłane sekrety, podróż w głąb jaźni, erupcja czystej fantazji i nieustanne ścieranie się biegunowo odmiennych pierwiastków. To były jej opowieści. Nie te cholerne brazylijskie telenowele, w których czarno - białe postaci prowadziły grę, aby wreszcie w

finale zwyciężyło czyste dobro. Nie biblijne stories, gdzie źli się nawracają, a dobrzy schodzą na pokrętne ścieżki, aby ostatecznie i tak wrócić do stóp Boga. Lubiała zło i dobro naraz, w symbiozie, ekscytującej mieszance bycia człowiekiem. I ta filmowa scena erotyczna kociej blondyneczki i tygrysy brunetki. Kochała kontrasty. Sama zaś sytuowała siebie gdzieś pomiędzy. W nijakiej sferze burego koloru. Marzyła, aby mieścić w sobie sprzeczności. Słaba, ale udźwignie. Nie ma głowy na karku, to będzie ją miała... Nie wie, po co ta śrubka, ale zbuduje most. Kucharka i miłośniczka piłki nożnej, głupia blondynka z Ulisesem pod pachą, naiwno dziecięca, ale z doświadczeniem. Nieświadomie dążyła do ideału wytworzonego przez patriarchy, ucywilizowanych samców, którzy marzą o tym, aby mieć przy sobie zwiewnego, rachitycznego motyla i jednocześnie ciepłą pracowitą pszczołkę. Ilekroć myślała o sobie, widziała bezkształtną masę o słabym charakterze i z kłębowiskiem kompleksów. I do tego mysio rudą. Nie czarną, nie blond lub chociażby świeży kasztan czy orzech, ale jak zwykle gdzieś pośrodku - zwyczajnie rudą. Jej rudy nie był pomarańczem Pippi Langstrumpf ani marchewką Ani z Zielonego Wzgórza czy ogniem Zolowskiej Nany - lecz najpospolitszym i nieopisanym dotąd w literaturze mysio rudym. Pewnie dlatego scenę z tamtego filmu, oglądaną samotnie w tłumie upchniętych jak sardynki studentów w sali wykładowej w Collegium Novum, gdzie odbywał się DKF, znała na pamięć: klatka po klatce. Potem w jakiejś kolorowej wiarygodnej gazecie wyczytała, że jednym z hobby reżysera jest kolekcjonowanie żeńskich organów rozrodczych, które przechowuje w swojej lodówce. To się nazywa chęć dogłębnego poznania kobiety!

Tymczasem Gruszka autorytatywnie zarządził rozejm w sprawie pudła, kota i pistoletu. Wyklął Schrodingera za

mącenie atmosfery w gronie ludzi żądnych relaksu i niechętnych enigmatycznym dla laików, naukowym dysputom. Przyszli nobliści umilkli urażeni, a Ewa wtuliła się mocniej w narożnik przedziału, czekając, aż Gruszka przygasi światło, i obserwując spod przymkniętych powiek, jak szczerze okrywa się polarem.

- Czas na drzemkę, żeby jutro jakoś funkcjonować - mruknął jeszcze spod kaptura.

Makaron zarygłował drzwi skórzanym pasem, aby nie padli ofiarą „pekapowych” typów spod ciemnej gwiazdy, którzy racząc podróźnych gazem usypiającym, mieli zwyczaj w najlepsze plądrować ich nesesery, plecaki i torby. W przedziale zapanowała przyjemna cisza. Pociąg klekotał i trzeszczał, sunąc po wyboistych strunach szyn. Kołysało miarowo i nawet niedomykające się okno opadało i podskakiwało w rytm melodii torów. Ewa podwinęła nogi i oparła głowę na zielonym skrawku. Dostała ten sweter od babci na wypadek mrozów. Ileż musiała wyjaśniać i tłumaczyć, że nie w każdym górze latem na szczycie leży czapa śniegu, a wędrowka wcale nie musi przebiegać wzdłuż przepaści, w których giną miliony lekkomyślnych turystów. Dla babci góry pozostawały górami. Koniec, kropka, basta, fin. Wyjazdu nie pochwaliała, a mogąc uchronić wnuczkę chociażby od zapalenia płuc, wydziergała jej prawdziwy, wełniany, gruby i potwornie ciężki sweter. Ewa nie miała wyboru. Zresztą miło było przyłożyć policzek do porządnej babcinej roboty.

- Zajmij mi miejsce! - Gruszka choć zajęty był upychaniem bagażu do brudnej, przerdzewiałej komory autokaru ani na moment nie spuszczał Ewy z oka. Ładowali się do środka, brnąc przez stosy paczek, kartonów oraz wielkich brezentowych worów leżących w przejściu i pod siedzeniami. Pomędzy tym zabałaganionym chaosem przedmiotów i ludzi kręciły się dwie Ukrainki, aby wcisnąć gdzie tylko się dało cenne pakunki na handel. Całą godzinę zajęło im usadowienie się w rozklekotanym autokarze wypełnionym po sufit podejrzanym towarem. Jedyni Polacy na pokładzie. Wciśnięci w wąskie fotele, bez możliwości wyprostowania nóg lub wykonania szerszego gestu, i tak okazali się szczęśliwcami, tuż nad nimi bowiem wisiał cały rząd ogorzałych ukraińskich twarzy. Tamtych czekała podróż na stojąco. Przesiadkę planowali dopiero późną nocą, tymczasem wstawał kolejny, upalnie lepki dzień i choć słońce ledwie się przebudziło, wewnątrz już panował nieprzyjemny gęsty zaduch.

- Pieprzona kontrabanda - kłął na głos Błękit, krzywiąc się jak Hłasko albo James Dean przed obiektywem. Ci, którzy Roberta znali od lat, przywykli do jego malkontenckiej filozofii życia i kwitowali jego słowa drwiną.

- Przynajmniej coś się dzieje. Przestrzennym autokarem klasy de lux z klimą i wideo jedziemy na egzotyczną wycieczkę w góry.

- Pięciogwiazdkowe hotele z basenem i szwedzkim bufetem już czekają, a teraz latynoska stewardesa poda nam chłodnego drinka z wisienką o wdzięcznej nazwie Egzotyczna Podróż na Wschód.

- Dwa razy proszę! - Makaron pstryknął palcami i władczo objął ramieniem Kachę. - Moja lady jest spragniona.

- Antonio! Fa caldo!

Zanim zdążyli się obejrzeć, sama przywędrowała do nich dwulitrowa cola z procentowym dodatkiem. Wstęp do polsko - ukraińskiego pojednania. Tamtym chwiała się już głowy i świeciły oczy. Co rusz ukazywali w uśmiechu rzędy złotych zębów, które zachęcały do skosztowania rozluźniającego miksu. Pioruństwo było mocne! Jednakże egzotyka sytuacji sprzyjała pałacemu poczęstunkowi. Oni, studiująca przyszłość narodu polskiego, dorastali już w czasach raczkującego kapitalizmu i zalewu zachodniej kultury, podczas gdy tamci stanowili żywe fotografie ich ojców i dziadków z czasów powojennych. Teraz zaś wydawali się sztucznie wciśnięci w kontekst współczesnej Europy. Kiczowate, plastikowe panienki, których styl łączył modę lat osiemdziesiątych, najnowsze zachodnie trendy i lokalny gust, nosiły natapirowane fryzury oraz ostry wieczorowy makijaż spływający po gładkich, oszpeconych tandetnymi kosmetykami buźkach. Takie buźki w Polsce najłatwiej spotkać na dyskotekach w remizach strażackich lub podpoznańskich Manieczkach. Chociaż nie. W młodych Ukrainkach znajdowało się jeszcze wyraźny rys niewinności. Pod lejącymi się w autokarowym zaduchu tapetami ukazywały się czyste słowiańskie rysy, subtelne linie, których nie zatarła i nie wykrzywiła amerykanizacja, globalizacja, MTV, Idol i Strongmeni lansujące w Polsce i na świecie styl top trendy - bycia, życia, pieprzenia się i nawet srania.

- Nieogolone. - Błękit wzdrygnął się, taksując wzrokiem jedną po drugiej i zatrzymując wzrok na strategicznych punktach kobiecego ciała.

- Bieda biedą - mówiła Patrycja, skupiona na szczotkowaniu rzęs przed małym lusterkiem - ale mogłyby o siebie odrobinę zadbać. Włosy pod pachami są obrzydliwe!

Ewa milczała, Gruszka integrował się ze starszą gwardią ukraińską, z którą dyskutował o polityce Rosji wobec Ukrainy, i tylko Krzychu podjął wątek:

- Jesteście spaczeni kulturą i cywilizacją. Ograniczeni wąskimi horyzontami naszego świata, gdzie albo podporządkujesz się jednemu słusznemu pogładowi bezwolnych, sterowanych mas, albo zostajesz outsiderem. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu golenie nie przyszłoby do głowy żadnej kobiecie. A teraz niewolnice mody ze skrzywionym, wypracowanym przez niewidzialnego dyktatora poczuciem estetyki katują się różnymi formami depilacji. Bez refleksji, zastanowienia, pytania: „po co?”. I taka Pati - Krzysztof z ironiczną czułością pogłaskał Pati po włosach - zderza się nagle z odmienną kulturą, doznaje szoku i pragnie wszystkich zmieniać na swoje podobieństwo.

Pati przewróciła oczami, zrzuciła z ramienia jego dłoń i puściła oczko do jednego z młodych Ukraińców, który od początku podróży pożerał ją wzrokiem.

Mężczyzn nie można było tak łatwo zasufladkować jak kobiet, próbujących retuszować wschodnie pochodzenie. Oni wymykali się wszelkim klasyfikacjom, a niecodzienne zestawienie staroświeckich kapeluszy i ortalionowych kurtek pachniało prawdziwą awangardą. Owiane słońcem twarze, szorstkie, o ciemnobrunatnym odcieniu, na którego tle niepokojąco błyskały białka oczu, zdradzały po trosze dzikie korzenie i nieokiełznane jeszcze dusze. I tylko otulone wzorzystymi chustami babuleńki wyglądały niczym wyjęte prosto z baśni o długowiecznych starowinkach, znających tajniki zielarstwa i magii. Patrząc na ich blade, pergaminowe oblicza, można było uwierzyć, że mieszkają gdzieś za górami, za lasami, w domkach na kurzej stópce albo w chatkach z piernika.

Ewie zdawało się, że ci ludzie noszą w sobie jakąś niedostępną prawdę, którą oni, żyjący w tym miejscu i czasie, bezpowrotnie utracili. Musieli im się jawić jako rozkapryszony bogate dzieciaki wyklute z inkubatorów dobrobytu, a ich wypad w góry odbierano pewnie w kategoriach młodzieńczej fanaberii. Bo po cóż jechać w nędzę i biedę, jeśli nie po to, by móc się wyróżnić, poszczycić, napawać wyższością? Pysznić się. Ale, o dziwo, wszyscy byli dla nich bardzo życzliwi. Babuleńki roztkliwiały się nad urodą Ewy, Kaśki i Pati, młodziaki rzucali swawolne docinki, a stara gwardia dzieliła już zakąskę, tak że pachniało w całym autokarze. Gruszka z Krzychem dołączyli do biesiadnych przygotowań, Błękit przysnął, oparty o drżącą na wybojach szybę, Pati uwodziła wschodnich amantów, a Ewa milczała. Klęło się w niej irracjonalne poczucie winy wobec tych starych ludzi.

Nie ma dla was miejsca, kochani, myślała, młodych starość deprymuje, obrzydza, napawa lękiem. Dla nas stanie się prawdziwym dramatem, nieuchronnym wypadnięciem z fascynującej gry życia - frustracją, obsesją, nowotworem psychiki. Ewa odwróciła pospiesznie wzrok. Reszta gawędziła w najlepsze.

Na miejsce dojechali dopiero u schyłku nocy po wielogodzinnym postoju na granicy, gdzie polscy celnicy zgotowali ukraińskim mrówkom prawdziwy koszmar. Przetrzęsano bagaże, kieszenie i nerwowo zapakowane zawiniątka. Zanim o poranku wsiedli do pociągu, jadącego w kierunku niecierpliwie oczekiwanych gór, zdążyli jeszcze wypić kwas chlebowy z żółtej cysterny - parzący w język napój, którego bąbelki delikatnie pękają na języku, kłuł słodko nieprzyjemnym aromatem - uraczyć się pieliemieni, pierożkami serwowanymi w przydworcowym barze opatrzonym reklamą: „zawždy coca - cola" (pisaną bukwami),

a co odważniejsi i zdesperowani zdecydowali się odwiedzić publiczne szalety, lecz każdy ze śmiazków powracał z odmalowaną na twarzy traumą człowieka, który choć niejedno w życiu widział, doznał prawdziwego szoku. Do świtu przeleżeli pod dworcem, zakopani gęsiego w kolorowych śpiworach i dopiero gdy dostali się do szerokiego wagonu wypełnionego rzędami drewnianych ławek, jakby wyjętego z amerykańskich westernów, odetchnęli z ulgą. Czekają ich kilka godzin podróży - a ściśle mówiąc, wielogodzinna uczta, gdyż obładowane potężnym bagażem rodziny toczyły tu bujne życie towarzyskie. W rozgadany wnętrzu panowała atmosfera imprezy - jedzono, pito i muzykowano. Nie pozostawało nic innego, jak wsiąknąć w ów niecodzienny, a tak swojski klimacik.

Pociąg jeszcze nie ruszył na dobre, a już pojawiły się kolejowe handlarki, z uśmiechem przemierzające wagon za wagonem. Na każdej stacji dosiadał się przedstawiciel innej branży. Sprzedawano napoje, lody, gorące bułeczki oraz nadziewane grzybami knysze, na które wszyscy ochoczo się kusili. Pierwszy kęs, kiedy zęby łagodnie zanurzają się w gorącym wypieku, i ten, gdy dociera się do świeżego pieczarkowego środka, należały do momentów, które zapamiętuje się do końca życia. W dzieciństwie Ewa z podobną niecierpliwością wyczekiwała kropli konfitury w pączku. Jakież było rozczarowanie, kiedy okazywało się, że nieuważny cukiernik przeoczył akurat jej pączek.

Podczas gdy oni delektowali się posiłkiem, mijały ich handlarki garnków, odzieży, artykułów pasmanteryjnych, a nawet niewielkich mebli. Każdy z podróżnych dostawał szansę rozpoczęcia życia od nowa. Tylko tu można było nabyć wszystko, co potrzebne, aby stworzyć małe, ciasne, ale własne gospodarstwo domowe.

Za oknami na niekończących się płachtach zielonych pól pasły się krowy - nie łaciate, ale jednolite, brązowe, ospale podnoszące łby w kierunku nadjeżdżającego pociągu. Gruszka z Krzychem, przyłączając się do libacji, zostali obdarowani szklaneczką i teraz, zataczając się ze śmiechu, snuli łamanym ukraińskim niestworzone historie.

- To jak film - śmiała się Kaśka.

- Brakuje tylko napadu Indian - dodała Ewa i zapatrzyła się w jej czarne, rozszerzone od emocji źrenice. Kaśka była pumą. Czarną, dziką afrykańską kocicą. Potem spojrzała na Krzycha i stwierdziła, że owszem, Kacha jest dziką pumą, ale okiełznaną. Udomowioną. Przynajmniej na jakiś czas.

II DZIEŃ PIERWSZY

W góry dojechali dopiero następnego poranka, po nocy spędzonej w małej zagubionej wiosce, pod dachem stodoły, u niezwykle życzliwego rubasznego gospodarza. Na miejsce, skąd rozpoczynał się szlak ich tygodniowej trasy, dotarli przerobionymi na drezyny zagranicznymi odpowiednikami polskiego żuka lub nysy, którymi na co dzień jeździli robotnicy. Trzęsło, kołysało na boki, psuło się co rusz, ale wystarczyły dwa machnięcia korbą i trzeszcząca drezynka wdzięcznie sunęła nad stromymi zboczami, przyprawiając niektórych o drżenie serca.

Czekał ich cały dzień zmudnej, męczącej wędrówki. Ledwie ruszyli w drogę, a już po kilku podejściach wszystkim różowiły się policzki, urywały oddechy i plątały nogi. Ona szła na samym przedzie, on zamykał kameralną grupę najtwardszych z sekcji turystycznej AM. Od razu polubił jej główkę z krótką kasztanową czupryną postrzępionych kosmyków i teraz z przyjemnością obserwował refleksy słońca mieniające się w nieładzie swobodnie opadających włosów, wyobrażając sobie drobne kropelki potu drżące na jej karku. Szła lekko i sprężysto, jakby zamiast ciężkich butów miała na stopach baletki, które bez wysiłku niosły ją po wystających głazach, korzeniach, nierównościach poszycia. Na wąskich, kruchych ramionach spoczywał wielki plecak, odkrywający jedynie szczupłe, opalone ręce i niewiele grubsze, ale kosmicznie zgrabne nogi. Natomiast reszta sylwetki, zasłonięta tobołem, pobudzała jego wyobraźnię. I choć Błękit zdążył już pierwszego dnia przeprowadzić ocenę rysów i kształtów, która wypadła dość blado, to spoglądając na najbardziej ponętne fragmenty, znów ulegał pokusie tajemnicy.

Wstawał upalny dzień. Ciężkie rozżarzone słońce powoli wspinało się na szczyt nieba, a oni, rażeni coraz dotkliwszym

skwarem, podążali w ślad za nim. Zostawiali w dole ludzki gwar, cywilizacyjny zaduch i pogrążali się w absolutnej ciszy. Cisza ta stanowiła bramę do świata naturalnego porządku mierzonego cyklem przyrody. Idąc otwartymi przestrzeniami, widząc wyraźnie zarysowaną linię sąsiednich szczytów, przedzierających pokłębione zwoje chmur, poddawali się błogiemu, sennemu spokojowi. Rodzaj zawieszenia, kiedy mózg przełączony w stan czuwania przepuszcza przez siebie tysiące luźno połączonych ze sobą obrazów, a cała uwaga i koncentracja skupia się na mechanicznej czynności marszu i oddechu. Obserwacji podłoża. I do tego ta cisza! Miła, miękka, tak wytęskniona. Wreszcie można się wsłuchać w muzyczne szумы natury - jęki wiatru, szelest trawy i tarcie korzeni pod podeszwami - i poczuć rytm wnętrza, zwykle przytłoczonego hałasami codzienności. Byli sami. Zupełnie sami na skrawku końca świata i jedynie gdzieś kołysał się samotnie jakiś polny kwiat, jaskrawą główką próbując zwrócić na siebie uwagę. Pachniało...

I tylko ten marsz. Męczący, uporczywy, taki, że serce na najwyższych obrotach wspomaga oddech, a oddech łapczywy i głodny powietrza za wszelką cenę chce wykarmić serce. Góry piętrzyły się jak na zawołanie i na złość, a każde następne wzniesienie wyczerpywało ich coraz mocniej. Sapali, potykali się o wystające z ziemi sploty zdradliwych kłaczy, nerwowo poprawiali szelki przygniatających plecaków, którym w miarę upływu czasu jakby rosła waga. I teraz każdy w skrytości ducha przeprowadzał rachunek sumienia - listę zbędnych rzeczy - babcinych sweterków (Ewa), kosmetyków (Pati), poncho (Krzychu i Gruszka). Jedynie Błękit, uważający się za profesjonalistę, który biegle operował nazwami firm produkujących górski sprzęt oraz teoriami pakowania, zasadami trekkingu i innymi alpinistycznymi filozofiami, nie miał sobie nic do zarzucenia. Ech, ta cała młodzież, banda

amatorów, którzy nie mają o górach najmniejszego pojęcia. Spojrzał przed siebie. Wystająca zza plecaka kasztanowa główka nie dawała mu spokoju. Wrzucił piąty bieg, ścisnął kijki, wyminął wszystkich i uplasował się na drugiej pozycji. Tuż za Rudą.

Ona modliła się o postój, o moment na mały reset organizmu. Wysiadam, zostaję, nie dam rady, odpocznę, poczekam i wrócę. Ciemne plamy zalewają oczy, wędrują pod powiekami, kleją się do źrenic. Zachwiana koordynacja ruchów, rozdygotana precyzja kroku, sieczka w głowie i w żyłach. Muszę dać radę, Ewa już odruchowo poprawiała pas biodrowy, skoro inni mogą, to dlaczego ja nie mam dać rady. Inni. Ciągłe to oglądanie się na resztę. Ocena siebie przez pryzmat drugiego, tego obok. Próba doskoczenia do tych, którzy są wyżej, i budowanie swojego wizerunku dzięki tym gorszym, słabszym, mniej zdolnym, przebojowym, wytrzymałym. Muszę. Dla siebie. Gówno prawda. Nie dla siebie, ale po to, by nie odstawać, nie okazać się puzzlem z innej układanki. Dla siebie nie muszę nic. Przepraszam. Zostaję. Wyszłam za męża i nie wracam. Po angielsku wyszłam...

Błękit był pod wrażeniem. Czy to możliwe? Chuda, słaba, a pędzi jak na zatracenie. Dotrzymanie jej kroku przekraczało jego możliwości i nawet głębokie wdechy, superanatomiczny plecak, kijki trekkingowe oraz sprowadzone z Niemiec buty Hanwag niewiele mu pomagały. Po górach chodził od lat, miał więc spore doświadczenie, ale ta ruda istota mknęła przed siebie niczym górską kozica.

Zabiłaby go za ten natrętny oddech na plecach. Padała na twarz, ale jak każda nowa, pragnąca się wykazać, wyrabiała dwieście procent normy i zasługiwała już na stopień stachanowca. W tej chwili trudno jej było zrozumieć Kratkę. I ani piwo, ani szampan, ani nawet wódka z redd'sem nie

stanowiły wytłumaczenia dla tego, co się zdarzyło. W tej chwili Ewa nie cierpiała Błękitą potwornie.

- Postój! - zarządził Makaron.

Kolejne podejście zaliczone. Ile jeszcze przed nimi, Ewa wolała nie wiedzieć. Zrzuciła ekwipunek i opadła na trawę. Boże, jak dobrze, jak lekko. Łapała oddech. Jeszcze kilka tygodni temu - praca w dusznym coffee shopie, nocna włóczęga po klubach, gdzie upijała i upajała się w ramionach przypadkowych facetów, a potem powroty zatłoczonymi ulicami do domu pełnego współlokatorów - gdzie każdy miał na swój sposób rozpieprzony życiorys. Marzyła o wyjeździe, samotności, świętym spokoju. Niekoniecznie na wczasach pod gruszą. A teraz? Ścinało ją z nóg. Gdyby mogła być w domu, własnym ciepłym łóżku, w wannie pełnej piany, w fotelu przed telewizorem, w którym leci najdurniejszy TVN - owski program. Mokra koszulka przykleiła się jej do pleców, Ewa otarła nią spocone czoło i machinalnie dotknęła kremowych koralików z kości słoniowej, oplatających szyję i wyraziście odcinających się od owianego słońcem mahoniem skóry. Nieustannie sprawdzała, czy tam są. To nie sen. W zmęczeniu i depresji przywoływała ten moment - błysk szczęścia. Ona pospiesznie chowa je do kieszeni fartucha i jego wilgotny szept: „Nie pokazuj nikomu, po co mamy robić sobie problemy?”.

Ach, to zwariowane miasto! Miasto neonów, pojazdów, dźwięków, miasto, które odczuwa się wszystkimi zmysłami, że aż przyprawia o zawrót głowy. Miasto rollercoaster, karuzela wirująca od podniecenia i do zarzygania, a teraz takie odległe - w tej głuszy, odludziu, bezkresnej pustce. Nie mogła sobie wyobrazić, że tysiące kilometrów od nich Londyn nadal wrze - pełen roześmianych turystów, kolorowych twarzy, upalonych rastamanów, zapiętych pod szyję Japończyków, ortodoksyjnych Żydów z Seven Sisters, nachalnych Turków i

rozprzestrzeniających się niczym plaga egipska Polaków. A wszystko w ruchu, pośpiechu i pędzie. Teraz rozpoczyna się pora lunchu. Chłopcy uwijają się przy robieniu kanapek, które ona przyrządzała zawsze za wolno, Tulaya parzy kawę z pianką albo herbatę z mlekiem, Melik doprawia swoje słynne makarony i wszyscy już umawiają się na wieczór w Camden Town, gdzie siedząc nad leniwą Tamizą, będą palić jointy i pić stellę lub portera. Hugh Grant nakłada właśnie kapcie i rozpoczyna dzień, Harry Potter boryka się z wujostwem na Privet Drive, a angielska królowa? Co porabia ktoś taki jak królowa o godzinie 14.00 w środku sierpnia?

Powinna mieć inną twarz. Błękit usiadł tak, aby móc się jej dobrze przyjrzeć. Na przykład klasyczne rysy, duże pełne usta, niebieskie lub czarne oczy okolone gęstwiną bujnych, powabnie podkreślonych rzęs. A tu proszę: szczupły pyszczek z małym zadartym noskiem, ni to zielone, ni to szare oczęta osadzone w skośnych szparkach i drobne usteczka, ściągnięte nerwowo w kształt serca. Wcisnęła trójkątny podbródek w kolana i zapatrzona w jakąś niewiadomą, nie przypuszcza nawet, że ktoś obok patrzy i doznaje gorzkiego zawodu. Z tyłu wyglądała znacznie lepiej. Może nie była brzydka, ale na pewno nie w jego, Błękitu, typie. Przypominała raczej zwierzątko niż laseczkę jego marzeń. Tak, to postanowione, zawsze będzie puszczał ją przodem, a śledząc jej plecy, resztę pozostawi wyobraźni. Ech, gdzież, do cholery, podziewają się te wszystkie piękne kobiety widywane co dzień z okna samochodu? Gdzież te skąpo odziane syreny, przez które dostaje się mandaty, wymuszając pierwszeństwo lub przejeżdżając na czerwonym? Owszem, pełno sympatycznych dziewczyn dobrych do kina, w góry, na lody, a nawet do zrobienia loda, ale on potrzebował czegoś więcej - tajemnicy, która go pochłonie, wyzwoli w nim instynkt myśliwego, każe się tropić, odkrywać, nie pozwoli o sobie zapomnieć.

Tajemnicy, która nawet pod zamkniętymi powiekami, podczas najgłębszego snu, słodko uwiera i nie daje spokoju. Niby tego kwiatu jest pół świata, ale jak znaleźć tę jedną orchideę na polu banalnych stokrotek, fiołków i różyczek? Po rozstaniu z Sofią stracił wszelką nadzieję, że spotka kogoś równie magicznego. Sofia, Sofia, Sofia. Zostały mu tylko fotografie, tak puste i bolesne jak słowa. Sofia w kąpielu, Sofia je brzoskwinie - słodki sok cieknie jej z kącika ust, Sofia i kot, który rudą puszystą sierścią ociera się o jej łydki, Sofia naga, Sofia smutna, Sofia pali papierosa. I jej śmiech - ten niesamowicie zaraźliwy śmiech rozbrzmiewa we wspomnieniach, choć z każdym dniem słabnie i nie pomaga nawet desperackie, szaleńcze odtwarzanie go w wyobraźni. Słabnie, blednie, umyka. Czas. Czas płynie i zabija rany, szlifuje pamięć, nadając jej szlachetniejsze rysy, ale przy okazji niweczy wspomnienia czysto zmysłowych doznań - zapachu, dotyku, smaku. Coraz częściej nie potrafił ich uchwycić. Czas. Czas postoju skończony. Wiewiórkowata dziewczyna szturchnęła go w ramię, nie przerywając rozmowy z Gruszką - najmłodszym na wyprawie - maskotką sekcji.

Jeszcze tylko dwie godziny. Dwie? Naprawdę? Umieram z głodu. Ja też. Idziemy. Im prędzej, tym lepiej. Nie mogę się już doczekać.

Błękit też się podniósł, rozprostował kości, aż chrupnęło, zarzucił toból i ruszył za nimi. Szli połoniną. Nie było już tak ciężko. Grzbiet łagodnie dopasowywał się do stóp, nagiął, ulegał i nie stawiał tak wysokich wymagań jak poprzednie wzniesienia. Gruszka z Ewą wszczęli zawziętą dyskusję, więc podszedł bliżej, tak że jego wścibstwo deptało im po piętach. Starał się wychwycić strzępy rozmowy, zaintrygowany ich poufałością.

- Moim zdaniem - Ewa pomagała sobie żywą gestykulacją - najważniejszy jest artysta. Dzieło czytam, oglądam przez pryzmat twórcy. On stanowi najważniejszy kontekst.

- Zatrzymałaś się na pierwszej prędkości kosmicznej - Gruszka nie dawał za wygraną. - Według ciebie twórca wystrzela dzieło w kosmos, a ono krąży po jego orbicie. Może tak bywa, ale to słabe. Wyjdź bardziej poza schematy, wstąp na poziom drugiej prędkości kosmicznej. Twórca wystrzela dzieło w powietrze, ono przełamuje granicę ziemskiego przyciągania i zaczyna żyć własnym życiem.

- A jego intencje? - Ewie aż czupryna trzęsa się z bezsilności.

- Intencje, mówisz, czyli coś w stylu: chciałem dobrze, a wyszło jak zawsze? Ewka, daj spokój. Zobacz. Gdyby napisano książkę o nas, jaką byłaby powieścią? Harlequinem, powieścią obyczajową, lekkim czytałem w stylu serii Literatura na Obcasach czy pozycją na miarę Joyce'a albo chociażby Tokarczuk? To nie należy do nas ani do naszej historii, bo ta może być nawet najbardziej banalna. Wszystko sprowadza się do formy. A forma z kolei nie leży w sferze intencji. To kwestia świadomości, talentu, iskry, moja droga, z drugiej natomiast strony, to również kwestia czytelnika, jego wymagań, aktualnego zapotrzebowania - cały kontekst zewnętrzny. I gdzie tu miejsce na intencje twórcy? On jest kreatorem. Zamieszał, oddzielił światłość od ciemności, sporządził i na tym kończą się jego uprawnienia. Teraz ma niedzielę i może tylko spoglądać z wysokości i patrzeć, jak jego dziecko radzi sobie w świecie. Status twórcy i odbiorcy zaciera się. Twórca oferuje potencjalne warianty, a czytelnik na nowo przepisuje dzieło.

Błękit zwolnił kroku. Chociażby te góry, pomyślał. Góry, w które jeździł od lat, z którymi się zmagał, walczył. One były wyzwaniem i ocaleniem. Odbierały i dawały energię. Góry nie

wysuwały nieśmiałych oczekiwań, one żądały posłuszeństwa. Nie okazywały litości. Tak jak bezwzględny nauczyciel szlifowały jego silną wolę i charakter, ale potrafiły również nagradzać - chociażby doznaniem absolutnej ciszy. Za każdym razem wręczały mu ten sam prezent - wiarę, że jednak istnieje jakiś wyższy porządek, że chaos tkwi w człowieku, a nie w świecie. Panteizm? Góry to dzieło napisane przez naturę. Człowiek, czytając góry, nadał im sens, wpisał je w kontekst kultury. Dzięki ludzkiej myśli góry nabrały znaczenia, mimo że wypiętrzył je bezrozumny proces geologiczny. Bez intencji, bez zamysłu. Góry same w sobie nie posiadają wartości poza oczywistym pięknem. Dopiero podczas spotkania z wędrowcem, który wchodzi z nimi w dialog, konstytuuje się ich wartość, ale wciąż pozostaje wartością ambiwalentną, dla każdego inną, dla wielu żadną, pustą nazwą, pocztówkowym krajobrazem, który ogląda się na zdjęciach i filmach katastroficznych. A zatem artysta konstruuje świat według własnego zamysłu - to on nadaje znaczenie poszczególnym elementom, on wartościuje, układa hierarchię istotnego i nie - istotnego. Jednak potem, gdy czytelnik samodzielnie przegryza się przez, wydawałoby się, gotową i skończoną tkankę dzieła, wychodzi na jaw, że ten jeden obiektywny świat zupełnie inaczej rozwija się w umyśle każdego odbiorcy. Błękit nie znał wielu ludzi, dla których góry byłyby tak potężnym przeciwnikiem, profesjonalnym terapeutą, narkotykiem i lekiem w jednym. Do dziś nie był pewien, czy reszta tych ludzi czuła podobnie czy może traktowali to jak zwyczajny, jedynie bardziej ekstremalny wakacyjny wypad. Patrząc na Gruszkę i Ewę szturchających się w wybrykach nieokiełznanej radości, szczerze powątpiewał w ich potencjał do głębszej refleksji. Że też taki dzieciak przypadł jej do gustu? Dla niego był młodszym, mocno niedojrzałym, niemądrze idealistycznym bratem.

Poznali się na jakimś festiwalu teatralnym. Potem zobaczył jego lalki.

* * *

Małeńka pracownia we wnęce korytarza. Światło żarówki oświetla stertę najróżniejszych grymasów, które leżą na półkach, zwisają z sufitu, sterczą, przytwierdzone do ściany. Koszmarnie powykręcane twarze, pokurczone sylwetki upiornie dyndające na wysokości mieszają się tutaj z subtelnymi, wyrafinowanymi kobiecymi obliczami. Daje im życie. Iskrzy ono niezwykłą magią oczu. Kilkoma pociągnięciami dłuta i pędzla, umiejętnie udrapowanym materiałem, doklejoną bibułą, cekinem, guzikiem, czymkolwiek, nadaje marionetkom charakter, określa uczucia i namiętności, które skłębiają się w kawałku drewna, drutu czy szmaty. Może opowiadać o nich bez końca. Każda kukła nosi własną historię, a biografie lalek stanowią życiorys Gruszki. Jego miłości, zauroczenia, depresje i lęki. I właśnie ów akt kreacji pozwala mu zapomnieć o własnej bezradności wobec życia, zdarzeń i uczuć. Marzy o pracy w teatrze - chce być reżyserem, aby jak Stwórca móc władać scenicznym światem.

Tak. Gruszka był dziwadłem, ale miał coś z wesołego chochlika o wiecznie radosnym spojrzeniu. Zameczał wszystkich spontanicznymi pomysłami, które niczemu nie służyły oprócz zwykłej radości robienia czegoś głupiego. Happening na dachu wieżowca, kąpiele w jeziorze w jesienne chłodne noce, a potem suszenie się do świtu przy ognisku, akcja rozdawania wierszy w mieście albo wrzucenia wszystkich wycieraczek z bloku do jednej windy, żeby rozruszać i zintegrować lokalne środowisko. Sztuka dla sztuki to była jego specjalność. Na dłuższą metę nikt nie miał do niego cierpliwości, a jednocześnie niesamowicie potrafił od siebie uzależniać. Maskotka grupy. Ktoś, kogo wszędzie jest pełno, doprowadzający do bólu głowy, absorbujący niespożyte

pokłady energii i zarazem ktoś, kogo obecność stanowi zapalnik, iskrę, dzięki której wiadomo, że wszystko wypali.

A potem zniknął.

Robert pierwszy zbiera się na odwagę, aby iść do niego z wizytą. Słyszy poszarpaną historię. Teatr, jakaś wirtualna Ameli, Internet, jazz, wyjazd do Anglii. Same strzępy, a pośród tych strzępów Gruszka, dłubiący dziesiątki podobnych kształtów. Wyidealizowane kobiece rysy. Gdzieś między nimi ona. Nie wiem która, ale prędzej czy później stworzę ją. I wtedy ona mnie pokocha. Pokocha i wróci. Jest jak obłąkaniec, maniak zamknięty w szklanej kuli własnego szaleństwa.

* * *

- Oto nasze miejsce noclegowe - oznajmił Makaron, wskazując bajecznie sielską, soczyście zieloną polanę, zamkniętą pierścieniem niewielkich iglaków. Błękit po raz kolejny doświadczał déjà vu. Ileż to razy spał w tym miejscu. Rok, dwa, trzy, cztery lata temu. Wtedy, gdy nie znał jeszcze Sofii, albo kiedy był pewien, że zaraz po studiach otrzyma świetną pracę i awansuje na dyrektora generalnego i wówczas, kiedy wierzył we własną wszechmoc, czyste relacje między ludźmi, jedyną miłość na całe życie, grę fair play na olimpiadzie i rozgrywkach piłkarskich, kiedy pisał wiersze do swoich platonicznych kochanek, brzydził się pornografią i zgrywał na kasety listę przebojów Niedźwiedzkiego.

W tle urastały odległe masywy górskie, spryskane popołudniowym słońcem, których szczyty z daleka zdawały się pokryte zielonkawym pluszem, podobnym do obić staroświeckich sof z antykwariatu. W dole, na przeciwległej ścianie skalnej, spływał rwący potok, rozpryskując wokół lśniące drobinki wody. Mokre, nabłyszczone kamienie odbijały barwy światła, tworząc wzdłuż wąskiego korytarza

naturalną mozaikę. I oto ten pejzaż, wyjęty z kiczowatych okładek dziecięcych baśni, należał do nich!

- Kto pierwszy pod tamtą kosodrzewiną! - wrzasnął Gruszka i puścił się galopem przed siebie.

- Zaczekaj! - Ewa ruszyła za nim.

Dzieci. Za grosz dojrzałości. Robert z pobłażaniem śledził dwie sylwetki malejące na horyzoncie.

- Najpierw stawiamy namioty. - Makaron lubił być liderem. - Potem niewiasty nasze biorą się do przyrządzania posiłku, a my idziemy po chrust i rozpalamy ogień. Mycie, spanie oraz całą prywatę odkładamy na później.

- Nie nadymaj się tak może, co?

Ledwo żywe dziewczyny rzuciły się na trawę. Najpiękniejsza chwila tego dnia. Łapiesz oddech, rozdygotany organizm telepie się jeszcze siłą rozpędu, skóra wyrzuca parzący gorąc i oblewa ciało cuchnącą wilgocią. W umyśle cisza, jakby ktoś nagle włączył w telewizorze obraz kontrolny. Natłok myśli, które towarzyszą podczas całej wędrówki, nagle ucieka, rozstępuje się i zapada cisza. Wszystko posprzątane. Tabula rasa. Biała kartka, którą można od nowa zapisać. Chwilowo. Dopóki organizm nie zapanuje nad chaosem pospiesznie dotlenianych komórek, wyścigiem krwinek niosących ulgę wycieńczonej ludzkiej maszynie.

- Ja robię sobie dzień dziecka, nie myję się - oświadczył Gruszka, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Dobranie się na nocleg do namiotów było teraz priorytetem. Nie ma bowiem nic gorszego niż ocierać się w nocy śpiworem o przypadkowe osoby. Kacha z Makaronem już się zabrali do stawiania namiotu. Pati i Błękit również. Gruszka nie wiadomo kiedy zniknął z pola widzenia, a Ewa niezmiennie trwała w pomnikowej pozycji. Robert odruchowo odszukał ją wzrokiem. Onieśmielona, zakłopotana czy wycieńczona marszem? Taka samotna z ogromnym plecakiem, oddalona zaledwie o kilka kroków. Jej chuda twarzyczka zarumieniona wędrówką i słońcem tchnęła spokojem, a lekko przymknięte oczy skrywały prawdziwe emocje: nie - obecność czy nie - pewność? Zupełnie inna niż podczas wygłupów z Gruszką. Poważniejsza. W jej profilu odnajdywał coś wzniosłego, co sprawiało, że przyskała jego

gwiazdorska buta. A na to miejsce pojawiał się respekt. A przecież musiała być sporo młodsza od niego. Pewnie dopiero zaczynała studia, natomiast on obronił już magisterkę, otworzył przewód doktorski, a jej szczeniackich rówieśników nękał na kolokwjach, konsultacjach czy semestralnych zaliczeniach. Jedyny raz, kiedy tracili swój wypracowany mozolnie przed lustrem indywidualizm i ustawiali się gęsiego w okazjonalnie odprasowanych białych kołnierzykach i równie białych bużkach. Jedyny raz, kiedy każda twarz emanowała niewinnością wprost ze świętych obrazków, rozdawanych kiedyś na lekcjach religii. A wtedy on gotował im rzeź. Współczesny Herod Collegium Minus. Swoją drogą ciekawe, do jakiej grupy zaliczyłby ją, gdyby przyszło im spotkać się na uniwersyteckim korytarzu. Czy stanowiła ten coraz częściej dziś spotykany gatunek ambitnych modliszek, które mają sto procent frekwencji na zajęciach i już na pierwszym roku starają się o zagraniczne stypendium oraz bezpłatne praktyki w wielkich koncernach, czy raczej należała do grona samotniczek snujących się po zadymionych kawiarniach literackich, teatrach i DKF - ach? A może po prostu składała się na tę zwyczajną większość koczującą w zaludnionym akademiku albo mieszkaniu studenckim, pracującą dorywczo w markecie na szumnie brzmiącym stanowisku merchandisera i oszczędzającą na żarciu, aby wieczorem wystarczyło na studenckie piwo na Starym? Bo dupeczką przemierzającą nocną trasę Okrągłak - Pręgierz, w opiętej miniówce i cieniutkich szpilkach, nie była na pewno. Bezdyskusyjnie też nie wyglądała tak, aby on, Robert Janicki, mógł się w niej zakochać. Ba! Zakochać?! Choćby zauroczyć. Nic z tych rzeczy nie wchodziło w grę. Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu Gruszki. Ten świr zostawił ją samą, wiedząc, że nikogo tu nie zna, że nie będzie wiedziała, do czyjego namiotu dołączyć. Na jej miejscu byłoby mu głupio, co

pewnie tuszowałby, oddając się z udawaną namiętnością paleniu papierosów. Tak - papieros jako lek na skrępowanie, kiedy nie wiadomo, co robić z rękami, gdzie podziać oczy. Palenie może być czynnością, która w teatralny sposób koncentruje uwagę na sobie, tuszuje wyobcowanie i zakłopotanie. Chociaż ona nie wydawała się specjalnie przejęta tym, że znajduje się na marginesie ich pogawędek i śmiechów. Nie to, co on. Robert nie cierpiał przebywać sam wśród obcych, zawsze bowiem odnosił wrażenie, że jakimś cudem ma wypisane na czole: „Jest mi głupio, chcę do domu, nie jestem taki jak wy”. Poza tym był zdania, że jego powierzchowność zyskuje dopiero przy bliższym poznaniu. Trudno przecież zaprezentować liczne atuty podczas pierwszego spotkania. Te silne argumenty powodowały, że Błękit od lat trzymał się jednej wypróbowanej ekipy z sekcji turystycznej i było mu z tym dobrze. Razem przemierzali wiele górskich szlaków, pływali po mazurskich jeziorach, zawsze zahaczając o słynny z imprez szantowych port w Sztynorcie, włączyli się autostopem po Polsce, przeklinając kierowców za każdym razem, gdy utkwili w dziurze typu Brodnica, i tak kolejne lata upływały im pod znakiem wielkiej przygody. Przygody, której żaden wymuskany pudel kanapowy, spędzający wakacje w basenie hotelowym w Tunezji albo na grillu pod miastem, nigdy nie przeżyje. Nie zrozumie więc, co znaczy rozkosz suchego śpiwora po całodziennym marszu w strugach deszczu, jak smakuje gorąca herbata przy ognisku, czym jest miłość pod nisko zawieszonym gwieździstym niebem i nigdy nie zgłębi wielu innych zagadnień, które mieli na koncie oni - łowcy zdarzeń, poszukiwacze zaginionych przeżyć, kolekcjonerzy niezatartych wspomnień. Ostatnią eskapadą, dla odmiany samotną, był jego wyjazd do Włoch. Spędził tam rok. Najważniejszy rok w jego życiu. Po powrocie przez kilka

miesiący żył jak przebudzony ze snu, wyrwany z ciepłego matczynego łona - nieprzytomny, osowiały, spędzający całe dnie, leżąc beczynnie na kozetce, lub przeciwnie - bez pamięci pochłonięty jakąś bzdurą (maniakalne i mechaniczne przeglądanie porno witryn na przykład), na której kończył się jego świat.

Bezwiednie zatopiony myślami w czasie przeszłym, ze wzrokiem utkwionym w czerwonych puklach rudzielca, podszedł do niej.

- Twój pierwszy raz?

Głupio zabrzmiało, ale już za późno, aby się wycofać.

Cisza. Nawet na niego nie spojrzała. Nadal sięgała wzrokiem daleko przed siebie. Miała go centralnie gdzieś. Burknęła coś pod nosem, wzruszyła ramionami i ani myślała nawiązać rozmowę.

- Bo ze mnie to stary wyjadacz - próbował dalej. - Tworzyłem tę sekcję.

- Zdaje się - zauważyła sucho Ewa - że ludzie ją tworzą.

- No tak. - Pokrył śmiechem zmieszanie. Gdyby mógł odwrócić czas, dałby jej spokój. Gdyby mógł wiedzieć, że to, co on zdefiniował jako skrepowanie, nazywa się po prostu gburowatość, w życiu nie wyszedłby z ludzkim odruchem nawiązania kontaktu. Nie była atrakcyjna. Przynajmniej dla niego. Ale to tylko tak. W celu przypomnienia. - Jak tu trafiłaś? - zaryzykował kolejne podejsie.

- Widziałam wystawę waszych zdjęć w gablotach Instytutu.

- W Collegium Novum? - Podświadomy sygnał wyprężył mu kręgosłup, aż klatka sama wyskoczyła do przodu. - Jestem autorem większości z nich.

- Naprawdę?! - Ożywiła się na moment, coś miłego błysnęło w jej źrenicach, ale zaraz zgasło. Wystarczyło, by przywołała nieproszone historie z nim w roli głównej, a z

powrotem oziębły ton spłynął po jej gardle. - Przepiękne widoki, ale to już raczej nie twoja zasługa. Wiele zdjęć źle wykadrowanych, banalizujących temat. Takie bazarowe, odpustowe pocztówki dla turystów.

- Widzę - gwizdnął z udawanym podziwem - że mam do czynienia z profesjonalistką. A zatem proszę. - Błękit podał Ewie lustrankę Canona i odsunął się o krok, aby mieć lepszą perspektywę. - Ciekawe, czy potrafisz to chociaż uruchomić. A może będziesz zaraz jęczeć jak typowa baba: Gdzie się wciska? A co to za cyferki w prawym rogu? A dlaczego mi się tutaj pali takie czerwone? Szczekać to potraficie, ale kiedy się was zostawi na chwilę, wracacie umysłem do epoki kamienia łupanego. Gdyby nie faceci, to nie wiem, czy wynalazłybyście już koło.

- Nie będę marnować klatek. - Ewa podała mu aparat, nie wyjąwszy go nawet z pokrowca. - Nas, kobiet, zwyczajnie nie interesują tak przyziemne czynności, że nawet mała może się ich nauczyć. Gdzie się wciska? Dlaczego wytryska? Nas, drogi oświecony szowinisto - niekontrolowany uśmiech przebiegł Ewie od kącika ust do zmrużonego oka, aż po czubki rzęs - zajmują sprawy wyższe, zagadnienia ducha. Kobieta widzi i pojmuje to, czego samiec nie umie dostrzec, posługując się jedynie pięcioma zmysłami. Czucie i wiara. Może to staroświeckie, ale nie wszystko można ujrzeć przez szkiełko. A optyka dowodzi, że szkiełko niezwykle skutecznie zniekształca rzeczywistość.

Błękit zwarł szczelnie szczęki i tylko pulsujące skronie świadczyły o podniesionym ciśnieniu. Miała tupet jak cholera. Karykatura Kazi S. czy jak? Najbardziej nie cierpiał głupiomądrych pseudofeministek. To on wielkodusznie wybawia ją z zakłopotania, wychodzi z inicjatywą, widząc, że dziewczę stremowane, wiedziony instynktem opiekuńczym pragnie jej nawet zaproponować miejsce w namiocie,

tymczasem ona w kilka sekund przeobraża się w odrażającą żmiję, przylepia mu łatkę i okazuje pogardę wyniosłej Królowej Śniegu. Pani Soplowa widać nie wie jeszcze, kto jest kim w tej sekcji.

- Heeeej! - zdyszany Gruszka wyrósł jak spod ziemi, stanął przed nimi z miną kryjącą jakąś rewelację. - Idziemy. Musisz to zobaczyć! - Chwycił Ewę za rękę, beztrąsko ignorując urażonego Błękit. Nie zważając na jej gesty wzbraniające się przed tym, co nieznane, pociągnął ją za sobą. Nie miała wyboru. Z ogłupionym wyrazem zdziwienia poddała się jego nakazom. Biegli przed siebie.

Błękit powrócił do pracy. Co takiego Gruszka miał w sobie, że wyzwał w tej dziewczynie życie? Dwie roześmiane twarze śmignęły mu przed oczami i zaraz się rozprysły, choć jeszcze przed chwilą ona była taka stalowa, chłodna i cięta. Czym ją porywał, że tak krnąbrna dla niego - Błękit, w sekundzie ulegała tamtemu? Jej mimika, oczy - niczym u kameleona - momentalnie zmieniały swój wyraz. Zaczynały tryskać ufną dziecięcą radością i, mimo że nie miała w sobie tyle inicjatywy co Gruszka, widać, jak chętnie poddawała się jego pomysłom. Jeśli kręciła nosem, to tylko dla zachowania pozorów. Jakby czyjeś mocne szturchnięcie ożywiało uśpione pokłady spontaniczności. Błękit z westchnieniem doświadczonego życiem starca odprowadził wzrokiem ich szczupłe dynamiczne postacie. Traktował Gruszkę jak młodszego brata i niejednokrotnie miał okazję być świadkiem jego zauroczeń rozmaitymi kobietami. Błękitowi zawsze przypadła rola pocieszyciela albo raczej zimnego prysznic, ponieważ zakochany Gruszka zupełnie tracił głowę. Stawał się bezwolny i podatny na manipulację, co siłą rzeczy kończyło się sromotną porażką. W swej idealistycznej naiwności nie potrafił zrozumieć, że uległość faceta wobec kobiety jest pierwszym krokiem prowadzącym do wielkiej przegranej.

Może ta wiedza przyjdzie do dzieciaka wraz z rutyną i wiekiem albo ominie go na zawsze szerokim łukiem i chłopak pozostanie już dożywotnim frajerem. Baby będą siedzieć mu na karku, w kieszeni, leżeć na wątrobie i sercu, wiercić dziurę w brzuchu i wychodzić bokiem. A ostatecznie to on prędzej wyjdzie im biodrem, bo jaka kobieta pozostanie wierna poczciwemu chłopu?

- Podoba ci się? - zapytał Gruszka, ale nie czekał na odpowiedź. - Będziemy tu spali.

- No nie wiem, nie wiem. - Ewa grała na zwłokę, obchodząc dookoła mały, ale solidny szałas stojący na zboczu ciasnej doliny. Rusztowanie zbudowane z grubych żerdzi gęsto okrywały gałęzie kosodrzewiny i świerku. Do środka prowadził niewielki przedsionek. Zmieściłyby się tutaj nie więcej niż cztery osoby. Prawdopodobnie zbudowali go tubylcy. W mrocznym, dusznym od aromatów środku pachniało lepką, słodkawo - cierpką żywicą. Może pasterze, zostający na noc poza domem, chowali się tutaj? Ich było spoczywało pod rozłożystymi konarami iglaków, psy drzemały w wejściu, gotowe do ewentualnej obrony, a szałas dawał człowiekowi suchy i ciepły dach nad głową. I choć nie wyglądał na niedawno postawiony, to wciąż wydawał się szczelny. Dziś, kiedy niebo przychylnie i wielkodusznie prezentowało w pełnej krasie czysty błękit, obiecywało dobrą pogodę, znaleziony przypadkowo pionierski namiot aż kusił, by skryć się w jego twardym i ciepłym szkielecie.

- A co masz wiedzieć? - niecierpliwił się. - Śpimy i tyle. Nie bój się, nawet gdyby lało, nie ma szans, aby do środka wdarła się jakakolwiek kropla deszczu.

Nie bała się deszczu ani wody. Nie bała się zimna ani twardego podłoża. Nie bała się nocy w szałasie, w całkowitej dziczy. Nie bała się niczego z wyjątkiem dwuznaczności.

- Jasne - powiedziała najswobodniej jak potrafiła - ale teraz wracajmy pomóc innym.

Namioty już stały, odcinając się od brunatnego podłoża nienaturalnie jaskrawymi barwami. Ludzie krzatali się w obozowisku, taszcząc z lasu chrust, przybijając ostatnie śledzie i pomagając w rozpalaniu ogniska. Panował przyjemny rozgardiasz - przekrzykiwano się wzajemnie, wymieniano uwagi i dyskutowano nad menu podwieczorku. Wybór naprawdę imponujący: makaron lub ryż. Błękit z rozłożonymi na trawie mapami opracowywał trasę jutrzejszego marszu. Reszta rozsiadła się pomiędzy kolorowymi czapami tropików i dzieliła wrażeniami z przebytej drogi. Już myślałam, że nie dojdę, a mnie wrzynała się szelka, co tam szelka, mi cały stelaż jeździł po plecach, o! takie pręgi mam! A tu, patrzcie, siniec na pół łydki, mnie też spuchło, obrzęk jak cholera, ale to chyba nie złamanie, prawda? Nie, to raczej drobne skręcenie, co nie? Zwykłe skręcenie, ale boli i nabrzmiewa. E tam, nabrzmiewa, sama nabrzmiewasz - żadne skręcenie, trochę nadwreżone i tyle, spójrz lepiej na moje odciski - żywe mięso. Seria utyskiwań połączona z ekspozycją obtarć, skaleczeń i opuchlizn. Burzliwe licytacje, dopóki jednogłośnie nie zostanie wyłoniony zwycięzca. Wówczas bombardowano go tysiącem dobrych rad, wyrazami współczucia. Sceptycy powątpiewali w pomyślność przyszłych losów obrażonego, pesymiści rysowali katastroficzną perspektywę pogłębiania się urazu, optymiści starali się pocieszać, przywołując bardziej tragiczne historie, natomiast szyderycy serwowali maraton dowcipów z absurdałnej serii: przychodzi baba do lekarza, a lekarz też baba.

- Chyba się nie spóźniliśmy - Gruszka z impetem wpadł do obozu - bo zapachy pieścżą już moje ślinianki.

Nad ogniskiem rzeczywiście unosił się pyszny aromat kolacji. Ryż z suszonymi warzywami w sosie pomidorowym i

dotądkiem zebranych po drodze grzybów bulgotał jeszcze w kotle, przewieszonym na żerdziach tuż nad płomieniami okazałego stosu.

- Kto przyjmie dwoje zbłąkanych turystów pod swój dach? - Gruszka nie przystanąwszy nawet na chwilę, biegał, jakby nałopał się przemyconego jeszcze z Polski red bulla. I wcale nie zaskoczyło go, kiedy moment później już wszyscy rzucili się z otwartym zaproszeniem, zapominając o własnym komforcie, gotowi cisnąć się i tłoczyć pod jednym tropikiem dla samej przyjemności nocowania z Gruszką. Miał jakiś magnes. Aurę niewidoczną racjonalnym okiem, ale wyczuwalną szóstym zmysłem.

Przebywanie w niewielkim promieniu owej aury wywoływało przyjemne łaskotanie, jakby dzięki Gruszcze również na Ewę spływał zaszczyt wyróżnienia. Pod łaskotaniem kryło się jednak delikatne ukłucie. Bo czy dla niej ktokolwiek zdecydowałby gnieść się bardziej niż szprotki w puszcze? Chyba nie. Nie mogła przypomnieć sobie ani jednej podobnej sytuacji. Ostatecznie postanowiono, że poza Pati, śpią wszyscy razem. Namiot był szczególnie przestrzenny, a zatem nie trzeba będzie zmieniać pozycji na trzy - cztery. Poza tym Gruszka z Błękitem przyjaźnili się od lat, a specyfika tej znajomości, polegająca na dużej różnicy wieku, w określony sposób warunkowała ich wzajemne relacje. Gruszka oddawał Robertowi należny starszemu szacunek i nigdy nie kwestionował jego autorytetu, a równocześnie widział w nim odpowiedniego kompana do ekstremalnych wypraw na bagna, nocnych manewrów w ruinach Cytadeli, rajdów i innych typowo męskich zabaw. Gruszka z kolei wypełniał w życiu Roberta tę lukę, którą zazwyczaj w życiu każdego z nas zajmuje jakiś bliski nam lekkoduch, wieczny optymista, człowiek z „jakoś to będzie” na ustach, kilometrami w nogach i helikopterem w tyłku. Ktoś, kogo traktujemy pobłażliwie i z

przymrużeniem oka, zazdroszcząc mu jednocześnie tak rzadko spotykanej beztroski, przyjaznego pobratania się z życiem, które traktuje nie jak bagaż, lecz jak prezent. Kinder - niespodziankę, gdzie zawsze można coś interesującego znaleźć w środku i za każdym razem towarzyszy nam to samo podniecenie. Zdaniem Roberta, cieszącego się opinią typowego pragmatyka, taka postawa wynikała z braku wyobraźni i płytkiego zaplecza duchowego. Choć należało przyznać, że Gruszka niejednokrotnie wymykał się tej klasyfikacji. Błękitą szczególnie fascynowało w młodym kumplu całkowite poświęcenie wszystkiemu, czego Gruszka się podejmował. Na przykład wtedy z tą firmą. Nie wiadomo kiedy i dlaczego, postanowił założyć własną działalność gospodarczą. Załatwiał jakieś wpisy do ewidencji, regony, nipy, pity i inne kity, zakupił księgę przychodu i rozchodu, a kiedy wszystko nabrało formalnej rangi, zaprosił znajomych na piwo i oświadczył, że właśnie został prezesem „Kliniki Kukieł”, zajmującej się organizacją imprez dla dzieci, i jednocześnie dyrektorem artystycznym teatru marionetek, funkcjonującego pod tą samą nazwą. Na każde przyjęcie taszczył ze sobą cały ten swój teatr, czytał stopy poradników edukacyjnych, uczęszczał na wykłady z metodyki u polonistów, a wszystko po to, aby robić z siebie wariata za marne grosze. Kiedyś na ulicy spotkał Gruszkę, który miał na nosie kinol cyrkowego kłowna. Zapomniał go zdjąć po wyjściu z kolejnych urodzin jakiegoś przedszkolaka. Taki był Gruszka. Traktował swoją pracę jak misję, zanudzał ich banialukami na temat roli sztuki w kształtowaniu artystycznej osobowości dziecka, wychowania poprzez teatr i obcowania z alternatywą w stosunku do nowych obrazkowych mediów, gdzie tempo i teledyskowy montaż zabijają wszystkie wartości. Taki był Gruszka. Unoszący się kilka centymetrów nad ziemią, zakręcony na karuzeli własnych szaleństw, a

jednocześnie konsekwentny i niebywale uparty w dążeniach i planach.

Chyba nic nie smakowało im tak bardzo. I chociaż gęsta ryżowa (i różowa) breja trąciła spalenizną, została pochłonięta w całości. Ba! Znaleźli się i tacy, którzy z apetytem wyskrobali resztki przywarte do osmolonego kotła. Jednak na tym nie zakończono uczyty. Niezwłocznie po obiedzie pospieszono umyć garnek, aby zaspokoiwszy trywialną potrzebę żołądka, móc przygotować coś dla podniebienia. Tutaj każdy z uczestników wyprawy stawał w obliczu poważnego dylematu, gdyż z należytą porcją wrzątku można było przygotować herbatę, kawę, barszczyk, kisiel, a nawet hit XXI wieku - budyń turbo. Co bardziej niezdecydowani, choć równie dobrze można by ich nazwać łapczywymi, załapali się na kilka różnych dolewek.

I podczas gdy oni, ciasno skupieni wokół raźnie trzaskającego ognia, delektowali się przyrządzonymi specjałami, nad górami powoli zapadał zmrok. Z chwilą, kiedy ostatni promień słońca opuścił gładź nieba, przybladły jaskrawe kolory dnia i wieczorna szarość poczęła zacierać kontury skalistych szczytów, jeszcze przed chwilą nasączonych czerwonym strumieniem zachodu. Nadchodząca noc szczelnie spowijała krajobraz ciemnością, przynosząc ze sobą powiew przenikliwego chłodu. Coraz mocniej dokładano do ognia i coraz silniej zawiązywano krąg, tuląc się do gorąca płynącego z płasających płomieni w ucieczce przed długopalcym dotkliwym zimnem. Na zawieszonej tuż nad ich głowami rozgwieźdzonej płachcie nieba migotały skomplikowane konstelacje gwiazd, przecinając jednolity, wciąż tężejący granat. Wycięty wążutki sierp księżyca iskrzył, złocąc się pomarańczowo...

Gdyby ucichli na moment, usłyszeliby szelest ciszy zakłócany jedynie odgłosami palących się gałązek. Nawet

świerszcze dały za wygraną i rozkazały milczeć skrzypkom, sowy drzemały cicho, choć czujnie, z wtulonymi w pierze zakłętymi dziobami. I cały świat trwał nieruchomo z palcem przytkniętym do ust. Boże, jak błogo! Po całym dniu mozolnego wspinania się usiąść wreszcie w ciepłym gronie, grzać dłonie o kubek parujący aromatycznym, gorącym napojem i po prostu być na tym najlepszym ze światów. Bo czego chcieć więcej? Co jest więcej warte niż ta złapana w biegu chwila? Te twarze wokół, niby inne, ale wszystkie niezwykle podobne, tryskające tym samym pragnieniem smakowania życia - zachłannym, łapczywym, wiecznie niezaspokojonym. Otuleni w chusty, wielkie swetry, szale i śpiwory wyglądali jak tocząca się od lat karawana wiecznych tułaczy. W blasku ognia wydawali się jeszcze bardziej ogorzali - spaleni słońcem i wysmagani wiatrem, tak że ich rysy twarzy przechodziły ewolucję, upodabniając ich do ludzi gór. Zaostrzał się obrys oczu, twardniał zarys kości policzkowych, uwydatniały okolice ust i pewien rodzaj gotowości ujawniał się w mimice i gestykulacji - gotowości do walki i miłości, do smakowania podnieć i do zaspokajania pragnień, gotowości na wszystko, co przyniosą im następne dni. Gruszka przygrywał na gitarze i nucił popularne szlagiery, reszta wtórowała mu doniosłym śpiewem, który pewnie wdzierałby się brutalnie w wyciszony rytm przyrody, gdyby nie pochodził od ludzi, którzy w swojej miłości do gór pragnęli stać się ich nierozzerwalną częścią, uciekali w ich głuszę, aby wtopić się w pejzaż górskiej samotni.

Ewa nie знаła tu właściwie nikogo z wyjątkiem otwartego i bezpośredniego Gruszki, a mimo wszystko czuła się wśród nich bezpiecznie i dobrze. Emanowali wewnętrznym spokojem, humorem i dystansem do rzeczywistości. A może byli typowi, jak i ona, tylko chłonęli czar panującej tu atmosfery? Na pewno tworzyli bogatą galerię postaci. W tych

kilku osobach piętrzyły się rozmaite sprzeczności. Byli tu artyści i naukowcy o umysłach stricte technicznych, fani rocka, elektronicznych brzmień, piłki nożnej, fascynaci kinem francuskim, ludzie o ognistych temperamentach i typu myszy pod miotłą, wegetarianie, pracoholicy, abstynenci, buddyści, perfekcyjniści i cholerycy, osoby, które życie mogą spędzić na układaniu wielotysięcznych puzzli, i raptusy, oczekujący efektu jeszcze przed działaniem. Makarony wariowali jak dzieci, dręcząc się szturchnięciami, szczypaniem, wybuchami śmiechu, i wciągali w to widowisko wszystkich dookoła. Patrycja wodziła palcem po krawędzi kubka, końcem języka po krawędzi warg, a oczami wodziła, uwodząc kogo się dało. Błękit patrzył w niebo. Ewa patrzyła na nich. Byli piękni. Niezdolni do zła. Niezdolni do zadawania krzywdy. Wypełnieni dobrem. Makarony - Krzychu i Kacha. Nie mogła oderwać od nich wzroku. W ich przekomarzaniu ujawniała się ogromna czułość - zawarta w drobnych gestach, przelotnych spojrzeniach, które, przeznaczone do wewnętrznego użytku, stanowiły niepowtarzalny kod. Kod dwojga. Jej nigdy nie zdarzało się czuć równie swobodnie i dobrze w towarzystwie faceta. Zawsze wprowadzali ją w stan odrętwienia, wzmożonej kontroli. Traciła tożsamość. Uszczelniała skorupę, wycofywała się w głąb, rozdarta między pragnieniem bycia autentyczną a poczuciem obowiązku, aby spełnić cudze oczekiwania. Strach przed odrzuceniem całkowicie ją paraliżował. Ale z Gruszką było inaczej. Nie uważała na słowa, nie przybierała póz i pozwalała sobie na wiele.

Przyłapał ich. Każdy uważniejszy obserwator zaraz by zauważył, że iskrzy między nimi jak cholera. Gruszka niemalże każdą piosenkę wył jak wilk do księżyca z cielęcym wzrokiem utkwionym w niej.

A ona? Co rusz rzucała mu tkliwe, teatralnie płochliwe spojrzenia tymi swoimi skośnymi oczami, które teraz pod

wpływem szczypiącego dymu zeszklify się, nadając złośliwemu pyszczkowi szczyptę łagodności. Tylko że on - Błękit - wiedział już, jak złudne było to wrażenie. I choć jeszcze coś pozytywnego drgało w nim, gdy mimochodem spoglądał na tę dziewczynę, to w gruncie rzeczy był przekonany o nieomyślności pierwszego sądu. Wszystko lubił, ale nie lubił przemądrzałych panienek zadzierających nosa. Głupia lisica.

Krąg pustoszał. Towarzystwo rozchodziło się albo nad rzekę dokonać wieczornych ablucji, albo na romantyczny spacer lub mniej romantyczne igraszki seksualne.

Będzie się potem można pochwalić kumplom: Brałeś kiedyś pannę przy zwałonym pniu w górskiej głuszy, tak że jej krzyk ciął nocne mgły nad przepaścią? Albo zanotować w blogu, albo umieścić we wspominkach za 50 lat: Widzisz, wnuczku, dziadek też kiedyś miał fantazje - tak się wówczas powie. I staną przed zamglonymi oczami młode lata, żywioł, energia i może nawet wróci na podniebienie smak osmolonego ryżu lub osiadzie w nozdrzach zapach ogniska. Ogniska, które już dogasało. I tylko oni, zapatrzeni w ostatnie iskry, duszone szczątkami wypalonego drewna, czuwali nad dogasającym żarem. Ewa i Gruszka. Ramię w ramię. Zupełnie blisko. Gdzieś na końcu świata. Gdzieś pomiędzy wierszami.

- Zobacz, ile osób nie przeżyje tego, co my. Ilu z nas, młodych, nie wyjdzie poza krąg grilla, wyjazdu nad morze, działkę, pensjonat w Mielnie, hotel w Zakopanem - mówił Gruszka, a ona lubiła go słuchać, kiedy rozprawiał o czymś z takim przejęciem i zaangażowaniem. - Moi starzy opowiadają o kulturze studenckiej, rajdach, spływach, żaglach, wędrówkach po górach, esteesie, kabaretach i festiwalach, a my co opowiemy naszym dzieciakom? No wiesz, Piotrusiu, Wojtusiu, Karolinko, my za młodu oglądaliśmy filmy na komputerze, siedzieliśmy godzinami na gg, czasem chlaliśmy do nieprzytomności w pubach albo akademikach, paliliśmy fajki i czytaliśmy kolorową prasę. Świat znamy jedynie z mediów. Cała nasza wiedza to wiedza a priori, przeżycia to symulacje - telewizyjne, komputerowe, wirtualne. Strach, miłość, piękno, przyroda i podniecenie stają się wartościami sztucznie generowanymi, a my doznajemy tego, co zaplanują za naszymi plecami agencje reklamowe, specjaliści od PR,

producenci programów telewizyjnych. Odwrotnie niż u Orwella - tam śledzono ludzi za pomocą monitorów, kontrolując ich zachowanie, a my, zapatrzeni w podobne ekrany, na własne życzenie stajemy się robotami, które realizują określone schematy. Wierzę w jeden święty apostołski kościół, wyznaje jeden chrzest - wiat globalizacja!

Ewa odsunęła się odrobinę, aby móc na niego patrzeć. Rozpalone źrenice, żywa gestykulacja i paradoksalna w tym wszystkim bezbronność oraz nieporadność. Bezdomny szczeniak - wychudzony, potrzebujący ciepła i opieki - o wielkich, błagalnych, ale przecież wesołych, przewrotnych ślepiach. Szczeniak, którego chce się przygarnąć, schować pod skrzydłami i szepnąć do ucha: Cieszę się, że cię znalazłem.

Ognisko dogasło. Ucichł rwetes, kręcili się jeszcze w namiotach, ale powoli nastawała nocna cisza. Oni też instynktownie przyciszyli głos.

- Kiedy byłem dzieciakiem - zaczął Gruszka - bardzo lubiłem, gdy babcia przywoziła mi takie skondensowane mleczko w tubce. Pewnego dnia czekałem na nią całą sobotę i całutką niedzielę, a kiedy okazało się, że tym razem babcia nas nie odwiedzi, byłem załamany. Odszukałem więc stare puste opakowanie po mleczku i postanowiłem sam je sobie wyprodukować. Kupiłem mleko, cukier, jajka. Emulgatory i konserwanty sobie odpuściłem. Nie znałem tego, więc uznałem, że są nieistotne. Włożyłem fartuch mamy, przygotowałem do produkcji miski, mieszadełka, lejek i inne akcesoria. I zacząłem. Pełen wiary połączyłem wszystkie składniki, proporcje wymierzając na oko. Wyszedł jeden wielki, ohydny glut. Nawet mój pies nie chciał tego zjeść. Kurczę, Ewa, jeszcze wtedy dzieciaki były kreatywne, jeszcze wtedy nasze umysły pracowały, mieliśmy marzenia, dziś

pewnie śmieszne, ale one cholernie wzbogacały nasze dzieciństwo.

Tkliwość. To chyba tym słowem mogłaby określić emocje, jakie w niej wzbudzał. Mówił truizmy, ale z takim wewnętrznym przekonaniem i żarem, że nie można było przejść wobec nich obojętnie. I to słodzone mleczko obok napojów w woreczku ze słomką, andrutów, wielkich wafli, które mamy i babki przekładały kremem czekoladowym ze słoika z wiewiórką na naklejce. To wszystko tworzyło pyszne tło lat dzieciństwa. Gorzkiego wtedy, a dziś przesyconego słodką nostalgią. A w Gruszce jak żywe wciąż funkcjonowały ideały z bajek. Dla niego świat był czarno - biały, pozbawiony niuansów i niedomówień. Położyła dłoń na jego dłoni.

Nagle wysoka, ciemna postać wyrosła tuż przed nimi i ostry snop światła gwałtownie przeciął im powieki.

- To wy. - Błękit zgasił latarkę i schował ją do kieszeni. - Szedłem was szukać.

Gruszka zachowawczo, jak dziecko przyłapanie na kradzieży drobnych z portfela ojca, odsunął się od Ewy i zaczął się tłumaczyć:

- Rozgarnialiśmy żar, gasiliśmy ogień, zagadaliśmy się.

Przecież czekali, aż dogasnie, naprawdę się zagadali, a teraz plątali się w zeznaniach jak nieletni winowajcy. Ewa, aby nie zepsuć strategii obmyślonej jeszcze w Londynie przez Kratkę, a Gruszka w obawie przed utratą czegoś, co dopiero szkicowało się w jego sercu. Dlatego niespodziewana obecność Błękitą odjęła im pewność siebie i dopiero w drodze do namiotu Gruszka zdążył szepnąć Ewie, że wymkną się do szalasu, gdy już wszyscy zasną. Nie ma co robić zbyt wielkiego szumu, wzbudzać niepotrzebnych sensacji, prowokować plotek. A oni potrafią i lubią gadać - wyjaśnił.

Kiedy weszli do środka, Makarony leżeli już niczym zmumifikowani w swoich śpiworach. Głowa Kachy

poddańczo wetknięta w mocne objęcia Krzycha unosiła się i opadała miarowo, i tylko ciemne pukle włosów, zaplecione w ciasne warkocze, spoczywały na wierzchu. On natomiast leżał na wznak szczelnie schowany w ciepłym kapturze, z którego wystawał jedynie okazały nos, zaczerwieniony od kataru i zimna. Spali, pochrapując lekko i równo miernie. Nie pozostawało nic innego jak też się rozebrać, szybko zakopać w miękkim pościeliu i zasnąć. Po omacku grzebali w swoich plecakach, dokopywali się do ciepłych bluz i skarpet, już w śpiworach zmieniali ubranie, trącąc się nawzajem, wykonując skomplikowane figury akrobatyczne, aby móc wyciągnąć się i w tej przyjemnej, choć krępującej ruchy ciasnocie, wreszcie zasnąć.

Ewa podwinęła nogi i skuliła się, przymykając ciężące powieki. Z jednej strony dotykało ją kanciaste ramię Makarona, z drugiej ułożył się Błękit, napierając na nią masywnym ciałem. Teraz, kiedy już leżała, wcale nie chciało jej się ruszać dokądkolwiek, a tym bardziej do zimnego, zwilgotniałego szalasu. Może Gruszka się rozmyśli, też zaśnie? Oby. Błoga fala snu nadciągała powoli. Zobaczyła jakieś obce twarze, inne miejsca i pogrążyła się w mirażu sennych marzeń, wirażu nocnych wierzeń...

Dzieliło go od niej raptem kilka milimetrów materiału, przez który biło ciepło. Ostrożnie, aby nie poruszyć Gruszki, Robert przysunął się i przywarł do niej całą powierzchnią, chcąc każdym kwadratem skóry przylegać do obcego, ale prowokującego wulkanu kobiecości. Nawet jeśli wciąż dzieliła ich materia śpiwora. Udając, że ruchy te wykonuje zupełnie bezwiednie, przez sen, siląc się na idiotyczną mistyfikację, przysunął rękę do jej splecionych na piersiach dłoni, tak aby choć mikrocząsteczką dotykać nagiego skrawka jej skóry. Pierwszy raz od czasu Sofii był tak blisko dziewczyny. Z wyjątkiem tamtej, ale wtedy byli zbyt pijani, by rozbudzić

cokolwiek poza zwierzęcym, bezmyślnym instynktem. Dopiero teraz, przy Ewie, aż bolało go z nieukojonego pragnienia. Nieważne, że nie była w jego guście, że go nie pociągała, wystarczyło, że emanowała kobiecością, która pobudzała jego erotyczną wyobraźnię, wyostrzała zmysły i podsycała głód miłości, niezaspokojony od czasu przyjazdu do Polski. Przypominał zdziczałego psa zwabionego zapachem świeżej krwi. Boże, jak bardzo brakowało mu teraz tej ślicznej czarnookiej bogini, jaką tam stała się dla niego Sofia. Jednak jej nie można już było wymodlić, wyklęczyć, wybłagać pielgrzymką. Prysła niczym czar. Sen. Sen nocy letniej, lipcowej, leniwej.

* * *

Ten pierwszy raz, kiedy ona zakrada się do jego pokoju, wyrywa go ze snu i zaczyna pieścić - najpierw leciutko, drażniąc napięte już struny, a potem coraz mocniej, intensywniej dostrojone do rosnącego niemego pożądania. W ciemnościach dostrzega tylko profil jej twarzy, zarys nabrzmiąłych oliwkowych sutków, linię jej talii i bioder - okrągłych, apetycznych jak świeżo wypieczone bułki. Może się tylko domyślać, że jest jedną z córek gospodarza winnicy, u którego pracuje. Ciężkie loki opadające na smukłe ramiona falują wraz z pełnymi piersiami i całym jej tułowiem wygiętym w paraliżującym skurczu cierpienia. Rozkosznego. Każda komórka jej skóry pęcznieje pożądaniem, wyciskając krople srebrzącego się solą potu. Bez słowa całuje jej szyję, uszy, kark, zlizując słony smak, jakby dopiero co wyłoniła się z morskiej piany. Ona dyszy nad nim ciężko, jęczy, skomle, a on w zupełnym milczeniu poddaje się jej żądaniom. Patrzy, jak opada i wznosi się zakłętą rytmem, który napędza puls jego krwi, spienionej w żyłach i tętnicach. Gnieciony boleśnie rozkosznym dotykiem traci świadomość, doznaje zawrotów głowy, drętwieje dławiony zalewającymi go falami palącego

gorąca. I jeszcze potem, gdy leżą zmęczeni obok siebie - próbując wyrównać oddechy - podniecenie nie maleje. Zamyka oczy, aby opanować mdłości i mocne bicie serca, a kiedy je otwiera, przez okno wpadają wąskie prążki wschodzącego słońca. Świt sączy się do chłodnego kamiennego pokoju, a puste miejsce, gdzie leżała ona, wydaje się nadal ciepłe.

Ta pierwsza noc z Sofią była początkiem ich historii, zdaniem Roberta najpiękniejszego romansu wszech czasów. Gdyby miał talent albo „dobre plecy”, kasę czy wuja polityka, nakręciłby film, piękny film. Kradnąc piękno. Jak by ten tytuł brzmiał po angielsku?

Błękit sennie obrócił się na drugi bok. Spał.

Księżyc już zachodził za ostre koniuszki świerków, kiedy Gruszka i Ewa przedzierali się cicho przez obozowisko. Przenikliwy chłód truchtał im po plecach, przebiegał przez jej cieniutką bluzę tak, że Ewa nie mogła zapanować nad szczękającymi zębami i drzeniem telepiącym się po ciele od środka - opanowującym kolana, tułów, ramiona i wyżej aż po cebulki włosów. Tymczasem dłoń Gruszki była ciepła, a uścisk mocny i pewny. Teraz w ciemnościach droga wydawała jej się dłuższa i trudniejsza, ale Gruszka prowadził zgrabnie i zdecydowanie, więc już kilka minut później znaleźli się u celu.

W szałasie palił się mały ogień - może świeca albo lampion. Ewa przystanęła, ciągnąc za sobą Gruszkę. Zobaczyła dwóch potężnych, czerstwych ukraińskich wieśniaków o dzikich, bezwzględnych oczach, niegolonym tygodniami zarostie i czarnych obgryzionych paznokciach. Ujrzała ich lubieżne uśmiechy i usłyszała obleśny rechot. Poczwała na sobie wielkie masywne łapska, śliskie języki i twarde samcze penisy. - Tam ktoś jest!

Złapała za bark Gruszkę, wpatrując się w światło szałasu. Złudzenie. Figiel umysłu. Fatamorgana lęku. Przecież równie dobrze mogli być młodymi ukraińskimi wędrowcami z duszą schowaną w zarzuconym na ramię tobołku. Mogli być jak muminkowy Włóczykij, a jednak znacznie prościej i szybciej wyobraźnia podsuwała to, co złe, plugawe, odrażające. Dlaczego? Nie tracąc czasu na zbędne rozmowy, Gruszka gwałtownym ruchem poderwał Ewę, uniósł ją i zaczął biec w stronę szałasu. Nie miała nawet śmiałości krzyknąć. Zatrzymali się dopiero przed wejściem.

W środku leżało staranne posłanie z koców, na którym stał termos. Świeczka, umocowana i zabezpieczona w glinianym naczyniu, rzucała poświatę na oblepiony żywiczny dach z

jałowca. Ewa roześmiała się i szturchnęła Gruszkę przyjaznym kuksańcem, podczas gdy on zajęty był już rozcieraniem jej zziębniętych dłoni. W końcu nalał herbatę i ułożył się wygodnie, przyciągnąwszy ją do siebie. Wreszcie był z nią sam na sam i nie mógł się nasycić tymi chwilami, które już teraz ulatywały zbyt szybko. Dochodziła druga, zostały im raptem cztery godziny do pobudki i nowego dnia, dla Gruszki wypełnione dłużącymi się godzinami tęsknoty i oczekiwania. Dlatego kiedy ułożyli się już w ciepłym szalasye pachnącym leśnym bursztynem, zdmuchnęli fioletowy płomień świecy, Gruszka jeszcze długo walczył z natrętną sennością, aby możliwie jak najbardziej oddalić chwilę nastania świtu. Ewa natomiast zdążyła się przeciągnąć, ziewnąć i, już pogrążona w cudnym niebycie, posapywała smacznie. Leżąc tuż koło niej, Gruszka po raz kolejny rozpamiętywał każdy szczegół minionego dnia - analizował drobne gesty, spojrzenia, uśmiechy, aby przekonać się, że nic, co się wydarzyło, nie było pozbawione głębszego znaczenia. Każda piosenka, jakie śpiewał przecież od lat, dziś nabierała nowej treści, znajdowała adresata, wreszcie przestawała być jedynie zgrabnym ciągiem pociętych zdań, wreszcie stanowiła instrument do tego, aby wyrazić wszystko, co trudno wyrażalne. I pomyśleć, że czekały na nią tyle czasu. I kochała teatr. Choć przecież to nie mogło decydować. Ameli też kochała drewniane podesty sceny i cóż z tego? Zanim zdecydowali się spotkać, przegadali wiele nocy, napisali do siebie dziesiątki obszernych maili - poruszyli chyba wszystkie palące zagadnienia filozoficzne, przedyskutowali wydarzenia sceny politycznej kraju i świata, spierali się o lektury, oglądali te same filmy i, kiedy już zapragnęli poznać się w rzeczywistości, wszystko to, co zbudowali przez miesiące, runęło. Ameli oświadczyła, że wyjeżdża za granicę. Próbował rozmawiać, walczyć, błagał chociaż o jedno spotkanie przed

jej wyjazdem, ale ona argumentowała uparcie, że to jeszcze pogorszy sytuację, że i tak jest jej ciężko. A jemu? Czy pomyślała o nim? Miał zbyt mało narzędzi perswazji. Tylko słowa. Nie mógł chwycić jej za rękę ani unieść podbródka, ani spojrzeć błagalnie w oczy jak kot ze Shreka. Nie mógł jej objąć, przytulić, podarować ciepła, które nie pozwoliłoby tak łatwo dać się porzucić. Wtedy raz na zawsze skończył z siecią i idiotycznym mirażem internetowych znajomości. Cierpiał. Tęsknił. Rozmyślał. O czym? O własnej imaginacji. O kimś, kto może wcale nie istniał. Snuł się podobny do zbitego psa, godzinami słuchał Komedy, unikał znajomych i tylko noc w noc dłubał swoje lalki, zamknięty w czterech ścianach ciemnej, maleńkiej pracowni. Wtedy, po wyczerpującym okresie apatii, wpadł na pomysł założenia własnej firmy. Ile się wtedy musiał nachodzić, nazałatwiać, żeby ją zalegalizować - wpis do ewidencji, NIP - 1, VAT - R w Urzędzie Skarbowym, konto bankowe, ZZA, DRA w ZUS - ie - tony papierów, tony analiz, przetarte buty, tłumy na sali. Potem ślęczał nad repertuarem, robił kukły, konstruował lekką przenośną scenę. Zawalił semestr na uczelni, ale wtedy żył tylko tym pomysłem. W akcję promocyjno - reklamową zaangażował rodziców, znajomych i sekcję. Cały Poznań obwieszony był plakatami, ktoś znalazł wejście do lokalnych rozgłośni radiowych, a nawet udało im się zorganizować happening na placu Mickiewicza. Były pomysły i choć kasy wciąż brakowało, Gruszka nie odważał chały, tak jak to robią szkoły językowe rozstawiające frajerów z ulotkami na każdym skrzyżowaniu, którzy atakują przechodniów niczym plaga szarańczy i wpędzają ich w dylemat: wezmę i wyrzucę - nieekologicznie, nie wezmę - niespołecznie, bo dzięki temu ktoś ma pracę. Firma ruszyła, całe lato wojował w dziekanacie, a teraz poznał Ewę. I z nią leżał cicho pod iglastym dachem, przez który obserwował blednącą już noc,

powoli rozplywajacą się w mglistym, chłodnym świetle. Przymknął powieki i pogładził Ewę po włosach. Były miękkie. Jak kacuszka. A ona poruszyła się lekko i w półśnie instynktownie objęła jego ramię.

III

DZIEŃ DRUGI

Ewa gdzieś na dnie snu słyszała gwizdek pobudki i rwetes, który powstał kilka minut później, ale wtulona w gniazdko Gruszkowych ramion nie miała najmniejszej ochoty wstawać. Tak pysznie się drzemie, czując pierwsze promienie słońca roztaczające ciepłą aurę poranka. Dzień budził się żywo i radośnie pobrzękiwał odgłosami życia - gdzieś w oddali dźwięczały dzwoneczki owiec, już od rana rozbrzmiewała gitara, słychać było pokrzykiwania, nawoływania, trzaski łamanych gałęzi. Mrok szałasów rozwijał nad nimi zasłonę chroniącą przed demaskującym światłem i dawał im poczucie intymności. Spała z nim jak pierwsza z brzegu, jedyna na świecie i wcale nie chciała tego zmieniać. Wcisnęła się jeszcze mocniej, tak aby słyszeć jego równy oddech, i wdychała miły jesienny zapach jego bluzy. Wyobrażony szelest rdzawych liści klonu uspił ją ponownie i kiedy otworzyła oczy, w szałasie panował już skwar, a Gruszka gorączkowo zbierał rzeczy.

- Która godzina? Co się dzieje? - Próbowwała zorientować się w sytuacji, lecz Gruszka zajęty ewakuacją, mrucał coś pod nosem.

- Błękit jest nieobliczalny. A my mamy przesrane na całej linii. Nie ma nic gorszego, niż wkurzyć Błękit i Makarona. A oni lubią robić cyrk o pierdoły. Szukali nas kilka godzin, mamy trochę opóźnienia, ale czy to powód, żeby tak reagować? Oni zawsze muszą być na serio. Zachowują się, jakbyśmy zdobywali Mont Blanc.

W milczeniu zrolowali koce, pozbierali naczynia, włożyli buty. Nastrój nocy prysł, przekłuty poranną wpadką. Zanim ruszyli do obozowiska, Gruszka jeszcze objął Ewę i spojrzał na nią uważnie. Roześmiała się na wszelki wypadek, gdyby niechcący stało się niebezpiecznie, a wtedy on pocałował ją w czoło i puścił, aby podnieść ekwipunek. Ruszyli pod górę.

Kolorowe kaptury namiotów pozbawione powietrza leżały pogniecione, puste plecaki z porozrzucaną zawartością tonęły w bujnej trawie, a wszyscy krzatali się wokół, zbierając śledzie i szpilki, zwijając śpiwory i przygotowując się do wędrówki. Wejście Gruszki i Ewy przywitano złowróżbnym milczeniem. Przerwano dotychczasowe czynności i czekano na rozwój wydarzeń. Mijając namioty, Ewa miała wrażenie, że czas się zatrzymał, a świat zamarł. Ucichły rozmowy, szelesty składanych tropików i tylko drzewa i ptaki nie robiły sobie nic z tego - w końcu nie takie rzeczy widziały na świecie.

- Spakujcie się i idziemy - zarekomendował Makaron, nie podnosząc na nich wzroku. - Przez was mamy ponad dwie godziny opóźnienia.

Niby błahy problem, prawda? Na papierze wydaje się tak bagatelny, że nie powinien być nawet uwieczniony. Ot, dwoje ludzi zaspalo. Reszta ich szukała. Ale przecież jest lato, wakacje, góry, luz. Nie spieszą się na samolot ani na spotkanie z prezydentem. Wędrują swoim rytmem. A jednak stwarzają problem. Dlaczego? Dlaczego człowieka wyprowadzają z równowagi bzdury, które są niczym w skali życia, iskrą w wymiarze bytu, drobiazgiem, pierdółką, odpustowym badziewiem, które kupimy, wyrzucimy i zapomnimy. Dlaczego narasta złość, bo ktoś się wyłamał, bo zrobił trochę inaczej, bo zlekceważył grupę? Zlekceważył grupę, której nie można lekceważyć. Grupa jest jednością - wspólnym organizmem. Grupa, aby zdrowo funkcjonować i działać skutecznie, musi pozbawić indywidualności swoich członków. W tym przypadku priorytetem jest wędrówka. Gdyby każdy zechciał się wyłamać, spełniać własne kaprysy i zachcianki - jeść, gdy jest głodny, myć się, pić i spać według swojego widzimisie - wówczas zatrzymaliby się już na pierwszym podejściu, a potem rozsypali jak pudełko zapalek. I Gruszka to wiedział, i było mu szczerze głupio, ale dyskusja nie miała

sensu. Oddalili się więc pokornie, aby nie zaognić atmosfery i nie prowokować wiszącej w powietrzu awantury. Błękit, nie odzywając się ani słowem, pomógł im w pakowaniu i dopiero na szlaku, kiedy został sam na sam z Gruszką, wystrzelił salwę wyrzutów.

- Czy ty, chłopie, zupełnie zgłupiałeś? Dezorganizujesz wszystko. Nie wiadomo, gdzie jesteś ani kiedy wrócisz. Część panikarzy umiera ze strachu o twoją dupę, a ty zabawiasz się w najlepsze. To jest dzicz. Cholera wie, co się może wydarzyć - krzyczał, opętany gniewem. - Umieraliśmy ze strachu o wasze tyłki, a wy tymczasem beztrosko sobie baraszkowaliście.

Gruszce pulsowały skronie, ale nie mówił nic. Niech sobie ulży. Trudno.

- Nie sądziłem - pienił się dalej Błękit - że przy jednej, w dodatku głupiej pannie cały rozsądek ucieknie ci do kutasa.

Gruszka przystanął. To było przegięcie.

- Ona nie jest głupia, a jeśli chodzi o kutasa, zajmij się swoim - wycedził. - Chyba że mam ci przypomnieć historię z tamtą dziewczyną, którą potraktowałeś jak wystawowego manekina. Na oczach wszystkich! A może - Gruszka sam siebie nie poznawał - ty jesteś o nią zazdrosny, Robert?

- No rzeczywiście. - Błękit przybrał jeden z najbardziej sarkastycznych wyrazów twarzy. - O to chude, złośliwe szkaradztwo o małych oczkach?

Na takie słowa można było tylko odpowiedzieć piorunem z nieba, ale ono, na złość, rysowało się nieskazitelnie czysto. Nie pozostawało nic innego, jak czym prędzej się oddalić. I tak właśnie Gruszka uczynił, zostawiając Błękitą samego. Błękit natomiast zwolnił i szedł na końcu razem ze swoją nie do końca wypaloną złością, wzbierającą niczym niewylana łza, wykrzyczana tylko do połowy pretensja. Ale złość, w przeciwieństwie do łez, dodaje energii, spina organizm i

wrzuca na wysokie obroty. Smutek sprawia, że wiotczeją mięśnie, zjawia się apatia i niechęć. On miał chęć. Oj, miał. Najchętniej przyłożyłby komuś. Samiec musi czasem w ten sposób rozładować emocje. Najprościej i najskuteczniej. Błękit zawsze chciał być samcem - twardzielem, atawistycznym przedstawicielem gatunku, nieujarzmionym kulturą i rosnącymi z dnia na dzień feministycznymi trendami. Miał jednak świadomość, że się zagalopował, powiedział słowa, których nie myślał, a wiedział, jak mogą zaboлеć. Zauważył przecież: chłopak kompletnie oszalał na jej punkcie. Z drugiej strony, trochę nerwów przez nich stracili. Byli w dzikim kraju, w zupełnej głuszy, oddaleni od najbliższego załączka cywilizacji przynajmniej o jeden dzień marszu - bez telefonów komórkowych, nawet bez gołębia pocztowego. Nawoływano, gwizdano - bez rezultatu. Potem się rozdzielono i przeszukano okolicę. Że też akurat on musiał na nich natrafić. W jednej chwili zapomniał o przerażeniu i poniesiony gniewem, huknął na szczeniaków. Przyłapany in flagranti Gruszka skoczył na równe nogi. Jego wielkie zdziwione oczy rozszerzyły się jak spodki. Żałośnie i komicznie. Kiedy ją bzykał, musiał mieć inny wyraz twarzy. A teraz, zdemaskowany, znów stał się małym chłopcem. Ruda natomiast była bezczelna. Zakopana w posłaniu i nieświadoma niczego pomlaskiwała, śniąc pewnie o urojonych przyjemnościach. Ciekawe jakich?! Boże, jak ona potrafiła irytować! Rozdrażnienie powoli mu mijało. Niestety bardzo powoli. Zapatrzył się we wgniatane w ziemię kamienie, które znikwały pod stopami, i ujrzał kamienne plaże. Kamienne plaże Italii - ciepły, wilgotny, cytrusowy półwysep, gdzie spędził magiczny rok - jedyny taki rok w jego życiu. Od tej pory Robert Janicki żył w przeświadczeniu, że nic równie niesamowitego już mu się nie przytrafi. Polska szara codzienność, umiarkowany klimat, gdzie trzy czwarte roku

człowiek trzęsie się z zimna, nie stanowiły odpowiedniego tła dla takich przeżyć. Południowe, śródziemnomorskie krainy nabrzmiące ludzkim temperamentem, obfitością smaków i zapachów zupełnie naturalnie stanowiły warunki do szczególnie intensywnych przeżyć. Doskonale zapamiętał pierwsze wrażenie, kiedy po trzydziestu godzinach męczącej podróży autokar wysadził go w małej wiosce, położonej w dolinie zamkniętej kręgiem niewysokich pagórków, na których, wokół kamiennych domków, rozciągały się gospodarstwa.

* * *

Słaniając się na nogach, rusza w poszukiwaniu jakiegoś skrawka gruntu, aby rozbić namiot. Ma trochę euro, aby zapłacić za wodę i nocleg. Towarzyszy mu szczęście, nie szuka bowiem długo. Przyjmują go w pierwszym odwiedzionym domu - już z daleka gospodarz, krępy starszy człowiek o czarnych, ciepłych, ale bezwzględnych oczach i twarzy z kilkudniowym zarostem, krzyczy na powitanie, a obszernym ruchem ręki zachęca do wejścia. Chwilę później w korytarzu pojawia się spory tłum osób w różnym wieku, ciekawych nowego gościa. Nie ma możliwości dojść do słowa (zresztą mało kto rozmawia po angielsku) i zanim rozejrzy się po wnętrzu, już siedzi, ugoszczony przy stole na wciśniętym dla przybysza dodatkowym krześle. Błat aż ugina się od przeróżnych śródziemnomorskich przysmaków - są i ryby, i mięso, i kosze pełne świeżych owoców - półksiężyców melonów, mechatych brzoskwiń. Potężne kiście winogron spływają z mosiężnych półmisków, a wszędzie pachnie cytrusami i jakąś nieprawdopodobną mieszanką przypraw. Pani domu - śniada szatynka spowita w czerwoną tunikę i obwieszona masywną biżuterią - energicznie krząta się między jadalnią a kuchnią, niosąc koktajle, sałatki i zaganiając wszystkich do stołu z wieczornym posiłkiem. Ani na moment

nikt nie przerywa rozmowy, co więcej, mówi się tu jednocześnie i chyba nikomu nie przeszkadza, że w rezultacie wszyscy nadają, a słuchaczy brak. Największym zainteresowaniem obdarzają Roberta dwie małe dziewczynki, uporczywie kopiące go pod stołem i chichoczące przy tym radośnie oraz kilkunastoletni chłopak, który zafascynowany militarnym ekwipunkiem wędrowca, bierze go za żołnierza i teraz za wszelką cenę chce się dowiedzieć, jak to jest walczyć na prawdziwej wojnie. Robert zamiast niezwłocznie rozwiązać złudzenia młokosa, podejmuje grę i puściwszy wodze fantazji, opowiada mu o bataliach na Bałkanach, manewrach w Czeczenii i działaniach antyterrorystycznych w Afganistanie, w których śmierć deptała mu po piętach, plując kulami tuż nad jego uchem. Reszta domowników, pochłonięta sobą, nawet nie przypuszcza, że ich dojrzewający chłopak właśnie podejmuje życiową decyzję - pójdzie na wojnę. Nie słyszą, że Robert tworzy historie rodem z amerykańskich filmów wojennych, a widząc rozpalone fascynacją oczy słuchacza, nie może się oprzeć, aby nie ubarwić swojego skromnego życiorysu. W ten sposób staje się największym bohaterem młodego Włocha. Idolem, przez którego dzieciak może wieczorem nie umyć prawej ręki. Tą ręką witał się z herosem naszych czasów.

Ale zaraz, kątem oka Robert dostrzega jeszcze kogoś, uważnie przysłuchującego się rozmowie. Spod bujnej czarnej grzywki co rusz błyskają zwrócone ku niemu wielkie ciemne oczy, jednak ilekroć próbuje przyłapać te przelotne spojrzenia, nadawczyni sygnałów natychmiast odwraca wzrok i zagaduje usadowione po bokach siostry. Już dawno Robert nie napawał się tak apetycznym widokiem. Siedzą razem - młode, świeże, o podobnych rysach, takich samych ciemnych włosach, odziane w letnie wzorzyste sukienki, odkrywające smagłe oliwkowe ramiona - wydają się identyczne i dopiero

po uważnej, lecz dyskretnej obserwacji, można dostrzec dzielące je różnice.

Siostry Maria, Sara i Sofia - studentki uniwersytetu w Bolonii - przyjechały tu na wakacje do ojca. Najmłodsza z nich, siedząca pośrodku Sara, ma szczupłą twarz okoloną gęstwiną loków upiętych w luźny kok, z którego wysuwają się wysadzone kamieniami szpilki. Co chwila poprawia je, wdzięcznie potrząsając małą główką, i dalej szczebiocze wesolutko, aby skupić na sobie całą uwagę sióstr. Za każdym razem, kiedy ona zanosi się perlстым śmiechem, one wtórują jej, lecz śmiech Sofii wydobywa się z pewnej głębokiej oddali, a pod rozchyłonymi kącikami warg Marii czai się troska: obejmuje młodszą siostrę ramieniem, a jej twarz o klasycznym profilu, ściągnięta gładką fryzurą, tchnie powagą, a nawet smutkiem. I tylko trzecia z nich - Sofia - wydaje się nieobecna; siedzi niespokojnie, rozgląda się dookoła i przelotnie zerka na obcego mężczyznę. Czyli niego. Roberta. Jest bardziej korpulentna niż siostry, a mięsiste splety zaczesanych w ciężki węzeł włosów spływają jej po karku. Osadzone na przegubach srebrne bransoletki brzęczą przy najmniejszym poruszeniu dłoni o paznokciach w kształcie migdałów i łososiowym manikiurze. Można ulec wrażeniu, że jej pięknie wypielęgnowane ręce żyją własnym życiem: rozdaje półmiski, nalewa napoje, a wszystkie te czynności wykonuje z niesłychanym pietyzmem i delikatnością. Dopiero po czasie Robert reflektuje się, że z otwartą gębą śledzi, jak jej drobne paluszki skubią owoce daktyla w mig znikające w ślicznie wykrojonych usteczkach. Jest niczym soczysta morela, aż chce się ją schrupać - taka gładka i jędrna. W ogóle dom ten cieszy się dobrym zdrowiem - ich ciała są ogorzałe i krzepkie, zupełnie inne niż sylwetki ludzi północy. Błady i z zapadniętymi policzkami Robert wygląda przy nich mizernie, ale liczy, że pobyt tutaj dobrze mu zrobi i wkrótce on również

nabierze mięsności i sprężystości. Jego rodzina nie była nigdy taka ciepła. Tu aż tętni ludzkim żywiołem - wszyscy obdarzają się czułymi gestami, młodzież tuli się do mam, ciotek i dziadków, nawet nastolatki wdrapują się starszym na kolana, aby zasmakować dziecięcych pieszczot. Robert nigdy nie pozwalał sobie na takie zachowanie w stosunku do bliskich, dlatego teraz, wśród tylu przyjaznych sobie osób, doznaje palącej zazdrości. Pragnie wtopić się w tę fascynującą gromadę. Potem jeszcze do późna trwa biesiada na patio i dopiero nad ranem towarzystwo udaje się na spoczynek. To tutaj spędzi cały następny rok - w pierwszym odwiedzionym domu, który wkrótce pokocha jak swój własny.

Prażyło od samego rana. Jeszcze długo przed południem tarcza słońca biła w nich żywym ogniem, aż gęsta para ulatywała ze spoconych ciał. Na szczęście często napotykali zimne przejrzyste strumienie, z których czerpali świeżą wodę, aby uzupełniać braki. Spiesznie gasili pragnienie i, zanurzając dłonie w lodowato płynącym kryształach, spryskiwali twarze, a dopiero na końcu napełniali butelki i wyruszali w dalszą drogę. Tu, gdzie dotarli, było coraz mniej drzew, a tylko liczne karłowate krzewy i porosty oplatały brunatną wyjałowioną ziemię. Suche i wynędzniałe przybierały barwy upodabniające je do rdzawego podłoża. Gruboziarnista gleba głośno chrzęściła pod butami, ale szło się dobrze - ubity grunt nie zapadał się pod stopami, ubogi teren oszczędzał wielu przeszkód, a intensywny błękit nieba odświeżał cały pejzaż, pozbawiony na tej wysokości soczystej zieleni. Szli zwartą grupą, nucąc marszowe piosenki, pstrykając sobie fotki i przystając raz po raz, aby zachwycić się widokiem lub spełnić życzenie najbardziej nieznośnych, którzy zawsze mieli z czymś problem: Ej, poczekaj, wyjmij mi spod kłapy butelkę z wodą; słuchaj, a możesz mi podać aparat z prawej kieszeni; sorry, ale poluzowała mi się szelka, przytrzymasz?

Na przełęczy, do której dotarli koło południa, nieodłączny w wędrownie skwar złagodzony został już przez rześki wiatr, przyjemnie smagający rozgrzaną skórę i odgarniający uporczywe kosmyki włosów. Tutaj można już było zachłysnąć się przestrzenią, która zdawała się nie kończyć, rozciągnięta aż poza granice ludzkiego wzroku. Spojrzenia przybyszów zatrzymywały się więc na oddalonych o kilkadziesiąt kilometrów szczytach, zasnutych drobno utkaną mgłą - pilną strażniczką widoczności. Wszystko, co znajdowało się za nią, stanowiło dla nich tajemnicę drogi.

Obiad zjedzono na samym szczycie usypanym z białych kamieni, porośniętym zgniłozielonym mchem. Piętrzący się obok stos plecaków utworzył na nim jaskrawy monument widoczny hen, hen daleko. Rozeszli się w różne strony - to za potrzebą, to gnani zapalem uwiecznienia kuszących widoków. Znaleźli się również tacy, którym przypadło w udziale przyrządzanie posiłku. Chętnych nie brakowało, a przyciągnięci możliwością podjadania, zaraz ochoczo zabrali się do pracy. Kraciasta cerata, cudem zdobyta na jednym z ruskich rynków, fruwała na wietrze, tak że potrzeba było kilku osób, aby móc spokojnie zająć się robieniem kanapek. Ewa w ramach odkupienia win też przystąpiła do pichcenia. Niekontrolowane spojrzenia odpływały w stronę Gruszki, lecz on, zajęty akurat oględzinami niebywałego odkrycia geologicznego, zdawał się jej nie dostrzegać. Gruszka był kolekcjonerem kształtów. Inspirowały go formy, które pobudzały wyobraźnię i sprawiały, że można się na nie gapić codziennie, a każdego dnia dostrzegać w nich co innego. Te kształty znajdował w chmurach, kamieniach, wytworach rzemiosła i abstrakcyjnej sztuce. Ewa tymczasem prozaicznie i pragmatycznie nie podzielała w tej chwili jego entuzjazmu - burczało jej w żołądku.

Wyjęto suche chlebki firmy Vasa, pumpernikiel (w większej ilości paskudztwo nie do strawienia), kawałek sera, skrupulatnie oszczędzaną nutellę (kanapki z kremem czekoladowym zawsze znikają pierwsze) oraz próżniowo zapakowaną salami (tę za kilkanaście złotych z marketu) i dżem. Jak to bywa w zgranym zespole, jedna osoba kroїła, druga nakładała wszystko na pieczywo, natomiast reszta beztrąsko zanurzała palce w nutelli, delektując się rozkoszą podniebienia. Ewa należała do tych skrupulatnych, choć pewnie nie z przyzwoitości, ale ze zwykłego onieśmienia. Prosta rzecz zanurzyć palec w słoiku, tak jak to robią wszyscy,

a jednak, kiedy jest się obcym, na marginesie i jeszcze pierwszym na czarnej liście, trudno nawet o to. Drętwieją gesty, każdy ruch nabiera precyzji i wszystko objęte jest ścisłą kontrolą. Zero luzu. Z wyjątkiem oczu. I ta obsesja, że wszyscy cię obserwują, rozmawiają o tobie, rzucają ukradkowe spojrzenia, aby przyłapać na błędzie, potknięciu, które stanie się świetnym pretekstem do dalszych plotek. Idiotyzm, bo przecież nic się nie stało. Mimo to niekomfortowa popularność uwiera. Nic się nie stało. Niezależnie, czy w namiocie, czy w szałasie - sen był ten sam. Nic się nie stało - czułość w tym towarzystwie wpisywała się w porządek dzienny i nocny. Tulenie, przelotne buziaki, żartobliwe klapsy i łaskotki stanowiły normę, której ona z Gruszką w żaden sposób nie naruszyła. Nic się nie stało. Nie był to największy wybryk wszech czasów w porównaniu z tym, co dziewczyny zgotowały Błękitowi, zaszywając mu w nocy rozporek. Zauważył to dopiero, gdy wyskoczył z namiotu o świcie, naglony ciśnieniem w pęcherzu. Nie miała się czego wstydić. Nic się nie wydarzyło. Potwierdzało to zachowanie Gruszki, który zaaferowany tym pieprzonym odłupanym kawałkiem skały, oglądał go pod lupą i z przejęciem tłumaczył coś Krzyškowi. Jego twarz, skupiona całkowicie na znalezisku, tchnęła obojętnością w stosunku do wszystkiego, co działo się obok. Obojętnością wobec niej. Ani razu nawet nie podniósł wzroku, ani razu nie zatrzymał na niej spojrzenia, chociażby przelotnie, przypadkiem, po drodze. Było tak chyba od czasu wyjścia z obozu. Najpierw z przejęciem rozmawiał o czymś z Błękitem, a potem bez reszty dał się pochłonąć pstrykaniu fotek do kroniki sekcji - robił zbliżenia skałom, ślimakom i wszystkiemu, co znalazł pod stopami. Fotografował też twarze, ale wybiórczo. Miał w sobie coś pociągającego - niesamowicie potrafił skupiać uwagę innych. Do tego stopnia, że Ewa nie odrywając od

niego możliwie dyskretnego, nieusłuchanego wzroku, władowała plasterki salami na wszystkie kanapki. Bez wyjątku. Z czekoladą również.

Niebawem zebrali się wokół piramidy kanapek różnych kształtów i kolorów, tak wyśmienicie smakujących jedynie w górach. Ewa rozejrzała się w poszukiwaniu Gruszki, który nie wiadomo kiedy zniknął z pola widzenia, ale napotkawszy przenikliwy wzrok Roberta, powróciła do skrupulatnej analizy porowatego kamienia, służącego jej za podnózek.

On natomiast postanowił się przysiąc. Dziś Rudej brakowało już brawury. Tak jakby się skurczyła, spięła, utraciła beczelną siłę, która wczoraj wprawiała Roberta w totalne osłupienie. Poczucie przewagi i pewności siebie pozwoliło Błękitowi rozpocząć lekką pogawędkę o pogodzie, wędrówce i na inne bezpieczne tematy, co nieoczekiwanie zaowocowało jej zainteresowaniem. Opryskliwa Wiewiórka w chwilach słabości potrafiła być bardzo miłą istotą. Pytał ją więc o studia, wakacje, życie w akademiku i, o dziwo, ta złośliwa małpa, nie wiadomo kiedy, stała się taka, jak chciał, aby była. Wypełniał ją zatem niczym kolorowanek. Znów była pustym konturem, który on zamalowywał według własnego uznania - sączył w nią swoje oczekiwania i fantazje. Zaczynała mu się podobać. Może mógłby ją polubić? Rozmawiając o podróżach, doszli nawet do wspólnego mianownika - zagraniczne doświadczenia pracy. On - Włochy, ona - Wielka Brytania. Przeszła tam niezłą szkołę życia. Ciągnęła tułaczka po obskurnych pokojach, towarzystwo przypadkowych ludzi, molestowanie przez kolorowych szefów, których Polki przez lata przyzwyczyły do łatwego łupu i najtańszych, tuż po Rosjankach, usług seksualnych. On swojej Sofii w życiu nie puściłby samej tak daleko, ale Rudej pewnie nie miał kto zabronić takiej eskapady. Jak się jest kochanym, to nie trzeba uciekać. Jak się jest kochanym, nie

kusi ani ta żałośnie zapracowana kasa, ani lukrowany zachodni dobrobyt. Co innego on. On musiał odejść. Był obcy. Co innego powroty. Domu się nie wybiera. Dom to korzenie, które można odcinać, ale nie wyrwie się ich zupełnie. Nie cierpiał ich, ale czy mógłby nazwać je chwastami? Chyba nie. Znow poczuł w gardle tępy ucisk - niegdyś tak kojące myśli, podobne do mleka z miodem na dobranoc, powoli stawały się uciążliwe, nachalne, rzucające się na szyję z piskiem niewyżytej nastolatki. Czasem już jakby luzował tę pętlę, oglądał się za innymi kobietami, uwalniał pamięć, dawał uwodzić się obfitym biustom i zgrabnym nogom, lecz kiedy było tak blisko ozdrowienia, pętla zaciskała obręcz tęsknoty z podwojoną siłą.

Ewa nie mogła nie zauważyć nagłego skurczu przebiegającego siną kreską wzdłuż jego pochmurniejącego czoła i wbrew swojej naturze, a może z wyrachowania, płynnie wcieliła się w rolę wodzireja, zajmując Roberta historyjką o przygodzie w pierwszym londyńskim mieszkaniu, z którego została wyrzucona z wielkim hukiem w środku nocy. Eksmitował je zupełnie pijany właściciel, rozwścieczony do granic, gdyż po dwóch tygodniach cackania się z nowymi lokatorkami, nie dostał tego, na co liczył. Szły wtedy bezdomne, obładowane tobołami przez nocny Londyn i śmiały się do rozpuku. Nazajutrz czekała je praca, nie miały dachu nad głową ani łóżka, w którym można by jakoś przysnąć do rana, więc szły ulicami latarni i neonów i chichotały jak pensjonarki przyłapane na grze w szubienicę podczas lekcji religii. O świcie poznały Melika. Siedział przy zejściu nad Tamizę, palił skręta i rysował anioły w małym szkicowniku. Spojrzeli na siebie mimochodem i tak zostało. Ale o tym Ewa już Błękitowi nie opowiedziała. Zresztą on był tam, gdzie bawiono się pod otwartym niebem przy dźwiękach

żywej orkiestry, grającej dynamiczne rytmy disco oraz mieszankę salsy i flamenco.

* * *

Ich przybycie zawsze wzbudza lekkie poruszenie, ponieważ uroda czarnookiej bogini słynie w całej prowincji, a lubią przychodzić później, aby ominąć oficjalne powitania i kurtuazyjne towarzyskie gesty. Porą, kiedy zwykle goście wieczoru nieco się rozpraszają, krążąc między altanką - miejscem wystawnej biesiady, gdzie kręgosłupy stołów uginają się od przekąsek i napojów - a sceną, na której półnagie ciała wyginają się, ogarnięte tanecznym szalem, oraz gajem oliwnym, stanowiącym intymną kryjówkę dla wszystkich nienasyconych, zwykle młodych, naginających cierpliwość swoich rodziców, dopóki i ci, rozbudzeni trunkami, sami nie wylądują pomiędzy gałęziami oliwek. Na rozwieszonych hamakach wyleguje się młodzież, paląc trawę, popijając wino, gadając i flirtując ze sobą. Swobodna, pełna naturalnego luzu i pikanterii wysokotemperaturowa atmosfera zachęca do miłosnych gier wstępnych ze słodkimi dziewczętami, coraz słodszy z każdą wysączoną butelką wina. On zwykle rozpościera się na jednym z legowisk, a Sofia swoim tanecznym krokiem sunie podbijać parkiet. Upija się i upaja jej widokiem - w blasku kolorowych lampionów smagłe, gibkie ciało Sofii lśni złotawą poświatą, a bogata, ciężka biżuteria migocze w rytm tańca. Leży, a cierpki smak wina kładzie mu się na podniebieniu, ścieli mu gardło, rozgrzewa żołądek i przyjemnie obezwładnia kończyny, on zaś pyszni się widokiem rozbuchanej latynoskim temperamentem wielkookiej pantery. Wiruje na wysokich obcasach z paseczkami obwiązany dookoła kostek, a wraz z nią rozpływają się w powietrzu delikatne tkaniny, skąpo przysłaniające jej jędrne piersi i pełne szerokie biodra. Wraca do niego cała rozpalona, pulsująca i nabrzmiała erotyzmem, a

pohamowawszy zadyszkę, łąpczywie pije wino, które ścieka jej z kącika ust, po szyi, dekolcie, aż do złocącego się potem rowka między jabłkami piersi. On walczy z samczym instynktem, aby nie zerwać z niej materiału, nie rozedrzeć wszelkich przeszkód i nie wtargnąć z całą siłą i brutalnością do środka, nie zbezcześcić tej pokusy, nie splamić jej sobą. Zwykle jednak jeszcze wiele godzin spędzają, wylegując się pod rozgwieżdżoną kopułą nieba i paląc skręty. Dopiero gdy powoli snujący się wokół ludzie rozplývają się w bledniejącej przestrzeni, a ich głosy zamierają, odsunięte w inny wymiar, cichnie muzyka, wówczas zmęczeni, odurzeni alkoholem, otumanieni ziołem idą do jego pokoju. Tam odzyskując utracone siły, bez pamięci, bez wytchnienia i zahamowań oddają się miłosnym uniesieniom, doprowadzającym do ponownego, tym razem skrajnego wyczerpania, po którym zasypiają twardym snem, aż do pierwszego brzasku - sygnału, że czas się rozdzielić.

* * *

A ona? Jaka jest? Zapatrzył się tępo w chude ramionka Wiewióry upychającej spodnie w pękającym już w szwach plecaku. Ocuciło go dopiero urażone spojrzenie Gruszki. Przez kilka sekund mocowali się wzrokiem jak dwa rozjuszony koguty, po czym Gruszka, zacisnąwszy szczęki, całą uwagę skoncentrował na czyszczeniu noża. Obserwująca ich z boku Kacha uśmiechnęła się pod nosem. Czasem nie trzeba znać szczegółów, żeby uchwycić błyskawicę toczoną na linii facet - facet. Na pewno chodzi o męską dumę, bo o co innego mogą obrażać się mężczyźni, jeśli nie o zranione ego? Rozczulając, pomyślała i wróciła do zajęć.

Znów nadszedł czas drogi. Podnoszono ociężałe ciała, pakowano i spinano ekwipunek, a co mobilniejsi ruszali już na szlak. Nie zawsze istniała potrzeba, aby iść zwartą grupą. Czasem potrafili rozciągnąć się nawet na kilka kilometrów.

Wówczas naprawdę można było nawiązać intymny kontakt z otaczającą ich dzikością. Pobyć sam na sam z enklawą natury - niezmienną od dziesiątków lat, niezranioną ludzkim ciosem, niepooraną marzeniem człowieka o swoim miejscu właśnie tu, w górach, które przystosowałyby do własnych potrzeb, zaczęłyby nadawać im kształt, zechciałyby zostać ich panem, uzurpując sobie prawo do władzy. Gruszka wyruszył pierwszy, a chwilę po jego wyjściu Ewa przeprosiła Roberta i ruszyła za nim, zachowując bezpieczną odległość kilkunastu metrów. Powinna zostać z tamtym, aby konsekwentnie realizować plan Kratki, lecz Kratka była tak daleko, że jej obraz zacierał się z każdym dniem coraz mocniej. Pobyt w górach niesamowicie odrealniał to, co jeszcze niedawno było powszednim wycinkiem rzeczywistości - odsuwał dom, rodzinę, miasto, zaczarowywał londyńskie wydarzenia, czyniąc z tamtego wyjazdu zakurzone wspomnienie, zacierał kontury osób, które dotychczas budziły w niej emocje. Tu w górach były ważne góry. I na nich kończył się świat. Robert został sam, co przyjął z dyskretną ulgą. Ochota na towarzystwo Rudej, nie wiadomo kiedy, jakoś prysła. Leniwie zaczął zbierać się do drogi. Czekало ich jeszcze dosyć męczące zejście, niedługi trawers lasem, istniała zatem szansa, że zatrzymają się na nocleg przed zachodem.

Słońce, choć dużo poniżej zenitu, nadal dotkliwie paliło, a maleńkie obłoczki powolnie sunęły niebem, nawet na chwilę nie przysłaniając rozżarzonej kuli. Zbawienny rześki wiatr też lekceważył podróżnych, bawiąc na wyższych poziomach i wydając ich na pastwę niemiłosiernego gorąca, tym bardziej uciążliwego, im niżej się znajdowali. Pozbawieni wody, niedostatecznie wypoczęci po przedpołudniowym wysiłku i rozleniwieni przydługą sjestą obiadową, rozproszyli się wszyscy na tyle, by nie wchodzić sobie w drogę i zająć się podziwianiem uroku gór. Posuwali się jednak dość wolno,

uważając, jak stawiają stopy, jeden nieprecyzyjny ruch mógł bowiem zaowocować bolesnym skręceniem kostki, a w konsekwencji zmianą planu marszu całej sekcji. I tylko Gruszka, zaniechawszy wszelkiej ostrożności, nabrał zawrotnego tempa i skacząc z kamyka na kamyk, z kępy na kępę, zastawił resztę daleko w tyle. Na próżno Ewa przełamywała wrodzony lęk wysokości, próbując mu dotrzymać kroku. Optymalna odległość kilkuset metrów zwiększała się z każdą minutą. Już wkrótce Gruszka przybrał postać kolorowego ruchomego punktu, a potem zniknął w roztaczającym się wielką czarną plamą lesie. Tam, gdzie musiał panować ożywczy chłód i wilgoć przynosząca wytchnienie, a kojący plaster cienia dawał odpoczynek wiecznie zmrużonym powiekom. Coraz większymi krokami i z coraz mniejszą precyzją Ewa zmierzała do ciemnozielonej płachty rosnącej w oczach z każdą chwilą. Poddana magnetycznej sile ciągnącej ją w dół, nie zważała na zapadające się miękkie warstwy traw ani na wystające ostre łebki kamieni. Gnając bez opamiętania, nie przykładała wagi do czegokolwiek, co nie wychodziło ze środka niej samej. Zielonożółtawe podłoże śmigało tylko pod nieuważnie stawianymi stopami, aż wreszcie jedna ze sznurówek utknęła w wąskiej szczelinie między głazami i przy następnym zamaszystym kroku Ewa runęła jak długa, a w ułamku sekundy całym swoim ciężarem przygniótł ją napakowany plecak. Z wielkim babcinym swetrem w środku. Odrętwiała z bólu osunęła się i przyległa policzkiem do chłodnego kamienia. Miała wrażenie, że już nigdy nie zdoła wykrzesać ze swojego ciała najmniejszego drgnienia. Przed oczami wirowały jej ciemne plamy, układające się w enigmatyczne wzory, i tylko serce złężnione nagłą wywrotką tykało panicznie, biorąc na siebie odpowiedzialność zapanowania nad rozlatującymi się cząsteczkami. Wreszcie po kilku

głębszych oddechach zdołała wesprzeć się na łokciach i ostrożnie przekreślić na plecy. Przypominała teraz leżącego na pancerzu żuczka, rozpaczliwie trzepocącego odnóżami. Narastało w niej upokorzenie. Upewniwszy się, że nikt nie nadchodzi, dała upust tłumionemu przez cały dzień napięciu i wybuchła niepohamowanym płaczem, użalając się nad sobą.

Taką właśnie zastał ją Robert - unieruchomioną pośród rozsianych w promieniu metra zasmarkanych chusteczek i ryczącą jak bóbr, który utracił przednie zęby.

- Skakała kózka. - Zadyszany śmiał się z tragi komicznego widowiska. - A dokąd kózce tak spieszno było?

Ewa zacisnęła zęby.

- Mógłbyś pomóc mi wstać? - Wzburzony potok najgorszych obelg cisnął jej się na usta, ale się opanowała. - Co prawda jest równouprawnienie...

- Daj spokój! - Błękit zawczasu przerwał zapowiadający się feministyczny wywód, złapał ją mocno pod pachami i jednym szarpnięciem przywrócił do pionu. - Nic ci nie jest? - Oglądał ją z każdej strony jak obiekt muzealny.

- Dzięki, żyję - zachnęła się i nałożywszy plecak, znów nabrała rozpędu.

- Poczekaj! - krzyknął za nią.

O dziwo, przystanęła, odwróciła się do niego zdecydowanie i oświadczyła z teatralną powagą:

- Nie jestem dzie - ckiem, znajdź sobie kogoś innego do o - pie - ki - wypluwała słowa przez zaciętą kreskę ust, kładąc nacisk niemalże na każdą sylabę.

Nawet świętego mogło to doprowadzić do istnej furii. Błękit poczerwieniał ze złości aż po cebulki włosów.

- Słuchaj, panienko! - Jego twarz przy jej twarzy stała się nagle ogromna i nawet groźna. - Tu nie chodzi o ciebie! Po prostu ani ja, ani nikt inny nie zamierza przerywać wędrówki z powodu jednej bezmyślnej kretynki. Rozumiesz?!

Poskutkowało. Zwolniła. Szli teraz ramię w ramię, krok w krok. W milczeniu, ale razem.

Tymczasem Gruszka zatrzymał się przy strumieniu i po schłodzeniu spoconego czoła, ułożył się na przyjemnym dywanie z aksamitnego mchu, aby poczekać na resztę. Rozłożyste gałęzie wysokiego świerku dawały mu schronienie przed słońcem i poczucie miękkiej przytulności. Pod głową umieścił zwiniętą w kłębek bluzę z polaru, zasunął na oczy brezentowy kapelusz i, gładząc ściskany w dłoni kamień, oddał się rozkosznej chwili odprężenia. Stopniowo rozluźniał nadwerężone ścięgna twardego, napiętego karku, zrzucał ból z pleców, pozwalał rękom i nogom bezwładnie opaść na glebę. Obracając w palcach odłamek skały, dawał się uwodzić wolnym, nieskrępowanym niczym skojarzeniom.

Ze wszystkich dzieł natury najbardziej kochał skały. Czuł bijącą od nich niewymowną mądrość, którą nie mogły się poszczycić żadne inne twory czterech żywiołów świata. Ich trwałość, niezmiennność i ostentacyjne wyniosłe milczenie skrywało mroczne tajemnice przeszłości. Kamień bowiem od samego początku służył człowiekowi - dał mu ogień, schronienie, broń. W postaci skał, żwiru, piasku jest i dziś budulcem niemalże wszystkiego. Nawet szklanych domów. Któż zatem może lepiej znać ludzi i historię od kamienia? Chciałby do niego wejść jak poeta. Wejść i wyjść z pustymi rękami. Nie mam drzwi - mówi kamień. Kamień jest zatem w świecie niczym ostatnia z ruskich matryoszek. Tą, której nie można otworzyć, i tą, która zna tajemnice wszystkich swoich matek. Powiedz coś o mnie, kamieniu. Daj mi jakąś wskazówkę - prosił Gruszka. Piękny był to kamień i piękny był Gruszka spoczywający pod drzewem, podobny do upojonego Bachusa zatopionego w boskim śnie. Z tego snu wyrwało go dopiero nadejście pierwszej grupy - Pati, Kaśki i Makarona, a potem Błękita i Ewy, już w nieco lepszych

nastrojach. Przysiedli na kilka minut, aby skorzystać z chłodu szemrającego strumienia i razem już zagłębili się w mroczny leśny wąwóz.

- Wkraczamy w Dolinę Cienia - rzekł Makaron udawanym złowróżbnym tonem. - Oto królestwo zła, kraina czerni i nocy, strefa czarnej magii.

- A ja lubię noc - odezwała się Pati. - Dlaczego mrok zawsze kojarzy się ze złem?

- Nie wiem. - Błękit przystanął, aby wyciągnąć z jej plecaka aparat. - Dla mnie zło nie wiąże się z nocą. Z nocą wiąże się seks. - Zachichotał głupawo.

- Zło - wtrąciła się Kaśka - to celowe zadawanie krzywdy, to świadome działanie uderzające w drugiego człowieka, to premedytacja, plan, strategia i czerpanie z tego przyjemności, perwersyjne rozkoszowanie się cierpieniem innych, satysfakcja. To jest chyba zło.

- Nie do końca - Ewa odważyła się zabrać głos. - Przecież zło można czynić nieświadomie, zapominając o innych i słuchając tylko siebie. To zło, które czynimy na co dzień, wtedy, gdy nasza przyjemność koliduje z dobrem drugiego człowieka, tak zwany konflikt interesów. Zło wynika z cechy każdego z nas - egoizmu.

Dyskutując i szukając nowych argumentów, weszli w ciemny tunel lasu. Przegniłe brunatne trawy i liście leżące tu od poprzedniego sezonu oklejały zbocza i wydzielały intensywny zapach, specyficzny dla rzadko odwiedzanych miejsc. Miejsc, do których nie dociera nawet słońce, a które zwierzęta i duchy wybierają na bezpieczną kryjówkę, otwierającą ich własny świat pozbawiony ludzkiej ingerencji. Teraz to oni wdzierali się w ową nieprzeniknioną krainę starych spróchniałych pni, wynaturzonych - niesprzyjającymi życiu warunkami - drzew, nieposkromionych, wijących się bez końca bluszczy, gdzie poszycie upstrzone naturalnymi kolorami ziemi - setką odcieni brązu i zieleni - stanowiło

doskonały teren do maskowania obecności każdego z mieszkańców.

- Zło to głupota. - Gruszka powiedział to tak, jakby wygłaszał najoczywistszą prawdę świata. - Zło wynika z niskiej świadomości, niedorozwoju umysłu, ubogiej duchowości. Zło to wąski horyzont krzywdziciela, empatia w załączku, upośledzone współodczuwanie. Mądrość i dobro to siostry syjamskie, zło i głupota to dwa w jednym, wash and go. One są nierozłączne.

Idący na przedzie Błękit i Pati przerwali swoją pogawędkę, aby wejść Gruszce w słowo.

- Mnie zło pociąga - oświadczyła Patrycja. - Zło pozwala poznać człowieka, daje możliwość dotarcia do interesujących pokładów psychiki, które stłumiła cywilizacja i kultura.

- A ja - rozmarzył się Błękit, podnosząc ton, żeby każdy mógł go dobrze usłyszeć - mówię „zło” i widzę kobietę. Kobietę panterę, drapiezną kocicę w lateksowym wdzianku, podkreślającym jej jędrne piersi i pośladki, kobietę w pończochach i na wysokich obcasach, kobietę, która wsysa się w moje ciało i wypija ze mnie wszystkie soki, dziką lwicę siadającą okrakiem i ujeżdżającą moją męskość, wpijającą się długimi pazurami w moje plecy, żeby zostawić tam bolesne pręgi. Mówię „zło” i widzę siebie niewolącego jakąś wyrwaną pod szkołą lolitkę. Zadzieram jej plisowaną spódniczkę i zrywam z niej białe dziewczęce majteczki, splamione pierwszą miesiączką. I biorę ją od tyłu jak dziwkę z ulicy. A ona krzyczy i wyje z bólu, błagając, żebym przestał. I będę dobry. Przestanę. A potem każę jej uklęknąć i zapakuję jej do gardła tak, że będzie się dławić, pluć i rzygać.

- Przestań już! Jesteś obrzydliwy i żaloszny! - Kaśka nie wytrzymała i przerwała ogólną konsternację reszty słuchaczy.

Towarzystwo samoistnie rozpierzchło się, kontynuując wędrówkę w milczeniu. Jedynie Błękit z Pati, szydzący z ich

pruderii, rozmawiali ostentacyjnie głośno i wybuchali gromami tubalnego śmiechu. Bez pardonu unicestwiali trwające tu od lat spokój i ciszę. Burzyli ściśle chroniony ład i, będąc intruzami, skazywali się na wrogość otoczenia.

Ewa z Kaśką zostały na końcu, połączone niemym porozumieniem w kwestii niektórych zachowań.

- Poznałaś Błękita - stwierdziła wreszcie Kasia i nie czekając na reakcję, mówiła dalej: - On nie jest taki straszny. To bubek. Niedowartościowany. Na dłuższą metę energetyczny wampir. Potrafi stłamsić, ale jak trafi na silniejszego, ulega.

- Cynik - skwitowała Ewa. Temat był dla niej mało komfortowy.

- Idealista. - Głos Kaśki nabrał miękkości. - Niespełniony idealista, zamknięty w obronnym futerale straconych złudzeń.

Ewa odgarnęła przyklejoną do czoła mokrą grzywkę i zmieniła temat:

- A ty z Krzychem? Tak fajnie wyglądacie razem...

- Poznaliśmy się przez Roberta, ale to długa historia... w sumie będzie już sześć lat. - Kacha odgrzebywała wspomnienia.

- Jak jest po tylu latach?

- Z każdym rokiem coraz lepiej. Staramy się nie pozwolić opaść energii, oboje nieustannie się doładowujemy. Zresztą Krzyś od początku uczył mnie, że miłość to nie perpetuum mobile ani romans z harlequina. Aby rosnąć, potrzebuje pożywienia.

- Wasza chyba jest syta. - Ewa uśmiechnęła się.

- To wynik ciężkiej pracy i ciągłych kompromisów, a także sztuka wybaczenia.

- A przeznaczenie?

- Może i przeznaczenie, ale dwie połówki pomarańczy, czy jak to tam zwać, mogą wszystko zepsuć, jeśli będą czekać,

aż uczucie spadnie im z nieba wraz z dożywotnią gwarancją. W moich wcześniejszych związkach zawsze oboje wierzyliśmy, że miłość to coś metafizycznego, danego z góry, a kiedy się kończyła, rozstawaliśmy się rozczarowani, bezradni, nie wiedząc, pod jaki adres złożyć reklamację.

- Rzeczowe.

Choć Ewie zbyt mocno śmierdziało zdrowym rozsądkiem. Miłość jako praca u podstaw. Patrzyła na profil Kaśki i fikuśnie przewiazaną przez włosy barwną motylą chustę. Patrzyła na ciemne, ciasno, porządnie zaplecione warkocze, biały ślad po szczepionce na ramieniu, indiańskie bransoletki z kolorowej muliny związane wokół nadgarstka i wychwytywała charakterystyczne gesty. Na przykład zawijanie za ucho odrastającej grzywki. Miała w sobie to coś, co sprawia, że chce się być tą osobą, znaleźć się na jej miejscu, wejść w jej ciało i patrzeć jej oczami na świat, choć wciąż swoimi oczyma duszy. Bycie kimś innym zawsze wydaje się bardziej atrakcyjne niż bycie sobą. Ludzie obok są jak postacie z filmów, fascynują i ciekawią, jak bohaterowie reklam - ich życie musi być komfortowe i pełne wrażeń. Ludzie obok mają problemy, na które zawsze jest rada, ich nieszczęścia nie mogą się równać z naszymi, ich słabości stają się ich siłą. Ludzie obok mają lepiej. Ileż razy doświadczała naglącego pragnienia, aby rozpiąć niewidoczny zamek w ciele, rozsypać guziki skóry, wyjść z siebie i wskoczyć w rolę przyjaciółki, znajomej z okna naprzeciwko, którą spotykała tylko w tramwaju, lecz wydawała jej się niezwykle pociągająca, w znaną gwiazdę filmową lub nieznaną, mijaną przypadkiem na ulicy, uśmiechającą się do siebie kobietę z bukietem żonkili. Gdy była młodsza, co chwila ulegała jakimś fascynacjom - upodabniała wówczas charakter pisma (do koleżanki z ławki), przejmowała drobne gesty, jak zagryzanie warg (po filmie z Kasią Figurą), próbowała kopiować styl

ubierania (według mody lansowanej przez brukowce dla nastolatek), sposób mówienia, poglądy, gusta muzyczne i kulinarne, kochała to, co wcześniej nie budziło w niej najmniejszego zainteresowania, odwiedzała miejsca, do których same nogi nigdy by jej nie zaprowadziły. A teraz, z tym samym, głupio dziecięcym uczuciem zazdrości spoglądała na Kaśkę. Dlaczego nie była tak interesująca, wyrazista i pewna siebie jak Kaśka? Dlaczego nie była Kaśką?

Szły, nie mówiąc już nic więcej, wsłuchane w szelest własnego stąpania. Kasia - śniada z cygańskimi mocnymi rysami i dużymi czarnymi oczami oraz Ewa - oliwkowa, chuda, wiotka, z krótką czupryną zmierzwioną wędrownką i wiatrem. Prawie się nie znały. Krok Kachy był twardy, mocny i pewny, Ewa frunęła. Kasia była dziką afrykańską kocicą, Ewa - rodzimą, leśną, płochliwą wiewiórką. Kasia dawała Ewce poczucie bezpieczeństwa, a Ewa chciała wyjawic jej powód, dla którego pojechała z nimi w góry, ale nie mogła. Wydawał się zbyt infantylny i głupi, lecz co z tego, skoro obiecała Kratce?

Odwróciła się, żeby popatrzeć na Gruszkę - szedł kilka kroków za nimi, zajęty żonglowaniem zebranymi okazami. Ich wzrok spotkał się na chwilę, Gruszka złapał latające pociski, przystanął i już otworzył usta, lecz Ewa odwróciła się nagle i szybko dołączyła do Kaśki.

A Gruszka wciąż podążał tuż za nimi, wpatrując się bezmyślnie w szczuplutkie nogi Ewy, wystające spoza wielkiego plecaka. Jej kolana zginały się i prostowały krok za krokiem, automatycznie poruszane niczym w zaprogramowanej maszynie - prawa, lewa, prawa, lewa, raz, raz, raz... Do tego ręce - rach - ciach, jedna za drugą - prawa ręka, lewa noga i tak dalej, znów od początku. Tak wciągające jak nocne liczenie baranów albo różaniec, Hari - hari, Hari - kriszna - idziesz, powtarzasz mantrę wędrownki, mózg

odpoczywa, liczysz kroki przybliżające cel. Tego, co działo się za wielką bryłą zielonego alpinusa, Gruszka już nie potrafił dostrzec. Unikała go cały dzień, żadnego uśmiechu ani nawet spojrzenia. A jeżeli coś się z niej wykrzesало, zaraz to pospiesznie gasiła i uciekała w głąb siebie lub do innych ludzi. Pierwsza dziewczyna od czasów Ameli, która utkwiała mu na dnie oka i posiadała tę przewagę, że była namacalna, rzeczywista i bardzo pociągająca ze swymi skośnymi zielonymi oczami.

O oczach Ameli wiedział tylko tyle, że były szarozielone, a całą resztę - ich kształt, wielkość, wyraz, odbicie smutku czy podniecenia - wykreowała wyobraźnia. A złość? Jakie linie na twarzy Ameli rysowała złość? Ostre i gwałtowne czy nieruchome, zastygłe ochronną warstwą gipsowego tworzywa? Pokłócili się tylko raz. Wtedy uwierzył, że Internet może być przestrzenią prawdziwych uczuć.

* * *

Spotykają się co noc. Kiedy domy usypiają, a cały świat pogrążony jest w letargu, oni pod spuszczone powiekami żaluzji rozpoczynają wirtualny taniec słów i aluzji. Pierwsze kroki stawiają dynamicznie, pełni humoru, gotowi do luźnych zaczepk i prowokacji. Tworzą swawolne improwizacje, lekkie i słodkie jak raffaello. Roztańczeni, nabywają coraz większej swobody, zbliżają się mocno na tyle, aby się przenikać. Jedno draży drugie, dopóki ich myśli i poglądy nie dryfują tym samym szlakiem. Ta niesamowita dyfuzja ogarnia coraz więcej sfer. Stopniowo docierają do tych samych miejsc - czytają te same powieści (by potem godzinami o nich dyskutować), chodzą na te same filmy (choć nigdy nie zdradzają, do jakiego kina), a potem zaśmiewają się z omawianych scen, słuchają tych samych płyt podczas nocnych rozmów - najpierw Stańkę (wybór Gruszki), następnie Evę Cassidy (sugestia Ameli). Kiedy nie mogą jednocześnie

korzystać z sieci, piszą obszerne maile. Rodzaj introspekcji, nieświadome wnikanie w siebie i rozkładanie własnej psychiki na części pierwsze. Te maile to pewien „stop”, zatrzymanie w ruchu - jak w zabawie „raz, dwa, trzy - baba jaga patrzy” - dogłębna analiza, co czują, czego pragną, o czym marzą. Ujawniają swoje lęki, fantazje, ambicje. Niejednokrotnie sami sobą zaskoczeni.

Pewnego dnia Gruszcze wypada nieoczekiwany wyjazd. Tak nieoczekiwany, że zupełnie nie ma głowy do sieci, pożegnań i w ogóle jakiegokolwiek kontaktu. Znika na trzy dni. Po powrocie znajduje w skrzynce jednego maila kipiącego wyrzutami, sarkazmem, pisanego, jak się zdaje, w histerycznym amoku. Kilka tygodni później dostaje następnego, zdawkowego w formie i suchego w treści. Ona wyjeżdża do Anglii. Nie wie, kiedy wróci. Nawet jej nie zobaczy. Nie ma jej obrazu we wspomnieniach. Jedyne wyobrażenie to fikcja.

* * *

A teraz Ewa. Taka realna, z krwi i kości, Ewa, Ewinka, Ewuś, Ewcia... Jego Ewcia. Musi być jego. Ech, dlaczego nauka zajmuje się odległym, abstrakcyjnym wszechświatem, zamiast podjąć temat tak pilny, niezgłębiony, frapujący każdego faceta - żeński mikrokosmos.

Ciemny wąwóz, którym szli, gęstniał, a ścieżka powoli zanikała, dopóki nie zatarła się całkowicie. Na ich drodze wyrastały coraz to nowe przeszkody - powalone drzewa, wystające korzenie niczym rozczapierzone ręce wyłaniające się z ziemi, aby uchwycić i wciągnąć ofiarę do środka. Pełno tu było zapaści przykrytych cienką warstwą mchu, szczelin, z których mógł wystawać ciekawski, ale niebezpieczny pyszczek jednego z domowników. Pyszczek uzębiony, pyszczek syczący, niewinny pyszczek małego drapieżnego stworzenia rozjuszonego wizytą nieproszonych gości.

Zwolniono. Stopniowo milkły rozmowy, gdyż dalsza droga wymagała koncentracji. Otaczający ich mrok aż lepił się do ich ciał - nieprzyjemnie wilgotny i napastliwy. Co rusz ktoś zahaczał o wszechobecne gałęzie wdzierające się do oczu, targające włosy i brutalnie drapiące ich nagie ramiona i ręce. Zgniły chłód przenikał wszystko, co tętniło życiem. Niewidoczne pajęczyny czepiały się twarzy, nieznośnie klejące niczym wata cukrowa. Nie mogli iść szybko, utrudnienia bowiem piętrzyły się, im głębiej wchodzili w las. Jednocześnie precyzję ruchów zakłócało zmęczenie i niecierpliwość, aby wreszcie dojść do jakiejś połoniny, do słońca.

Nagle rosochata gałąź pochwyciła Ewę i zaplotła się wokół szyi. Lodowaty uścisk objął ją, aż zamknęła oczy. Coś śliskiego szarpnęło się i zakleszczyło na biodrach, gwałtownie wyrzucając ją do góry. Wzbiła się, hacząc o chropowate natrętne macki innych drzew, które wdzierały się we wszystkie zagłębienia omdlewającego ciała. Drobne witki łaskotały aż do bólu, grubsze konary okaleczały, celując w najdelikatniejsze obszary. Unoszona coraz wyżej, odzyskiwała i traciła świadomość na przemian, by wreszcie zawisnąć jak zwiędły liść, nadziana na sam czubek spiczastego świerku.

W dole rozlegał się potworny, pęczniejący śmiech - chichot. Rosnąc, nabrzmiewając, huczał w całym lesie, dopóki przesycony dźwiękiem nie pękł i nie rozprysł się tysiącem drobin po całej okolicy. Ból przeszywał jej klatkę piersiową, a uwolniwszy się w końcu z iglastych objęć, spróbowała dotknąć zwisających tuż nad głową purpurowych obłoków, lecz gdy tylko wetknęła weń palce, rozmywały się, tworząc mgiełkę tuż obok. Coraz bardziej nerwowo brodziła dłońmi w lekkim nieuchwytnym pierzu, dającym złudzenie ratunku, szarpała się konwulsyjnie, z wysiłkiem plując wymiocinami, prężyła mięśnie, aby osiągnąć różowych i słodkich jak wata

marzeń, aż wreszcie opadła z sił i zamknęła oczy. Pograżona w brei ciemności dała się ponieść ogromnej sile, która uporczywie ciągnęła ją w dół. Tajemny wir, nadając jej ciału kosmiczne tempo, zdławił ją i szybko wsysał do środka. Znalazła się wewnątrz ogromnego drzewa...

Rozwarła powieki, ale nim zdążyła uczynić jakikolwiek ruch, ściany drzewa zaczęły się kurczyć, otaczając ją ze wszech stron mocnym murem. W oddaleniu słyszała głosy, a pośród nich ten jeden - bardzo odległy i nieprzystępny, obcy i bliski jednocześnie. W krótkotrwałym przypływie energii zaczęła tłuc pięściami o głuchy pień, ale odpowiadało jej tylko donośne bębnienie. Rozmowy cichły, zasypiały, a ona zostawała sama. Jednak nieoczekiwanie, gdy już osunęła się po wewnętrznej ścianie drzewa, ukłękła wyczerpana, a różowy, mżący obłoczek leciutko jak motyl osiadł na jej twarzy.

- Obudź się, Słonko!

Ciepłe słowa powoli docierały do wnętrza i stopniowo rozgrzewały środek, pobudzając serce, krew i tlen, które wprawiały w ruch i przywracały do życia woskowe martwe ciało. Chłodna dłoń spoczęła na jej policzku.

- Nic nie jadła na szczycie, pewnie dlatego - rzeczowo skonstatowała Kaśka, podnosząc nogi Ewy. Ktoś skropił jej wargi ożywczą wodą, a potem niezwykle czule odgarnął kosmyki włosów, opadające jej na czoło. Gruszka.

I nagle wszystko przestało być straszne, tak jak straszne przestają być sny, kiedy budzimy się wtuleni w kochane ramiona. Nie straszyla już lepka gorzko - budyniowa ciemność, nie doskwierała wilgoć. Gruszka pomagał Ewie pokonywać przeszkody, szli razem dużo wolniej niż reszta - na samym końcu, bo teraz nie było już im donikąd spieszno. Ewa ożyła, narodziła się ponownie, wyszła z wnętrza butikowego manekina - mogła rozsypać pancerz. Znów

rozmawiali swobodnie, jakby nigdy nie zdarzył się ten fatalny poranek, droczyli się więc, czasem milczeli, a droga sama im upływała. Ilekroć Gruszka zauważył sprzyjającą okazję, natychmiast podawał Ewie dłoń lub podtrzymywał ją, aby nie straciła równowagi, przechodząc po zwałonych drzewach czy wielkich śliskich głazach. Ten migotliwy, krótkotrwały, pozornie nieznaczący kontakt pochłaniał go całkowicie. Smukłość jej dłoni, ciepło wiotkich ramion, które aż biło przez cienką bawełnianą koszulkę, rozpalało w Gruszcze niespełnione pragnienie dotarcia do jaskini jej wnętrza, ogarnięcia, otulenia i całkowitego odizolowania od groźnego świata.

- Spójrz! - Obejmował ją, wskazując na napotykaną roślinę. - To ostróżka wyniosła. Ma fioletowe kwiatki o długich ostrogach. Zobacz, jaka jest dumna ze swojej urody, patrzy na nas spod przymkniętych powiek i napawa się radością bycia podziwianą.

- A ja - Ewa podejmowała grę - mam wrażenie, że jednak kącikiem ust się uśmiecha. Wie, że jest piękną, ale ma do piękna stosunek lekceważący, ironiczny. Myślisz, że ma świadomość przemijania?

Gruszka był już dalej.

- O tutaj, na drzewie - mówił chwilę później - szczeliniak sosnowiec. Możesz go rozpoznać po żółtawych plamkach rozrzuconych na pancerzyku. - Położył dłoń, a ten wdrapał się na nią i zaczął maszerować po Gruszkowej ręce. Pod lupą obejrzeni jego patyczkowate nóżki, ruchliwe czułka niczym radary kosmonauty podczas ekspedycji i wybałuszone punkciki będące prawdopodobnie oczami stworzenia, które bez lęku, leniwie spacerowało, łaskocząc wierzch dłoni nieustannie pracującymi czułkami. Kiedy już wystarczająco zapoznało się z nowym terenem, Gruszka delikatnie ujął go w dwa palce i usadowił w szczelinie kory.

Ewa najchętniej zamieniłaby się na życia z tym małym istnieniem i wtuliła się w zielony porost drzewa. Nie chciało jej się iść. Gdyby nie Gruszka... On jednak uciął te mrzonki, ścisnął ją za rękę i poprowadził przez gąszcz, aby niebawem dołączyć do reszty.

Te kwiaty, robaki, drzewa, ziemia i kamienie trwały tu niezmiennie od lat. Oni wdzierali się tylko na chwilę, przecinali raz ustalony porządek i pędzili dalej. Zakłócali rytm, wprowadzali chaos, aby zaraz to porzucić, aby za moment znów wszystko wróciło do naturalnej codzienności przemijania. Jednak z perspektywy kosmosu ich ruch nie dezorganizował górskiej przestrzeni. Z odległości księżyca i planet oni też byli częścią ziemskiego bytowania, wpisanego w sinusoidę narodzin i śmierci. Z lotu ptaka wydawali się jedynie większymi mrówkami, które migrują w tylko im wiadomym celu. Ewa nie należała do osób religijnych, dla niej wiara nie osadzała się na wyjątkowo solidnym fundamencie, ale w takich chwilach, kiedy obcowała z tak przemyślnie skonstruowaną naturą, wiara w istnienie Boga nie leżała już w gestii życzeniowej, ale stawała się koniecznością. Faktem. Niepowtarzalnym. Różnorodność gatunków, harmonia wzajemnych powiązań, łańcuchy pokarmowe, symbiozy, mitozy i mejozy, układy rozrodcze, instynkty, cztery pory roku. Tego nie mógłby stworzyć człowiek. Przyroda nigdy się nie zawiesza, nigdy nie zapomina, nie gubi danych. A system zarządzania? Nieprawdopodobne synchronizacje zależności i następstw? Fenomen ewolucji? W górach ta boskość objawiała się na każdym kroku. Nie było tu założonego przez człowieka miasta, niedołącznego komunikacyjnie wysypiska gatunków, które wchodzą sobie w drogę, a ich życie i wolność konstytuuje zbiór przepisów w kodeksie cywilnym. Tutaj wolnym był każdy - każda roślina, zwierzę, byt pośredni. W górach czuło się Boga. W górach Ewa mogła Boga dotknąć.

W kościele Bóg zostawił może skrawek swojego paznokcia na pożarcie dewotkom, a sam ukrył się tutaj, dla świętego spokoju i dla tych, którzy, żeby go odnaleźć, wspinać się będą mozolnie w pojedynku ze sobą, żywiołem i miernotą własnej wiary. Może schował się w szczeliniaku sosnowcu?

Wstyd przyznać, ale w górach była pierwszy raz w życiu, onieśmielona własną ignorancją wołała nie zadawać dodatkowych pytań, nie okazywać zdumienia ani oczarowania, które na tej wędrowce ogarniało ją niezwykle często. Nigdy też nie narzekała na wysiłek ani zmęczenie i jak każdy honorowy żółtodziób, niezależnie od okoliczności, mężnie trzymała fason. Po Gruszcze nigdy nie widziała zniechęcenia czy utraty energii. Zawsze i wszędzie miał coś do powiedzenia, świetnie orientował się w topografii terenu i wystarczyło, aby rano rzucił okiem na mapę, a już przez cały dzień mógł bezbłędnie prowadzić grupę. Rozpoznawał skały, rośliny, zwierzęta, a kiedy spotkał coś niezwykłego, zabierał ze sobą, chował do plecaka, aby - jak tłumaczył - sięść po powrocie do domu nad encyklopediami. Chłonał jak gąbka. Aż iskrzyło od niego nieposkromioną ciekawością świata.

- Już ich widać. - Gruszka wybił Ewę w połowie jakiejś odkrywczej myśli i żwawo pociągnął za sobą.

Orszak zamykał Błękit z Patrycją.

- Idzie nasza Wiewióra - rzekł Robert, spostrzegłszy wyłaniającą się zza zakrętu dwójkę. - Wiewiórka, która przysporzyła dziś wszystkim trochę emocji.

Pati zmarszczyła czoło.

- Daj spokój! - Rozdrażnienie uwidoczniło się w kąśliwym, rozdygotanym tonie. - Widać, że panna totalnie nieotrząskana, czego się dotknie, to kaleczy, nawet przy robieniu kanapek...

- Ale ma coś w sobie - Robert nie dawał za wygraną. - Cicha woda brzegi rwie.

Na jego twarzy malowało się rozbawienie. Pati przewróciła oczami, wykonała nieokreślony gest ręką i prychnęła:

- Oj, przestań, żałosna dziewczyna, naprawdę nic specjalnego.

Gruszka z Ewą byli tak blisko, że do uszu Pati i Roberta dochodziły strzępki wesołej pogawędki, a wtedy Błękit zdobył się na ostatnią małą prowokację:

- Zobacz, Gruszce też mocno wpadła w oko.

Tym razem dołał oliwy do żywego i już mocno roznieconego ognia, bo Patrycja zacisnęła zęby, a potem pas biodrowy, spięła szelki i nie obdarzając go nawet przelotnym spojrzeniem, wystrzeliła do przodu niczym kula armatnia. Tempo, jakiego nabrała, pozwoliło jej pierwszej dotrzeć na miejsce noclegowe.

Są takie chwile w życiu każdego człowieka, nawet najbardziej szczęśliwego, kiedy zdaje mu się, że jest na świecie zupełnie sam, przygnieciony ciężarem własnego istnienia. A wszyscy inni są zbyt zajęci sobą, aby dostrzec jego wołanie o ciepło.

Najdalej są najbliżsi, a ich nieobecność pogłębia naszą pustkę, uświadamia, że tak naprawdę zawsze byliśmy sami. I nasze myśli wędrują do utraconych chwil, w których ktoś nas kochał, ktoś tulił, ktoś się o nas troszczył i dbał. Ewę ścisnęło w gardle, tęskniła za domem. I chociaż na co dzień albo mijali się w pośpiechu, albo wchodzili sobie w drogę, prowokując utarczki, sprzeczki i awantury - o kasę, brudne naczynia w zlewie, niewyniesione śmieci, kanał w TV - dom wydał jej się najlepszym miejscem, jakie człowiek mógł otrzymać w darze od życia. Wyobraziła sobie ich razem, siedzących wieczorem w pokoju, gdzie zwykle oglądali wiadomości i pogryzali pyszne kanapki z pomidorem i szczypiorkiem, które mama wносиła na ogromnym talerzu, a tata rutynowo już kręcił nosem, że nie przekroiła kromek na pół. Brat odrabiał lekcje, tata stawiał na stole pasjansa, a mama krzątała się między kuchnią a pokojem, wychodząc ze zgubnego założenia, że sama zrobi wszystko sprawniej i lepiej. Nic szczególnego się nie działo. A przecież byli wtedy tacy szczęśliwi. Dzielili się wrażeniami z minionego dnia, czasem wraz z zawodnikami grali w „Milionerów” albo „Jeden z dziesięciu”, w weekendy, by zrobić mamie przyjemność, godzili się na partyjkę brydża. I pewnie właśnie w tym momencie, gdy jej serce kurczyło się z żalu jak kopnięty ślepy kociak, oni bez troski wsuwali kolację, śmiali się zupełnie nieświadomi, że ktoś na drugim końcu świata płacze. Ktoś płacze, by śmiać się mógł ktoś.

Dlaczego jej to zrobił? Dlaczego zniknął z Pati? Dlaczego popsuł to, co ledwo zdążył naprawić? Ale dobrze, skoro tak,

ona też potrafi pokazać, na co ją stać. Nie płacz ptaku, Wiewiórko, nie płacz.

Otarła łzy, poklepała się po policzkach, wzięła głęboki oddech i postanowiła za wszelką cenę nie poddawać się emocjom. Mimo że najchętniej wróciłaby do namiotu i zaszyła się w śpiworze, rycząc jak bóbr, wyrzucając trującą gorycz, wypluwając piekącą zgagę aż do samego rana, to jednak pokaże im, że bawi się świetnie, potrafi być duszą towarzystwa i nikt i nic nie zdoła popsuć jej humoru. Nawet gdy będzie to humor fałszywy, przylepiony do gęby przemocą.

Kilkumetrowe ognisko buchało pod samo niebo, iskrząc się i skwiercząc. Towarzystwo skupione wokół bawiło się już w najlepsze. Gruszka w duecie z Krzychem, owinięci wzorzystymi poncho, przygrywali skoczne kawałki - pierwszy szarpał struny gitary, drugi improwizował na harmonijce, a dźwięk frunął ponad głowami, ponad koronami drzew i rozpraszał się dopiero pod kopułą piegowatego nieba. Płomienie ognia odbijały się w trzech pionowych skalnych ścianach, w które wciśnięte było ich obozowisko. Tuż nad nimi wisiała czarna otchłań upstrzona złotawymi nakłuciami, prowadzącymi do innego wymiaru - miliony dziurek od klucza i każda kusi, aby zajrzeć właśnie przez nią. Ale w tym miejscu i czasie zdawało się, że nie ma zupełnie nic, z wyjątkiem ich wirującego skrawka, jakby ojcowska dłoń Stwórcy zawiesiła ich we wszechświecie, otuliwszy troskliwie kamiennymi stokami. Tańcowali. Pod rozgwieżdżonym sufitem śmigwały rozsypane włosy, błyszczące źrenice i wielkie jak sam księżyc beztroskie uśmiechy. Skakali w rytm popularnych hitów, znanych każdej gimnazjalistce, bujali się w balladowych brzmieniach, tupali do szant i wywijali przy latynoskich rytmach. Kaśka przeprowadziła błyskawiczny kurs poleczki, aby na rozświetlonej blaskiem połoninie można

było zatańczyć kółka znanego tańca. Depcząc sobie po piętach i placach, myśląc kroki i kierunek obrotów, bawili się jak na wiejskim weselisku.

A zatem Ewa nie miała innego wyjścia, jak odnaleźć się w tym świecie - rozkołysanym od spontanicznej żywiołowości - obrotów, wygięć, nieuchwytnych gestów i mimowolnych dotyków. Zanim się obejrzała, ktoś podał jej rękę. Wprawiona w ruch, obróciła się raz i drugi. Już wirowała. Ruda czupryna jarzyła się w ogniu niczym aureola. Ewa przechodziła z rąk do rąk. Nie spoglądała nikomu w oczy. Chciała zatracić się w tańcu - pozostać tylko ze sobą i z muzyką. Tak, żeby muzyka wypełniała ją od środka, dyktowała kroki, wylewała się ustami, nosem, uszami. By można było w niej brodzić, nurzać się, brnąć przez pojedyncze dźwięki, przez kompozycje dźwięków, spożywać dźwiękowe sałatki i koktajle. Muzyka miała stać się jej opium - odurzeniem rzucającym mrok na smutki, a światło na uśpione pokłady szczęścia i energii, urojeniem rodzącym różowe opływowe kształty, stroboskopem optymizmu, który wyświetli jej przed oczami migawki pozytywnych emocji, przychylnych gestów, prawdziwych uczuć. Ale nim dała się pochłonać muzycznej karuzeli, stało się to, nad czym pracowała, nieudolnie, bo nieudolnie, ale od samego początku wyprawy. Błękit zaszedł ją od tyłu, mocno chwycił w pasie i poderwał do góry. Lekkością podobną do baletnicy łatwo wyfrunęła w jego ramionach, a wówczas on, przyłożywszy rozgrzane wargi do lodowatych płatków jej uszu, coś szepnął. Było za głośno. Przytaknęła usatysfakcjonowana, że moment wielkiej demaskacji czai się tuż za rogiem, za winkiem północy, za filarami najbliższych pni, pod koronami cichych świadków - drzew. Trzeba mu było przyznać - prowadził świetnie, a mocny uścisk, w którym uwięził swoją ofiarę, a przyszłego kata, nie dawał żadnych możliwości manewru. On dyktował

każdy ruch, posunięcie, najmniejsze drgnienie, najdelikatniejsze tchnienie. On był panem sytuacji, ona zaś tylko marionetką w jego silnym objęciu, posłuszną jego pewnym dłoniom, zdecydowanym posunięciom. Ledwo łąpała oddech, kiedy kręcili się w kółko w oszalamiającym tempie. I jeszcze jeden obrót, i następny. Świat dookoła zlał się w nierozpoznawalne smugi kolorów, rozmazane plamy kładzione pędzlem ekspresji i tylko muzyka pulsowała w jej omdlewającym ciele - od koniuszków palców aż po rozpalone czoło, żyła weń muzyka. I nagle Robert ścisnął Ewę jeszcze bardziej, oplótł jej nogę wokół własnych bioder, a następnie gwałtownie przegiął do tyłu. W ciągu tych kilku sekund niemo napawał się widokiem jej szczuplutkiego gibkiego ciała, które tak poddańczo ulegało jego rozkazom. Zdecydowanym, ale łagodnym szarpnięciem przyciągnął ją z powrotem i zupełnie przypadkowo musnął ustami kącik jej warg. Zmrużyła oczy, wydłużając tę chwilę. Gorączkowa ekscytacja i wyrachowany chłód walczyły ze sobą tak impulsywnie, że zdawały się lustrzanym odbiciem ich tańca, ścieraniem się przeciwnych biegunów, zmaganiem ról - władcy i niewolnicy. Nie zdążyła nasycić się tym niby - pocałunkiem, gdyż Błękit puścił dłoń Ewy, odepchnął ją od siebie, a ona, wyrzucona jak pocisk, poleciała w tył, aby tak samo szybko i zgrabnie owinąć się jego ramionami i przylgnąć do Błękita plecami. Na karku swędziało ją parzący oddech, a wzdłuż kręgosłupa niteczki ruchliwych mrówek kąsały ją dotkliwie i słodko. Oszołomiona, nadal poddawała się milczącym nakazom Roberta, co więcej, godziła się gładzić po włosach, szyi i ramionach, choć uległość, którą on poczytywał sobie za sukces poskromienia złośnicy, była tylko pozorem. W rzeczywistości myśli Ewy pracowały na zwiększonych obrotach - przynęta została zarzucona, teraz należało tylko w

odpowiednim momencie pociągnąć za wędkę. I moment ten zbliżał się nieuchronnie.

- Nie mam już siły - rzekła wreszcie i mimochodem otarłszy się policzkiem o jego szorstki podbródek, zaproponowała: - Może usiadzimy?

Niezwykłe miękki ton jej głosu sprawił, że Robert przystanął, aby się upewnić, czy to wciąż ona. Pochylił głowę, a ona kokieteryjnie zatrzepotała rzęsami, spod których emanowała uderzająco czysta niewinność. Trik zaczerpnięty z disnejowskich kreskówek. Nikt nie potrafił trzepotać rzęsami tak jak Daisy i wszystkie jej pokrewne. Z kolei usta złożone w kuszące serduszko sygnalizowały całkowitą bezbronność. Brakowało jej tylko napisu: „Zaopiekuj się mną”, aby umieścić ją w witrynie sklepiku z maskotkami i ostatecznie rozwiązać wszelkie wątpliwości Roberta Janickiego. I oto ten niezwykle doświadczony facet, uważający się za wyjadacza w dziedzinie kobiecej psychiki, w jednej chwili poczuł się jak podróżnik - odkrywca, równy Vasco da Gamie, bo to właśnie przed nim otwierała się kraina dużo ciekawsza, niż początkowo przypuszczał. Kraina zwana kobietą. Położył dłoń na jej ramieniu i wyprowadził z roztańczonego kłębowiska, rozbuchanego atomu wolnych rozszalałych elektronów, wyprowadził ją w las, aby wyprowadzić ją w pole. Ewa zaś, zachęcona tak błyskawicznym uwodzicielskim sukcesem, gorączkowo obmyślała dalszą strategię działania.

Zacznie się od spacerku, żartów, lekkiej rozmowy, potem usiądą pod jakimś drzewem, spoważnieją, może zamilkną. On spojrzy w niebo i razem będą podziwiać gwiazdy. Jak w harlequinie, romansidle drugiego sortu, albo w telenoweli meksykańskiej podszytej skomplikowaną intrygą. Faceci, myśląc o jednym, nie wybierają przecież ambitnych scenariuszy. To nie Przed wschodem słońca, lecz prosta opowieść o tym, że ona i on dążą do swojego celu. Każde do

innego. W odpowiednim czasie będzie musiała zadrzeć z zimna, aby dać mu przyzwolenie, czytelny znak, że zaczyna się jego pięć minut. Obejmie ją wtedy, wplecie palce we włosy, nachyli się możliwie blisko, a drugą ręką poszuka jej dłoni i zacznie opuszką wskazującego palca penetrować wnętrze, wędrując aż do nadgarstka. I jeśli już nabierze wystarczająco dużo odwagi, ujmie jej podbródek i złoży pocałunek na gotowych, rozchylonych wargach, aby jednocześnie wsunąć łapę pod polar. Tu właśnie rozegra się decydujący pojedynek.

- Co powiesz na mały spacer? - zapytał, ale z jego tonu gdzieś uleciała uwodzicielska nuta. Nie czekając na odpowiedź, ruszył w stronę doliny. Musiała podbiec, aby się z nim zrównać i iść ramię w ramię. Byli na tyle blisko, że czuli wzajemne ciepło, ale w tym spotkaniu ciał nie istniała nawet szczypta intymności. Szli dosyć szybkim, równym, miarowym krokiem. W milczeniu. Im dłużej trwała cisza, tym bardziej Ewie odbierało odwagę. Zaczynała żałować, że znalazła się z nim sam na sam. On natomiast, jakby nie zdawał sobie sprawy z jej istnienia, patrzył przed siebie, szedł regularnym zdecydowanym marszem i słychać było tylko jego świszczące głębokie oddechy, wydobywające się nie z płuc, ale z odległego, niepokojącego wnętrza. Rozmawiać, nie rozmawiać, zagadnąć, zagaić, rzucić sztucznie swobodną refleksję na temat księżyca, pogody, życia czy raczej się zamknąć, czekać na inicjatywę lub samej odpłynąć myślami. Dreptała przy nim coraz mniejsza i coraz bardziej niepewna. Kiedy oddalili się już na tyle, że zupełnie ucichła muzyka i znikły światła, Robert przystanął.

- Mam ochotę tu posiedzieć - powiedział.

Jego demony, które wcześniej ogłuszała donośna muzyka, nieoczekiwanie wysunęły łby, ale ona nie miała prawa o tym wiedzieć.

- Jeśli chcesz, to wracaj do obozu - dodał pośpiesznie.

Ton głosu miał nieprzyjemny niczym dźwięk rysowania widelcem po suchej powierzchni talerza. Zgrzyt. Miała wrażenie, że chce jej po prostu rzucić: „Spadaj!”, a jednocześnie sili się na elegancję.

- Naprawdę nie musisz mi towarzyszyć. - Błękit zmienił się nie do poznania.

O co mu chodziło? Idiotyczna sytuacja. Prostactwo ubrane w smoking. Już lepiej, gdyby walnął bez ogródek: „Mam cię w nosie. Zjazd, laska”. Ale skoro nie mówi, zawsze można udać głupią. Nie wiadomo dlaczego, budzi się absurdałna determinacja, aby zostać, aby zawalczyć. O co?

- Chętnie posiedzę z tobą - rzekła, ukrywając kiełkującą urazę.

Robert ułożył się na wznak na trawie, gestem wskazał jej miejsce i wsuwając ręce pod głowę, zamknął oczy. Ewa bezszelestnie usiadła obok. Była sztywna z pogardy dla siebie i żalu do niego. Co gorsza, nie miała żadnej władzy nad sytuacją. Przecież nie musiała tam zostawać. Mogła wracać. A usiadła. Robert uniósł powieki.

- Lubisz patrzeć w gwiazdy?

- Jak na wszystko inne - teraz i jej rozdrażnienie rosło, nadając melodii mowy charakterystyczne drzenie - chmury, drzewa, po prostu.

- No właśnie. - Skrzywił się z sarkazmem. - Niewielu ludzi znajduje w gwiazdach magię, a przecież to takie niesamowite. Pomyśl sobie, że w tej sekundzie osoby oddalone o tysiące kilometrów obserwują identyczne konstelacje gwiazd. W Polsce, we Włoszech, na Wyspach Brytyjskich. Pod tym samym niebem ileś par się kocha, ktoś umiera, ktoś się śmieje, płacze, rodzi, a może ktoś, tak jak ty teraz, spogląda na Kasjopeję i tęskni za tobą, choć jest na drugim końcu świata. I ta gwiazdka, ta jedyna w kosmosie,

łączy i jednoczy wasze myśli - dla obojga niemalże na wyciągnięcie dłoni. W tym tkwi niezrównana magia gwiazd. Dlatego, gdy czuję się naprawdę źle, wtedy uciekam do gwiazd. Są niezmiennie, niezależnie od tego, co dzieje się w naszym życiu. Pozwalają wierzyć w rzeczy, które spajają ludzi na zawsze, dają nadzieję na nieprzemijalność pewnych emocji.

- Złudzenie.

- Słucham?

- Nie widzisz gwiazd, ale światło, które dociera po kilku latach. Może tych gwiazd - źródła blasku, widzianego tu i teraz - już dawno nie ma.

- Co ty chrzaniś?!

- I bez sensu mieszać do tego relacje między ludźmi. Przemijanie uczuć to wina tych, którzy zapominają je pielęgnować.

- Pielęgnować! Mówisz jak Kaśka i Krzychu. Ich wszystkie teorie sprowadzają się do jedzenia sobie E dzióbków. A każda miłość jest inna. Czasem spotyka trochę większe przeciwności niż rozbieżność poglądów na temat praw fizyki albo ulubionego koloru.

- Jesteś zgorzkniały, bo im zazdrościsz - zdenerwowała się Ewa - bo może nigdy nie spotkałeś tak fantastycznej dziewczyny jak Kaśka.

Robert usiadł. Stulił dłonie w pięści. Pracowały mu skronie. Gdyby było jaśniej, można by zaobserwować, jak gruba, napuchnięta żyła pulsuje mu na czole. Milczał, ale pod skórą wrzało. Pod pierzyną ciszy buzowały zwoje emocji. Negatywnych. Porywczych. Powinien policzyć do dziesięciu, ale zamiast tego ujął jej podbródek, a drugą dłonią podtrzymał tył głowy tak, aby mu się nie wyrywała.

- Puść! - Ewa jęknęła przez zęby, lecz on ścisnął jeszcze mocniej. Zakleszczona niczym w imadle u okulisty, z

poczuciem kretyństwa całego incydentu, poddała się, czekając na to, co on ma do powiedzenia.

- Nie odzywaj się, kiedy nie masz pojęcia, o czym mowa.
- Jego gorący oddech lepił się do jej twarzy. Błękit mówił wolno, ważąc każde słowo. - Masz gówna lat i takie samo doświadczenie, więc nawet nie wiesz, co znaczy miłość mężczyzny do kobiety. Do kobiety! A nie przemądrzałej siksy!

Szarpnęła z całej siły i odsunęła się od niego ze wstrętem.

- Rozumiem, że ta miłość do kobiety, a nie siksy, nie przeszkadza ci na oczach innych pieprzyć pijanych i nieprzytomnych gównolat? Tak? Przypomnieć szczegóły?

- A ty niby skąd znasz szczegóły? Nie przypominam sobie, żebyśmy bawili się na tej samej imprezie - z każdym słowem głos Błękita tężał coraz bardziej. - A jeśli przypadkiem ktoś ci o tym opowiedział, powinnaś dotrzeć najpierw do źródła. Zapytaj się tej gównolaty, jak ją nazywasz, czy tego nie chciała, czy się nie kleiła, czy nie prowokowała.

- Jesteś żaloszny, to żadne wytłumaczenie!

- A wy jesteście głupie. - Błękit był zimny i przeraźliwie spokojny. Drwił. - Najpierw ciągniecie facetów do łóżka, a kiedy nazajutrz oni nie pojawią się z propozycją małżeństwa, wykrzykujecie światu, że zostaliście wykorzystane.

- Nie chcę tego słuchać!

Ewa podniosła się szybko i, niezdarnie biegnąc poprzez kępy trawy i pojedyncze krzaki, krzyczała jeszcze:

- Palant i hipokryta, pieprzony hipokryta! Wreszcie wkroczyła w gęsty ciemny las, aby móc swobodnie wyładować kipiącą w niej furję. Wyrok padł na pierwszy z brzegu pień drzewa. Kopiąc niewinny, lecz niemy posąg natury, odczuwała mściwą satysfakcję, że kogoś też może teraz boleć. Zaciśniętymi ze złości zębami, zablokowaną

szczęką tamowała szloch, łzy i przy okazji resztki racjonalnego myślenia. Dopiero gdy już strząsnęła z siebie całe napięcie mijającego wieczoru, usłyszała dziwne intensywne sapanie rozlegające się tuż obok. Zatrzymała kołaczący się w płucach przyspieszony oddech i przywarłszy do chropowatej kory drzewa, zamarła. Dyszenie powoli nabierało tempa, a wtórowały mu odgłosy łamanych gałęzi. Nie miała wątpliwości - oto stała się naocznym, a raczej nausznym świadkiem gorącej miłosnej schadzki. Niepokój i ekscytacja mąciły jej umysł. Zostać? Wycofać się? Zdradzić swoją obecność? Z jednej strony nieodparta ciekawość, któż jest bohaterem owych igraszek, z drugiej instynkt samozachowawczy alarmował, że może lepiej nie wiedzieć. A jeśli to on? Jeśli zaraz usłyszy głos i rozanielone sapanie Gruszki oraz kobiecy jęk rozkoszy? Już dziś wystarczająco zepsuł jej nastrój. Miłosna szamotanina zdawała się zbliżać ku kulminacji. Postękiwania coraz donośniej wypełniały leśną głuszę. Wreszcie Ewa nie wytrzymała i bardzo ostrożnie ruszyła w stronę opętanych sobą kochanków. Stąpała cicho, ledwo dotykając stopami podłoża, i zasłuchana w erotyczny taniec dźwięków, pozwalała się mu prowadzić. Adrenalina pulsowała jej w żyłach, serce tłukło, aby nadażyć za drastycznie rosnącym napięciem, choć niedająca się przeniknąć matowa czerń lasu szczelnie chroniła Ewę w roli podglądacza i intruza. Syndrom „Big Brothera”. Reality show na żywo. Próbowwała dotrzeć jak najbliżej. Na oślep, po omacku chwytiała się kolejnych pni, napinała bolące ścięgna stóp, naprężała każdy mięsień jak szpieg w gotowości, snajper przed wystrzałem. Nagle coś gorącego i mokrego z impetem uderzyło ją w twarz, powalając jednocześnie na kolana. Oszołomiona zakryła głowę dłońmi, lepka ciecz sklepiła włosy. Wielkie dyszące cielsko otarło się o nią i pozostawiwszy

znajomy smród, znikło w dzikich ostępach wraz z oddalającym się dudnieniem kopyt.

Do takich intruzów tubylcze krowy nie nawykły.

Światło księżyca przebijało się przez tropik namiotu i rzucało smugę na uśpione twarze. Kaśka i Krzysiek spali jak kamienie, Ewa, zawinięta szczelnie śpiworem i skulona niczym embrion, wzdychała cichutko, Roberta nie było, Gruszka nie mógł zasnąć. Najpierw przekręcał się z boku na bok, potem liczył owce, snuł plany na czas powrotu do domu, ale sen nie nadchodził. Powinien zrobić kilka okrążeń z pełnym rynsztunkiem wokół obozu, by zmęczyć ciało albo oczyścić umysł, posprzątać go z trujących myśli i zwolnić miejsce na sen. Sny nie lubią źle pościelonych łóżek. Opcja okrążeń nie wchodziła w grę, gdyż wciśnięty pomiędzy uśpione ciała, nie miał nawet możliwości zmiany pozycji, a co tu mówić o wygramoleniu się z namiotu. Leżał więc na wznak z wbitym w żebro łokciem Ewy i łydką przygniecioną długimi nogami Krzycha, wsłuchiwał się w dźwięki nocy i na nowo analizował miniony dzień. Co jakiś czas huczał buszujący w lesie puszczyk, ujadaly psy pasterskie, małe gryzonie chrobotaly w trawie, ale ponad muzyką natury unosiło się donośne polifoniczne chrapanie. Niskie, wysokie, miarowe i urywane, z poświstem czy bez, skutecznie zagłuszało wszelkie odgłosy życia.

Wchodząc do namiotu, nie odezwała się nawet słowem. Wpełzła do śpiwora, nie zdjęwszy nawet ubrania, jednym pociągnięciem zasunęła zamek błyskawiczny, ściągnęła sznurki kaptura, który otulił jej głowę, odwróciła się plecami i już jej nie było. Gdzie podział się Błękit? Wychodzili razem. Nie mógł tego nie zauważyć. Nie mógł też nie zauważyć ich tańca. Jak on ją ścisnął! Jak tarosił niczym lalkę - bez delikatności, taktu, i wpijał się w nią dzikim wzrokiem, niewidzącym niczego dookoła poza Ewą. A potem ocierał się o nią jak samiec podczas rui. Gruszkę aż przeszedł dreszcz obrzydzenia. Kiedy wyobrażał sobie, że Robert mógłby być z

Ewą, zalewała go fala gorąca i strachu. Powinien już wcześniej się zorientować. Ewa od początku podróży niby mimochodem wypytywała o Błękitą, a i on w pewnym momencie wydał się nią zainteresowany, choć oczywiście maskował to ostentacyjną niechęcią. Typowy chwyt. Zawsze, gdy ktoś wpadł mu w oko, zabiegał o czyjeś względy czy uwagę, zaczynał od drobiazgowego wyłuskiwania fikcyjnych wad. Tak zachowywał się w stosunku do kobiet, ale również ludzkich osiągnięć, przedmiotów, których nie mógł, choć chciał osiąść. Krytykę nasilał tym bardziej, im bardziej nieosiągalny był obiekt jego marzeń. Wówczas pastwił się niemiłosiernie, szydził, udowadniając całemu światu, jaki to chłam i bezwartościowy bubel. Autoterapia poprawiająca samopoczucie, własne ego? Gruszka nigdy nie mógł tego pojąć. Tyle lat przyjaźni, a między nimi wciąż zionęła światopoglądowa przepaść. Mógł się zorientować: Ewa z Robertem. Ten to potrafi psuć ludziom humor. Nie pierwszy raz zresztą. Chociaż już podczas ogniska wyraźnie Gruszki unikała, chciał się dosiąść - zaczęła gadać z Krzyśkiem, upiekł jej kiełbasę - odmówiła, a potem częstowała się kiełbasą Kachy. I ten uśmiech. Drwiący, cyniczny, wyłuskany z ciepła, które zwykle przylegało do jej szczupłej twarzyczki. To nie było do niej podobne. A przed ogniskiem? Zaraz po przyjściu i rozstawieniu namiotów zajęła się robieniem kolacji, Gruszka w tym czasie poszedł do namiotu Pati.

Patrycję, studentkę rehabilitacji na AWF - ie, znał od lat. Wychowali się na tym samym podwórku. Tłuściutka i rumiana, w okularach jak denka od musztardówek, z drucianym aparatem korekcyjnym na zębach, należała do tak zwanych „kwiatków pnących”, czyli dzieci, które na przerwach podpierają ścianę i marzą, aby stać się jej częścią, ponieważ każda próba zaistnienia w grupie, zwrócenia na siebie uwagi rówieśników, kończy się ucztą szyderstwa i

pośmiewiska. Gruszka natomiast, jako klasowy błazen i showman, lubiany przez dzieci, jak również ciało pedagogiczne, mógł sobie pozwolić na to, by wziąć pod skrzydła brzydkie, niechciane kaczątko. Reputacja każdego innego byłaby z tego tytułu poważnie nadszarpnięta. Ale nie Gruszki. Nigdy nie istniało między nimi szczególne porozumienie, bo Pati ciągle bawiła się lalką barbie, godzinami przebierając ją w ubranka i czesząc jej długie blond włosy. (Tylko dziewczyny mogą spędzać godziny na takich formach zabawy). Poza lalkami Pati nie była ciekawa niczego. Mimo to Gruszka niezwykle chętnie odwiedzał ją w domu, gdzie każde z nich znajdowało zupełnie inne podniety. Biblioteczkę małej Patusi, nigdy nie tkniętą jej pulchnymi paluszkami, wypełniały kolorowe encyklopedie i ślicznie oprawione albumy, przywożone przez ojca z RFN, które Gruszka wertował godzinami, ucząc się przy tym niemieckich słówek, opisujących fotografie i rysunki. Jej dom zawsze wypełniały zapachy ciast i innych kulinarnych specjałów przyrządzanych przez bezrobotną z wyboru mamę. Tej zalety nie dało się przecenić, jeśli w rodzinie Gruszki ciasto podawano jedynie w święta, a mama, pracując w szpitalu, znikła na całe dni, a nieraz i noce. Dom Pati lśnił luksusem, dobrobytem, a ciepło zapachów sączące się z kuchni wypełniało go duszą. Nawet pies wyglądał jak z importu. Modnego wtedy sznaucera olbrzyma Gruszka zwykł zabierać na spacer. Pati się nigdy nie chciało.

Godziny zamienione w tygodnie, miesiące i lata, kiedy Gruszka spędzał popołudnia z Patrycją, zaowocowały wystarczającym przywiązaniem, aby ich znajomość trwała do dziś.

Nawet nie zauważył, że Pati wysmukłała dzięki reżimowi tabeli kalorycznej, że zamiast okularów nosi soczewki, jak również, że przeobrażona z kaczątko w łabędzicę przestała się

zadowalać statusem szkolnej przyjaciółki. Aż i tylko przyjaciółki. Dorosłą Patrycję to kumplostwo upokarzało. Była kobietą i chciała czegoś więcej. Nieustannie udowadniała sobie, że może, potrafi, jest w stanie. Zdobywanie poklasku, podziwu i zainteresowania u mężczyzn, nawet za cenę odrzucenia przez koleżanki, stało się dla niej sprawą być albo nie być. Jedynie to bowiem dawało jej poczucie własnej wartości. I tylko obojętność Gruszki stała Pati ością w gardle. A teraz jeszcze Ruda. Gwiazda wyjazdu. Niech ją szlag trafi. Ani ładna, ani dowcipna, ale nowa. Wiadomo, faceci jak psy, poczują zapach świeżonki, to zaraz im rozum do chuja ucieka. Na szczęście Patrycja już nie z takimi rywalkami miała do czynienia, więc szybko obmyśliła skuteczny plan odstraszenia Rudej. Zaproponowała Gruszce masaż. Zajmowała się tym w sekcji od zawsze, ale nie każdy musiał o tym wiedzieć. I o to chodziło. Naiwnością byłoby sądzić, że jej propozycja należała do bezinteresownych. Co to, to nie. Pati niczego w swoim życiu nie czyniła bez skalkulowania potencjalnego zysku. I dobrze na tym wychodziła. Naprawdę.

Potem była kolacja. Już wtedy nie siedzieli razem. No tak. Osaczał ją Błękit! I rzeczywiście to wówczas Ewa przestała dostrzegać Gruszkę i cały czas uśmiechała się do Roberta, a on pewnie czarował ją niestworzonymi historiami. Nie byłby sobą, gdyby nie udowodnił swojej przewagi. Urażona poranna ambicja, nieuzasadniona męska zazdrość i proszę bardzo - kumpłowska lojalność bierze w łeb.

Gruszka podświetlił tarczę zegarka. Dochodziła trzecia. Roberta nie było. Może i dobrze, bo mógłby nie wytrzymać i przywalić Błękitowi z wściekłości; do rana się uspokoi i wykrzesze z siebie minimum tolerancji, aby jakoś koegzystować we wspólnocie. Najważniejsze to nie dać się sprowokować, udać, że nie ma sprawy. Niech sobie nie myśli. Podstarzały playboy. Trzeba spać, bo zaraz zacznie świtać. Jak

go uczyła Ameli? Zamknąć oczy, pomyśleć trzy pierwsze słowa, które się nasuną, i spróbować ułożyć z nich historię. Niech będzie: guzik, namiot, chmura.

IV
DZIEŃ TRZECI

Wystarczyło zanurzyć dłoń w lodowatym maleńkim źródelku, aby zimny dreszcz przebiegł igielkami od palców aż po stopy. A trzeba jeszcze się rozebrać i mężnie zmoczyć całe ciało, stopniowo polewając je wodą z kubka albo menażki. Skóra cierpnie, kurczy się, blednie, dzwonią zęby, ręce i kolana dygocą jak w febrze, ale nie ma rady. Woda ogarnia centymetr za centymetrem, potem szybki szorstki masaż, od którego zaraz robi się cieplej, i palące gorąco powoli rozchodzi się wokół gąbki. I wreszcie znów woda, aby wszystko splukać. Mocne wycieranie należy już do przyjemności. Potem tylko zapakować zmaltretowane ciało w ciepłą, świeżą bieliznę i wierzchnie odzienie, a przez najbliższe kilka godzin będziemy odczuwać komfort bycia czystym. Do pierwszego wzniesienia, pierwszej przeprawy.

Odświeżona, otulona w babciny sweter, spod którego wystawał czerwony kaptur, przysiadła na stromym zboczu góry i wpatrzyła się w odległą kotlinę, w której wiły się mgławicowe kłęby. Poranne słońce kładło już swoje miłe szczyptnięcia na odsłoniętej twarzy i dłoniach, a czyste bezchmurne niebo pogodniało niebieską intensywnością. Leśne życie wrzało w najlepsze i tylko oni, przybysze z innej krainy, spali, lekceważąc tryb życia natury. Chyba po raz pierwszy Ewa poczuła się naprawdę dobrze w tej swojej dziwnej samotności. Słuchała odgłosów ptactwa, obserwowała to niepojęte, spokojne trwanie dookoła i powoli zrozumiała, że zaczyna wypełniać się prostym rytmem - a jej wszystkie historie, wydumane problemy są niczym wobec bytów, które zamieszkują tę krainę. Nie była jego częścią. Czuła dlań podziw, może nawet respekt, ale gdzieś w głębi ciążyła jej rola podglądacza, intruza. Należała do świata pośpiechu, ruchu, uporządkowanego chaosu. Domy, ulice, samochody, nieba samolotów, latarni, neonów. Sklepienia sufitów, żarówek

zamiast gwiazd. Nie potrafiłaby się tego wyrzec, nie wyobrażała sobie istnieć poza najważniejszą akcją. Ograniczyć własny świat do kotliny, za którą znajdują się same niewiadome? Życie poza polityką, historią, samemu tworzyć kulturę? To jakby oderwać się od bytu, stracić punkt odniesienia, pozbawić się ludzkiego pragnienia poznania i doświadczenia. A przecież to właśnie ta zwariowana cywilizacja przynosi człowiekowi cierpienie wiecznego głodu, metafizyczny niedosyt. Jednak wyrzec się jej, powrócić do korzeni, zaszyć się na końcu świata? Nie, to już nie jest możliwe.

Ewa nałożyła na głowę kaptur, przymknęła powieki i wyciągnęła się na trawie. W otaczającej zieleni przypominała długą barwną gąsienicę. Jednak ten Gruszka okazał się taki sam jak wszyscy. Ale żeby z Pati?! Żałosne. Bez sensu nawet o tym myśleć, co najwyżej mieć nauczkę na przyszłość - pozory mylą. Może powinna zostać w Anglii? Może właśnie z Melikiem. Przeraziła się ryzyka? Stereotypów kulturowych? Strasznych opowieści o tragicznych losach białych kobiet w arabskich rodzinach? Przecież to absurd. On jest zupełnie inny: odcytany, wszechstronny, a przede wszystkim nieograniczony własną religią i zabobonami. Po prostu stchórzyła. Uciekła. Zawsze ucieka, kiedy należy zdecydować, opowiedzieć się po jednej ze stron. Tam wtedy, w tym londyńskim koktajlu wydarzeń nie było czasu na refleksję - wszystko działało się impulsywnie. Teraz trzeba to jeszcze raz powtórzyć, przemyśleć i ocenić. Góry temu sprzyjają. Pozwalają milczeć i same taktownie nic nie mówią.

Wsparła się na łokciach i spojrzała w dół. Na samym dnie kotlinki stał maleńki, zbity z desek barak. Obok baraku, ogrodzone prowizorycznym płotem, pasły się krowy. Dwa dorosłe psy pilnowały bydła, wylegając się na nasłonecznionym skrawku ubitej ziemi. Nie zauważyła

żadnych ludzi. Wokół panował niezmacony spokój. Dopiero szelest kroków w pobliżu odwrócił jej uwagę. Znad strumienia nadchodził Robert Janicki, a u jego boku z promiennym uśmiechem na twarzy kroczyła Pati.

Wzrok Ewy skrzyżował się ze spojrzeniem Patrycji, która podchwyciwszy tę nić przypadkowego porozumienia, pomachała raźnie i pociągnęła za sobą zmieszanego Błękitą.

- Sama? - zagadnęła Ewę, opadając łagodnie obok.

- Dlaczego nie? Czasem, gdy wokół nikogo nie ma, mniej odczuwamy samotność - odpowiedziała, siląc się na możliwie obojętny ton.

- Widzę, że ktoś tu lubi snuć filozoficzne refleksje - zadrwiła Pati i mrugnęła znacząco do Roberta, który wciąż stał niezdecydowany, czy powinien się przyłączyć.

- W tej chwili, Patrycjo, wygłaszam co najwyżej truizmy - odpowiedziała zła, że daje się prowokować.

Nastąpiło krepujące milczenie. Roberta bez reszty pochłonęło kopanie butem dołka w ziemi, na ustach Pati zastygł, ćwiczony wielokrotnie przez lustrem, uśmiech Mony Lizy, a Ewa udawała nieobecna. Nikt inny nie przychodził im z pomocą, więc trwali tak w owym bezruchu, czekając, aż ktoś wreszcie raczy wyjść z inicjatywą. Niebo ucichło wraz z nimi, słońce, niezrażone, łaskotało wszystko, co napotkało na swojej drodze, a oni zastygli w swoich pierwotnie przyjętych pozach. Ale że każde napięcie dochodzi zwykle do punktu krytycznego, tu również nastąpiło przesilenie.

- Wiesz, Pati, tu, w górach, można sobie uświadomić - zaczął Robert, nie odrywając wzroku od czubka buta - że właśnie najbardziej samotni czujemy się wśród ludzi.

- Co wam się tak zebrało na poważne tematy?! - Patrycja zmanifestowała swoje zniecierpliwienie.

- Tylko takie rozmowy mogą budować prawdziwe więzi - odpowiedział - i chyba nie należy poprzestawać na żartach,

ploteczkach i jałowej wymianie kurtuazyjnych zdań, nawet jeżeli to czasem trudne, a być może także bolesne.

- To sobie gadajcie, mnie to nie bawi, jestem na wakacjach, a nie na konwersatorium z filozofii. - Patrycja podniosła się i żwawym krokiem ruszyła w stronę namiotu.

Ewa, idąc w ślad za nią, poderwała się i krzyknęła:

- Poczekaj, pójde z tobą!

Pełne wyrzutu spojrzenie Roberta z niewyczuwalną lekkością osiadło na jej plecach, lecz ona w tym czasie obmyślała już chwyt konia trojańskiego. Żeby kogoś pokonać, najpierw trzeba go poznać, potem uśpić czujność i zaatakować od tyłu. W miłości i na wojnie nie ma żadnych reguł. Co prawda ani wojna, ani zakochanie na razie jej nie groziło, ale zadziałać trzeba, chociażby profilaktycznie.

- Kurczę! Też chciałabym być taka bezpośrednia - zagaiła, kiedy już zrównała się z Patrycją.

Pati przystanęła, spojrzała podejrzliwie, ale nie odnalazłszy nic, odrzekła pogardliwie:

- Też mi coś! Wystarczy, że będziesz mówiła to, co myślisz.

- Ale to chyba nie jest takie łatwe...

- A co w tym trudnego? Wystarczy przestać się przejmować opinią innych. Masz prawo okazywać swoje negatywne emocje. Tak czy nie?

- Chyba nie na tym polega życie w grupie. Można komuś sprawić przykrość.

- Nie bądź Matką Teresą z Kalkuty! Jeśli myślisz, że tu wszystko jest takie ładne i piękne, na jakie wygląda, to się grubo mylisz.

- To znaczy? - Ewa pytająco uniosła brew. W jej głosie można było wyczuć napięcie.

- To znaczy, moja kochaniutka, że nie należy dać się zwieść pozorom. Jeżeli ktoś okazuje ci sympatię, to zwykle

ma w tym interes. Uwierz mi - zapewniła, tak jakby zdradzała Ewce sekretną receptę na przetrwanie. I powtórzyła Ewie tezę Anthony'ego de Mello, który twierdził, że każde nasze odruchy, nawet te najokazalsze, mają swoje źródło w egoistycznej potrzebie zaspokajania własnych roszczeń. Nasze uczucia względem innych - sympatia, przyjaźń i miłość - to stany, w których nastawieni jesteśmy na branie; nawet kiedy dajemy, robimy to, aby doznać chwili cudzej radości, która sprawi nam przyjemność. Każdy nasz prezent, podarunek, dobry uczynek motywowany jest chęcią odczuwania satysfakcji. A zatem lubimy, kochamy tylko wówczas, gdy dostajemy to, czego chcemy.

Zbliżały się do namiotów, z których stopniowo wychylały się rozczochrane głowy. Po chwili rozbrzmiał już przyjemny gwar: słyhać było śmiechy i rozmowy, stukano menażkami, szukano przyborów do mycia, spierano się, kto wyczyści naczynia po wczorajszych kisielowo - herbacianych libacjach. Kolejny dzień wędrówki szykował się do drogi.

Gruszka miał sen. Zdarzało mu się to okazjonalnie, wtedy zwykle budził się jak zawrócony nagle z odległej podróży. Śniła mu się pusta scena małego prowincjonalnego teatru. Ciemność oświetlał tylko jeden punktowy reflektor, rzucający blady snop, w którym wirowały drobiny kurzu. Wtem z prawej strony sceny bezszelestnie wysunęła się kobieta o jasnym, prawie niewidocznym obliczu. Z przeciwka nadchodził młody mężczyzna o twarzy dziecka. Swoim nierzeczywistym wyglądem przypominali wycięte z kartonu dwuwymiarowe kukły. Szli do siebie niespiesznie, aby na środku złączyć się w mocnym miłosnym objęciu. Ona przylegała do niego plecami, chowając twarz w wątłych ramionach. On pochyliwszy się ku niej, szeptał gorące, niesłyszalne słowa. Niestety ich emocje ginęły w przezroczystości damskich policzków i cieniu stopniowo gaszącym żar jego źrenic. Chwilę później światło stopniało i nastąpiła ciemność - nieprzenikniona, głucha i cicha. Tak musi wyglądać umieranie - ciemność i cisza - koniec kosmosu. Kiedy reflektor zapalił się ponownie, zamiast szklanej kobiety pojawiła się inna: wyrazista, o ognistej czuprynie i iskrzących, zielonych kocich oczach. Z przeciwka szedł do niej ten sam mężczyzna co poprzednio. W tym samym miejscu, pośrodku sceny, objęli się czułym uściskiem i zastygli, wtopieni we własną bliskość. Teraz przypominali żywych ludzi - światło intensywniało i Gruszka zauważył, że to jednak szklana kobieta o dwóch różnych profilach - żywym i umarłym. Kiedy otworzył oczy, poraziła go silna jasność poranka.

Usiadł na swoim pościeli i rozejrzał się - nikogo nie było. Musiał twardo spać, bo wokół rozbrzmiewał niebywały gwar. Wychylił głowę z namiotu i jeszcze półprzytomnym wzrokiem potoczył po wszystkich. Siedzieli w okręgu przy nietkniętym jeszcze śniadaniu i żywo o czymś dyskutowali. Temat musiał

być ważki, skoro kanapki, zamiast znikać w ekspresowym tempie, leżały nieruchomo, cierpliwie czekając na swoje pięć minut. Ciekawość spowodowała, że nie zważając na swój negliż, Gruszka wysunął się spod tropiku i całkiem już rozbudzony podążył do przyjaciół. Jego zielone bokserki z apetycznymi truskawkami na chwilę oderwały wszystkich od rozmowy. Wzniesiono krótki okrzyk uznania i powrócono do tematu.

- Krzychu, chyba nie masz wyobraźni - stwierdził z niesmakiem Błękit. - Raz, że to wbrew prawu, a dwa - kompletnie bez sensu.

- Daj spokój! - Krzysiek nie cierpiał dyskusji z Błękitem, bo jego musiało być zawsze na wierzchu. - Dziewczynom będzie łatwiej, niż przedzierać się przez chaszczę. Tam jest normalna droga.

- Pewnie. W razie czego będziemy udawać nieorientowanych - włączył się do rozmowy Gruszka, i Ewa spojrzała na niego zdumiona. Skąd on wie, o czym mowa, skoro nawet ona, siedząca tu od początku dyskusji, nadal nie mogła pojąć, o co chodzi.

- Jak chcecie, ale ja już przez to przeszedłem i to nie jest takie wesołe, jak mogłoby się wydawać - mruknął Robert.

- Oj, już wyluzuj, stary, chyba zbyt wiele rzeczy bierzesz ostatnio na serio. - Krzysiek klepnął go po ramieniu. I wszyscy oprócz Roberta wybuchli śmiechem.

- Przynajmniej będzie adrenalinka. - Gruszka zatarł ręce i rzucił się na najsmakowitszą kanapkę.

- Eeeeeee!!! - oburzonym tonem przywołano go do porządku. - A może tak zaśpiewamy najpierw Smacznego, co?!

Harcerskie nawyki z młodości wciąż się w nich odzywały i nikt nie wyobrażał sobie, że może być inaczej. Rozbrzmiała pieśń sławiąca jedzenie i zaraz potem z ceraty zaczęły znikać

kanapki jedna za drugą. Słońce grzało, lekki wiaterek czesał włosy - znów było wesoło, jasno i optymistycznie. Nawet Ewa stwierdziła, że chyba odzyskuje humor, bo patrząc na stroszącego się jeszcze Błękitą, poczuła nagły przyływ pobłażliwości. Dał wczoraj popis, nie ma co. Zresztą wszyscy dziś tryskali niebywałą energią - proces aklimatyzacyjny zakończył się powodzeniem, Gruszka gadał z pełnymi ustami, zajadając śniadanie tak łapczywie, że aż mu się uszy trzęsły. Nie zwracał najmniejszej uwagi na zalotne zaczepki Pati, natomiast co i rusz zerkał na Ewę, a w jego oczach tliła się troska i czułość.

Tak, Ewa miała dziś naprawdę świetny humor.

Poranne słońce przysłoniły ciemne deszczowe chmury w chwili, kiedy znaleźli się w pasie przygranicznym. Zrobiło się ciemno i duszno, a z dala dochodziły sporadyczne grzmoty.

- Dobrze, gdybyśmy zdążyli przed burzą. - Błękit niespokojnie spoglądał na nadciągający ze wschodu ołowiany granat ciężkich chmur.

- Zdążymy, przed nami nie więcej niż dwie godziny marszu - uspokoił Krzychu.

- Jeśli nic nas nie zaskoczy.

- Przestań krakać i lepiej przyznaj, że mój wybór był słuszny. Przez las wleklibyśmy się dwa razy wolniej.

- Nie macie ciekawszych tematów? - przerwała im Kaśka, która do tej pory szła w tyle z Pati i Ewą. - Jeśli chcecie, to sprzedam wam najnowszą rewelację - zniżyła konspiracyjnie głos.

- No? - Męska ciekawość w niczym nie ustępowała kobiecej.

- Pati właśnie opowiada Ewce o tym, jak wszyscy doktorzy i profesorowie z zakładu rehabilitacji, szaleją za nią i celowo odsyłają ją na poprawki, żeby mieć możliwość kolejnego spotkania.

- O rany, nie ma jak dorobić sobie ideologię do porażek.

- Kobiety jednak są głupie. - Błękit zaczynał pozować. - Już od wczesnego dzieciństwa wmawiają sobie takie historie. Pamiętacie, jak wszystkie panienki w podstawówce prowadziły te durne złote myśli, aby sprawdzić, kto je kocha? Albo gdy szeptały na korytarzu, że Piotruś czy Wojtuś taki zakochany, bo na matmie poprosił o ściągę?

- Spadaj, Błękit. - Kasia odrzuciła zamasyście warkocz. - Wy nie jesteście lepsi, lataliście za dziewczynami jak opętani, na długo, zanim wydedukowaliście konotację między waszym penisem a pożądaniem do kobiety. I oczywiście uczucia

okazywaliście nie inaczej, niż ciągnąc za włosy albo wbijając cyrkiel w plecy.

Ich trójka rozpoczęła żywą dyskusję na temat wyższości jednej płci nad drugą, przytaczając argumenty pomiędzy południowym biegunem szowinizmu a feministyczną Arktyką oklepanych już, skrajnych argumentów. Wszyscy faceci to świnię, baby są płytkie i głupie, mężczyźni chowają rozum w spodniach, kobiety nie mają pasji, faceci po ślubie zmieniają się w tyranów, dziewczyny zastawiają na chłopaków pułapki biologiczne, faceci nie lubią łatwych kobiet, laski to „blachary”, wszyscy kolesie oglądają pornosy, dla kobiet seks i miłość to jedno, mężczyźni lubią dziewice, żadna żona nie jest w łóżku tak dobra jak kochanka, samochód dla faceta to przedłużenie penisa, baby po porodzie tyją, mężczyźni działają za pomocą jednej dźwigni, kobieta nigdy nie zrozumie zasad gry w piłkę nożną, miejsce mężczyzny jest przed telewizorem, a kobiety w kuchni... bo zupa była za słona.

Tymczasem rozmowa idących za nimi Ewy i Patrycji toczyła się tylko sobie rozumiałym torem. Czasem łatwiej otworzyć się przed nieznanym. Nie ma jeszcze wobec nas żadnych oczekiwań, nie ma pełnego obrazu, o który musimy dbać, zachowując się przewidywalnie i tak jak zawsze. Posiadamy zatem czystą kartę i możliwość, aby się na nowo wykreować, stworzyć swój wizerunek według własnej fantazji. Jedni się otworzą i pokażą najgłębsze, skrywane na co dzień sekrety, inni natomiast zabawią się w aktora, przyklepią maskę i rozpoczną spektakl. Nie istnieje bowiem ryzyko, że rozmówca powie: „No wiesz? Nie poznaję cię!”. Najbezpieczniej zwierzać się ludziom przygodnym - w pociągu czy samolocie, chwilę później bowiem rozchodzimy się w przeciwne strony, a prawdopodobieństwo, że spotkamy się znów, jest nikłe. Można podrzucić komuś swój tobołek

smutków i prezent własnych radości, bo on i tak zgubi go już na dworcu, w momencie, gdy wróci do swojego świata. Nie będzie nim w żaden sposób obciążony. Taka jest specyfika przygodnych znajomości - iskrzą się chwilę, płoną nieraz silnym ogniem, ale na tyle krótkotrwałym, by zaraz przygasł, nie wyrzadziwszy nikomu krzywdy. W górach z kolei, kiedy codzienny świat oddala się z każdym przebytym w głąszy kilometrem i każdą przespaną na pustkowiu nocą, intymne opowieści stają się niczym czysta fantazja z przeszłości - odległe i w żaden sposób nieprzystające do otaczającej rzeczywistości. Nasze życie tam w dole jest jak serial, po trosze cudze, zupełnie odrealnione, gdzieś za szklaną szybą. Oderwane od tu i teraz. A tu i teraz jest wędrówką, wytęsknionym posiłkiem, ugaszonym przy strumieniu pragnieniem, tu i teraz to tych kilka osób - ich wzajemne relacje, krzyżujące się emocje, humory i nastroje, pole magnetyczne grupy jako jednego organizmu i centra energetyczne poszczególnych osób - atomów indywidualności.

- Ja muszę być wolna - ciągnęła swój wywód Pati - nie potrafiłabym tak jak Kaśka, ciągle z jednym facetem. Wyobrażasz sobie, że ona, kiedy wychodzi z domu, mówi mu, gdzie idzie i o której będzie z powrotem?

- To chyba wynika z wzajemnego szacunku - wtrąciła Ewa.

- Jesteśmy na to za młode. - Pati roześmiała się, kątem oka spojrzała uważnie na Ewkę i znów zaczęła: - Chyba dlatego dziewczyny z sekcji mnie nie lubią...

- No coś ty! - wykrzyknęła Ewa. Zaczynała ją ta sytuacja fascynować. Przypominała bowiem partyjkę pokera o grubą kasę, gdy co innego się mówi, a co innego myśli, pełna kontrola gestów i mimiki. Gra barwą głosu, gra uśmiechem, gra słów.

- Nie mogą znieść myśli, że ich faceci woleliby być ze mną, ale wychodzą z założenia, że lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu.

- Lepszy jeden cyc w garści niż dwa w krzakach - podłapał Gruszka, który od pewnego czasu szedł za nimi.

- A Gruszka? - spytała Ewa, patrząc z rozczeniem na sylwetkę oddalającego się Gruszki. - Z nim chyba łączy cię coś więcej, prawda? - Nie zauważyła nawet, że w oczekiwaniu na odpowiedź przestała oddychać.

- Gruszka?! - Pati chrząknęła lekceważąco, usatysfakcjonowana, że rozmowa podąża dobrym torem. - Nie daje mi spokoju od dziecka. Wiesz, że znamy się jeszcze z piaskownicy? Jestem jego pierwszą miłością i na ile znam Gruszkę, to ostatnią - zakończyła westchnieniem i zamilkła wyczekująco.

- Znajomi z piaskownicy? - Ewie spadł kamień z serca. Znajomości z czasów wspólnego nocnika raczej nie zagraża nagły wybuch fascynacji. Zrobiło jej się tak lekko, jakby właśnie dziś zaczynała nowe życie. A jednak nie dała za wygraną, nie odpuściła i musiała jej to powiedzieć: - Masz szczęście. Takie dziecięce miłości mają solidną podstawę: pożądanie, seksualność i tajemnica nie grają tak wielkiej roli, a oparta na kumplostwie relacja wolna jest od destrukcyjnych namiętności i romansowych porywów. To taka porządna i stabilna miłość. Oswojona jak stare kapcie. Naprawdę ci zazdroszczę - dodała i całkowicie już ukontentowana spojrzała na minę Pati. Nie była to bynajmniej twarz osoby pełnej bezgranicznego szczęścia.

4

- Stać, bo strzelam! - usłyszeli za plecami, lecz dopiero odgłos przeładowywanego karabinu zadziałał paraliżująco.

Stanęli jak zakłęci i nikt nie miał odwagi nawet się odwrócić.

- Na ziemię!

Zupełnie zdezorientowani, nie zdjawszy nawet plecaków, padli w popłochu w gąszcz suchej trawy. Podeszło trzech mężczyzn. Przeszli się między leżącymi, trącając ich butami, a dla większego efektu dźgali lufami przygniatające wszystkich toboły.

- A wy dokąd? - spytał jeden, wciskając zjadliwy uśmiešek w wolną przestrzeń dzielącą od siebie twarze poległych wgniecione w trawę.

- A nie mówiłem? - wycedził Błękit, a jego wściekłe spojrzenie spoczęło na Krzychu i Gruszcce.

- Słucham? - z fałszywą uprzejmością i zainteresowaniem zapytał drugi, zwieszając swoją czerwoną twarz tuż nad głową Roberta.

- Jesteśmy turystami, zgubiliśmy się - próbował ratować sytuację.

- Zgubiliście się? To ciekawe! - Wyższy zaśmiał się, a jego kumpel zawtórował mu:

- I akurat poniosło was do granicy? - Pochylił się nad Ewą i przytknął swoje ciekawskie oczka blisko jej twarzy. - A czemuż to Polaczki próbują nielegalnie przekroczyć granicę?

Nikt nie kwapił się z odpowiedzią. Dziewczyny leżały obezwładnione strachem, do końca nierozumiejące, o co właściwie chodzi. I ten przeklęty ukraiński. O czym oni gadali, krążąc niczym wygłodniałe hieny nad ofiarami i napawając się sukcesem. Bezczelność i prostactwo rysowało się na ich krnąbrnych twarzach.

Oprawcy, mając świadomość, że to oni reżyserują rozgrywający się spektakl, pozwalali sobie na wiele. Los tych żalonych dzieciaków zależał od nich! Przyjemnie im było patrzeć na roślących młodych mężczyzn objętych strachem i śliczne Poleczki dygoczące lekliwie. Aż ślinka ciekła na samą myśl o tych świeżutkich, wymuskanych ciałkach wydelikacowanych cudzoziemek. Zedrzeć z nich te wszystkie szmaty i brać jedną po drugiej tak, żeby ich chłoptasie rzygali ze wstrętu i obrzydzenia. Wymiętosić, powalać i zrywać im z twarzy maski damulek, żeby upodobniły się do prostych, czerstwych kobiet z czerwonymi mokrymi krociami, zawsze gotowymi na spotkanie z mężczyzną.

Oślinione gęby pograniczników, rozmaślone niewielkie oczka nie dawały dużych nadziei na porozumienie. Wobec tego cała uwaga powalonych na glebę koncentrowała się na śledzeniu kątem oka poczynąń strażników przy jednoczesnej próbie wstrzymania oddechu. Leżeli sparaliżowani strachem, gdy tamci przechadzali się pomiędzy nimi, urządzając prawdziwą ucztę głodnych oprawców. Oglądali przytroczone do plecaków karimaty, namioty, buty czy kolorowe kubki i cmokali z zadowoleniem, zacierając ręce, usatysfakcjonowani okazałym łupem. Chłopakom przykładali lufy do krocza, a kiedy tamci kulili się w odruchu przerażenia, wybuchali gromkim śmiechem i spluwali pogardliwie. Mijając dziewczyny, potrafili przykucnąć nad nimi i z obleśnym rechotem dotykać ich włosów i twarzy.

Może minęło dziesięć minut, a może pół godziny, im jednak zdawało się, że ten cholerny koszmar trwa już całą wieczność. Zupełnie inne wrażenie odnosili tamci - ze spokojem zaglądali do kieszeni plecaków, przywłaszczając sobie co lepsze przedmioty - scyzoryk Gruszki, grzebień Ewy, karimatę Roberta. Kaśka straciła ulubiony ręcznie malowany kubek, a Makaron buty. Pewnie w normalnych warunkach

toczyliby pianę ze złości nad poniesionymi stratami, jednakże w chwili obecnej modlili się o rychły i szczęśliwy koniec trwającego upokorzenia.

Wreszcie najniższy i najbardziej agresywny z całej trójki zarządził: - Wstawać! Za mną!

Podnieśli się, poprawili bagaże i ruszyli do przodu. Błękit zdążył rzucić zabójcze spojrzenie Gruszcze, ale ten w odpowiedzi tylko zaciął usta i wzruszył ramionami. Pati, Kaśka i Ewa, wcisnąwszy się między chłopaków, zbiły się w roztrzęsioną gromadkę, nie zwracając uwagi na wulgarne zaczepki pozostałych dwóch Ukraińców, którzy zamykali pochód.

Już po chwili stało się jasne, że są prowadzeni do ich baraku.

- Ja pierdołę - szepnął Błękit w panice - wiedziałem, wiedziałem...

- Zamknij się, kurwa! - Krzysiek szturchnął go mocno. - Trzeba będzie negocjować.

- Negocjować! - Zaśmiał się histerycznie. - Wsadzą nas do jakiegoś stęchłego więzienia, zobaczysz!

- Was może chociaż nie zgwałcą - dorzuciła cienko Pati, a Ewie w przyływie humoru przeszło przez myśl, że Patrycja jest chyba ostatnią osobą, która mogłaby się przed tym wzbraniać. Zaraz jednak zreflektowała się, bo rzeczywiście sytuacja wyglądała dość groźnie, choć z drugiej strony... coś się wreszcie działo. Odwróciła się, aby zerknąć na milczącego jak nigdy Gruszkę, i ze zdziwieniem skonstatowała, że nie wyglądał wcale na mocno przerażonego ich niepewnym położeniem. Co prawda na jego twarzy nie malowała się tryskająca na co dzień beztroska, a wręcz przeciwnie - Gruszka wydawał się niesłuchanie zamyślony i skoncentrowany, lecz mimo to nie zdradzał najmniejszych oznak niepokoju. To najwyraźniej było domeną Błękita.

Zresztą i pozostali nie wyglądali najlepiej: Kaśka pobladła i tak kurczowo ścisnęła Ewę, jakby chciała wyrwać jej ramię, a co ciekawe, wychwalany przez nią Krzysiu wcale się nie kwapił, aby roztoczyć opiekę nad własną dziewczyną. Bezskutecznie natomiast próbował przystopować awanturującego się Roberta, ale niestety powoli sam ulegał destrukcyjnemu wpływowi przyjaciela. I jemu przecież nie uśmiechała się odsiadka w jakimś zapadłym, nieucywilizowanym ukraińskim pierdlu.

Byłe jak sklecone z desek drzwi zostały otworzone zamaszystym kopniakiem idącego na czele pogranicznika. Szerokim pańskim gestem zaprosił ich do środka. Weszli gęsiego do ciasnej mrocznej izby i czekali na dalsze dyrektywy.

- Siadać! - wrzasnął krępy niziołek. Mocą głosu nadrabiał zapewne braki w budowie.

Usiedli półkolem na podłodze, zastanawiając się w napięciu, co jeszcze się zdarzy. Tymczasem strażnicy wyszli przed barak.

Należało naradzić się w kwestii dalszego planu działania. Zagonili ofiary do chaty i co z tego? Początkowo wyglądali na bardzo zadowolonych, zaśmiewali się z własnych tekstów i poklepywali wzajemnie po plecach, jak to się zwykle czyni po wykonaniu dobrej roboty. Kiedy jednak przeszli do konkretów, zarysował się między nimi pewien rozdźwięk: najwyższy, chyba dowódca, wyraźnie nie godził się na propozycje kolegów, którzy pełni pretensji zaczynali coraz agresywniej wyklądać swoje racje: podnosili głos, wymachiwali rękami i jeszcze chwila, a doszłoby do żenującej sceny, gdy nagle jeden z nich krzyknął i wskazał palcem wewnątrz baraku.

Ich uwagę przykuł niepokojący ruch - coś się tam kotłowało, ktoś się kręcił. Mieli wrażenie, że słyszeli dźwięk

pękającego drewna. Weszli do środka, ale było tam tak ciemno, że słyszeli jedynie oddechy turystów. Nie wiedzieli, że Gruszka wyłamał deskę baraku i utorował dziewczynom drogę ucieczki.

- Nikt nie pozwolił wam się ruszać - zauważył sucho dowódca i dodał: - Mamy kilka wyjść: moglibyśmy was puścić, ale nie taka jest nasza tutaj rola. Moglibyśmy odstawić was do pierdła, lecz nikt z nas nie ma w tym interesu. Najprościej nafaszerować was ołowiem i dokarmić zwierzynę.

Błękit wydał z siebie zduszony jęk prośby o litość, lecz kiedy Gruszka uszczypnął go w nogę, zasyczał cicho i umilkł.

- Bardzo głodną zwierzynę - powtórzył strażnik z naciskiem. - A łup rozdzielić między sobą. I kłopot z głowy. Chyba nie sądzicie, że w tej głuszy ktokolwiek mógłby was znaleźć? Nawet wasze troskliwe służby na wieść o zaginięciu ludzi w górach Rumunii czy Ukrainy zwykle nabierają wody w usta, więc... - Tu urwał, licząc, że zechcą się bronić, błagać o darowanie życia, ale nic takiego się nie wydarzyło. Gęby im zatkało, czy co? Jeszcze by brakowało, żeby pomarli mu tutaj ze strachu!

Dowódca odczekał jeszcze chwilę, po czym rozkazał im wziąć wszystkie toboły i wyjść na zewnątrz. Z niechęcią odwrócił wzrok od swoich kumpli, rozpartych pod zbutwiałym filarem, którzy paląc na spółkę jednego skręta, manifestowali pogardę dla jego poczynań. Zaciągali się ostentacyjnie i pokpiwając z sytuacji, puszczały kółeczka z dymu, tworzące lepka, smrodliwą mgłę. Wypalali ostatniego papierosa przechowywanego na czarną godzinę, specjalną okazję, choćby nawet, kurwa, koniec świata. Prawda, mieliby z tych Polaków ucztę i to nie byle jaką, ale dowódca nie lubił pastwić się nad ludźmi. Postraszyć, pogrozić - tak, bo trzeba pokazać drugiemu swoją siłę, żeby za dużo nie myślał. Ale nic więcej. Szczerze brzydził się biciem,

kradzieżą, gwałtem, a dziś wystarczająco przymknął oko na igraszki swoich podopiecznych.

Mimo to odmalowanie na twarzy wstrętu i wrogości nie sprawiło mu dużej trudności, kiedy zwrócił się do Polaków:

- Macie dwie minuty i nie chcę was widzieć! - Stał do nich tyłem i patrzył na horyzont. - Tym razem uchodzi wam to na sucho, ale jeszcze raz was dorwiemy, będziemy strzelać bez ostrzeżenia, rozwalimy was w drobny proch. Prawo jest po naszej stronie.

Zarzucili plecaki i zaczęli się ostrożnie wycofywać.

- Wypierdalać! - wydarł się najniższy, kopnąwszy z furją rozlatującą się ścianę baraku.

Ledwo wyszli za próg izby, bez słowa rzucili się do ucieczki, która zważywszy na ciężar plecaków, była raczej groteskowym podrygiwaniem w gąszczu wysokiej trawy.

Mogło im się wydawać, że trafili na głupców, ale na pewno nie mieli do czynienia ze ślepcami. Reakcja Ukraińców nastąpiła szybciej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Przerażliwy huk strzału przebił harmonijną ciszę i nieudolnie uciekinierzy zatrzymali się w pół kroku, a kierowani wiedzą, wpojona zapewne przez oglądanie od dziecka filmowych sensacji, w akcie poddania podnieśli ręce i cierpliwie czekali na dalszy ciąg akcji.

- Gdzie są te wasze kurewki?! - Dowódca pęczniała w oczach furia, poczerwieniał na gębie i powoli przepoczwarzał się w oślizgłego robaka. - Wy... wy... - jękał się, a usłyszawszy złośliwy rechot swoich kumpli, wyciągnął broń i wycelował w pierwszego z brzegu, Błękitą. - Wypakować się!

Poblady i wymięty silnym stresem Robert stał jak przedtem i w dumnym osłupieniu wpatrywał się w pogranicznika. Tamten przełknął, zrobił krok do przodu i zamaszystym ruchem trzasnął go bronią w głowę.

- Miałeś odwagę wypuścić tyłem kurewki, to teraz wypakowuj manatki, ale już! - Potem spojrział na dwóch pozostałych i zarządził: - Wypakować plecaki! Wszyscy!

Posłusznie, a nawet z niemą, przepelnioną pokorą wdzięcznością wszyscy pochyłili się nad swoimi tobołkami i pospiesznie wyjmowali z nich rzeczy: ubrania, kosmetyki, narzędzia i prowiant. Następnie kazano im odsunąć się w tył i cała trójka strażników prawa pochyliła się nad ich dobytkiem, aby do wielkiego, szytego ze szmat wora, wrzucić co lepsze przedmioty i cały zapas jedzenia.

Słońce tryskało już krwawoczerwonym blaskiem i lekki chłodek zaczynał szczypać skórę, a chłopaków wciąż nie było. Kaśka siedziała skulona pod drzewem i nie odzywała się od dłuższego czasu, całkowicie pogrążona w żałobie po swoim ukochanym. Pati poza napadami histerycznego lęku to chlipała żałośnie, to znów zanosila się niepohamowanym śmiechem i tylko Ewka zachowywała w ich gronie pozory spokoju i opanowania. Miały plecaki, mapę i kompas, dostały bardzo konkretne wytyczne - pięć kilometrów marszu na azymut. Tam miały rozbić namioty i czekać, aż do nich dołączą pozostali.

Jeszcze podczas wędrówki dopisywały im całkiem znośne humory. Ewa na ochotnika liczyła kroki, aby móc oszacować odległość, co było zadaniem zdecydowanie łatwiejszym od odszyfrowywania mapy, natomiast Patrycja i Katarzyna wciąż roztrząsały minione wypadki. Wzdrygały się ze wstrętem na samo wspomnienie brudnych pograniczników, pokpiwały z przerażonego Błękity i co rusz od nowa reżyserowały scenę na granicy.

- Twój Krzysiu też niespecjalnie wykazał się hartem ducha - rzuciła Pati ni to dla prowokacji, ni dla śmiechu.

- Zdziwiona? - zapytała Kaśka i od niechcienia kopnęła kamień.

- No wiesz, nie wyglądał mi nigdy na panikarza... i ciebie tak porzucił... - Pati mówiła wolno, jakby każde wypowiedziane słowo wymagało namysłu.

Kaśka spojrzała na nią z drwiną, a Patrycja odniosła wrażenie, że to nie ona jest adresatką wymownego grymasu.

- Wierz mi, że Krzysiu kryje więcej takich niespodzianek. I dla mnie też niektóre z nich były szokiem.

Skoro Kaśka uderzała w gorzko brzmiące tony, jasne było, że siadała jej psychika. Co jak co, ale należała do osób

tryskających pogodą ducha, a jej Krzysiu był ostatnią osobą, o której ona sama powiedziałaby cokolwiek złego. Dalej nie należało już tego ciągnąć. Nawet Patrycja, mimo że zaintrygowana mrocznym sekretem idealnego Krzysztofa, zapanowała nad zzerającą jej trzewia ciekawością i taktownie zbagatelizowała wyznanie Kaśki.

- Jeśli po latach bycia ze sobą druga osoba potrafi jeszcze zadziwiać, to chyba dobry znak - spuentowała wspaniałomyślnie.

Piętnaście minut później ich uwagę pochłonęło szukanie przyjemnego skrawka zieleni na rozbiecie tymczasowego obozu, w którym mogłyby spokojnie oczekiwać reszty grupy. I wtedy, gdy zabrakło absorbującego zajęcia - chociażby idiotycznego liczenia kroków, a opadły już pierwsze emocje i wyczerpał się temat do rozmów - nagle puściły im nerwy, a zwyciężyło uczucie niesmaku oraz obawa o pozostałych.

- Mówiłam, żeby ich tam nie zostawiać. - Kaśka zaniósła się histerycznym buczeniem, klapnęła na rzucony pod drzewo plecak i umilkła na dobre, kwiląc w rękaw.

- Mówiłem, kurczę, żeby nie puszczać dziewczyn - gorączkował się w tym samym czasie Błękit - że już nie wspomnę o samym idiotyzmie wędrowania wzdłuż granicy!

Gruszka przewrócił oczami. Mówiłem, mówiłem, nie cierpiał takiego zrzędzenia już po fakcie.

- Dałbyś spokój! Jakie to ma teraz znaczenie?

- Powinieneś się cieszyć, stary, że ocaliłeś dupę - odezwał się Krzychu. - Już nie pamiętasz? O Jezusie, o Boże, ja pierdolę, zabiją nas, mamusiu, tatusiu. Szkoda, że nie wezwałeś Najświętszej Pani z Gwadelupy!

- Ciekawe, jaką ty będziesz miał minę, jak ci się żołądek z głodu skręci - odgryzł się Robert - a do najbliższej wiochy mamy kilkanaście godzin drogi. Kasiunia będzie zadowolona, kiedy się dowie...

- Może się wreszcie zamkniecie! ~ Gruszka naprawdę miał powyżej nosa tych kretyńskich przepychanek i, mimo że nadal czuł do Roberta niechęć za wczorajszy wieczór, nie zamierzał wykorzystywać nadarzającej się okazji do płytkiego odwetu. Jego zdaniem byłoby to mało męskie. Niemalże jak kopanie leżącego.

Zmęczenie, głód i świadomość braku zapasów mocno podkopała ich morale. Sprzeczekali się z byle powodu i nawet jeśli każdy z nich miał świadomość jałowości owych sporów, rozdrażnienie nie pozwalało mu odpuścić. Może zwyczajnie mieli potrzebę wyżyć się na innych za doznane na granicy upokorzenia? A może, będąc w ściśle męskim gronie, wreszcie zaczęli mówić własnym językiem, niecenzurowanym przez, nawet jeśli wyemancypowane, to wciąż kobiety. Jedyne kompas oddali, mapę zresztą też, więc przyszło im posłużyć się zegarkiem i każdy z nich miał własną koncepcję, którą lepiej pójść. I nieistotne, że marsz na azymut, dla zorientowanych sprawa banalna, nie mógł być realnym przedmiotem dyskusji. Bo nad czym tu dyskutować? Ważne, aby się przyczepić, wyładować agresję, udowodnić swoją rację. W takim nastroju wszystko dookoła przybiera wrogi wyraz. Wybrzuszona ziemia albo jest zbyt grząska, albo za twarda, wystające korzenie drzew podstępnie podkładają pod stopy giętkie łodygi, a gałęzie złośliwie chwytają za włosy, rękawy koszul lub wczepiają ostre szpony w plecak i bawią się ludzką samotnością. Owady, które wcześniej z uprzejmą obojętnością gościły intruzów, nagle zaczynają oblepiać ludzkie ciało, a dotarłszy do zroszonych potem zakamarków, przywierają do skóry, łaskoczą, kłują i ze smakiem zanurzają kłasydelka w rozszerzonych, nabrzmiątych porach. Cisza nieznośnie dźwięczy i huczy, dudniąc w bębenkach, a cieniutkie wiertła czerwonego zachodu świdrują zmrużone oczy. Nieznośność wszelkiego bytu staje się tak ciężka, że

każdy z nich ma ochotę rozwalić świat w drobny mak - krzykiem obalić wdzierający się wszędzie porządek nachalnej natury gór. I dopiero zapach ogniskowego dymu budzi w nich nadzieję, że na dziś to chyba już koniec.

Ich krok nabrał tempa i wigoru, a twarze rozjaśniły się na widok kolorowych postaci zastygłych w oczekiwaniu. Nabrali pewności siebie, wyprostowali plecy i wymienili porozumiewawcze spojrzenie. Bądź co bądź wracali wprost z wojennej kampanii.

- No i zrozumieli, że z nami nie pójdzie im tak gładko - kończył opowieść Błękit, kiedy siedzieli już wszyscy razem, a pośrodku rozbitych namiotów płonęło niewielkie ognisko zainicjowane przez Patrycję, w celu wysyłania znaków dymnych dla powracających. Kaśka tuliła się do Krzycha, widząc w nim chyba współczesnego Odyseusza, Ewa ukradkiem zerknęła na Gruszkę, który wyciągnął bezładnie swoje dwumetrowe ciało i rozkoszował się nicnierobieniem. Dopiero kiedy go ujrzała, poczuła, że straszliwie pusto było bez niego.

Siedzieli tak zasłuchani w pasjonującą historię, która tylko żeńską część sekcji mogła uwieść dokumentalnym charakterem, natomiast dla świadków naocznych stanowiła kolejny popis gawędziarskiego talentu Roberta.

I tupetu przy okazji.

- Powiedzieliśmy im - Błękit kontynuował wątek - że wszystkie ich poczynania są wbrew prawu, że jesteśmy chronieni przez naszą ambasadę i że mogą nas poćwiartować, i tak nie powiemy, w którą stronę uciekłyście. Wkurzyli się strasznie, chcieli nam wszystko zabrać, ale się zaparliśmy i oddaliśmy tylko żarcie.

- Lepiej żarcie niż ciuchy i inny sprzęt, no nie? - dorzucił Krzychu lekko, a Gruszka poparł go równie entuzjastycznie.

- Co tam żarcie! - wykrzyknął zgodnie, jakby podczas drogi ani razu nie pożarli się właśnie z tego powodu. - Jagody są, grzyby też, nawet można by coś upolować.

- To znaczy, że nie mamy jedzenia? - zapytała Patrycja bliska kolejnego ataku hysterii. - A my na was tak czekałyśmy! - dodała z ciężkim wyrzutem.

Ewa odwróciła się zgorszona kapryśnym wyznaniem, ale Patrycji już zdążyła uderzyć krew do głowy i wybuchła jak

rozwścieczona osa, krzyżąc piskliwym głosem podobnym do dźwięku, jaki wydają nieoliwione od lat drzwi:

- I co my będziemy jeść?! Chyba nie sądzicie, że wezmę do ust robaka czy jakiegoś cholernego gryzonia?!

- Gdybyście pierwsze nie dawały swojego prowiantu, aby odciążyć plecak, teraz nie byłoby problemu - odezwał się męski głos i zaraz poparł go następny:

- A skoro żeś taka zaradna, trzeba było zostać i negocjować z panami, może zamiast jedzenia skorzystałoby z bardziej powabnej oferty.

- Odczepcie się wszyscy ode mnie! - zapiszczała Pati i trysnąwszy potokiem tragicznych łez, wstała i pobiegła do swojego namiotu.

Ktoś zrobił głupią minę, strzelono znacząco oczami. W końcu Patrycję znano nie od dziś. Jej wybuchy, huśtawki nastrojów, niczym nieuzasadnione zagrania wobec innych były stałym elementem każdego wyjazdu. Ewa jednak jeszcze nie zdążyła się o tym dowiedzieć i reakcja Pati mocno nią poruszyła. Wstała, przeprosiła wszystkich, aby podążyć za roztrzęsioną łkającą biedaczką.

Zawinięta w śpiwór od stóp po sam czubek głowy Patrycja przypominała larwę jakiegoś owada, podrygującą wraz z nowym nadchodzącym spazmem szlochu, który przeszywał jej ciało serią skurczów i drgawek. Spod śpiwora wystawał jedynie jasny snop włosów, wypełzający z gorącego wilgotnego mroku na światło dzienne. Aż kusiło, aby chwycić mocno i wytargać ją porządnie, wybijając z głowy fochy, gierki i kobiece matactwa. Ewa sama się sobie dziwiła, że zamiast skorzystać z okazji i albo panienkę zignorować, albo opieprzyć i to równo, lub zwyczajnie odpłacić pięknym za nadobne, ma jeszcze w sobie okrucieństwo. A może się oszukiwała? Może wyrachowanie i chęć odwetu przyjęły litościwą maskę? Usiadła obok i troskliwie pogłaskała ją po

plecach, schowanych pod grubą warstwą wypchanego puchem materiału.

- Nie becz, przecież nic się nie stało - szepnęła, ale w odpowiedzi usłyszała histeryczne łkanie. Pochyliła się nad nią nisko, opadając twarzą w odurzający słodkawo - cierpki zapach włosów, które nasączone ogniskowym dymem, lasem i wiatrem oraz domieszką szamponu wydzielają kuszącą mieszankę woni kobiecych, zespolonych z zapachami żywiołów natury. Niespodziewany bodziec podniecił Ewę tak, że położyła dłoń na jasnej głowie. Nagłe pragnienie, aby zanurzyć palce w miękkich kosmykach, zalało ją falą czułości.

- Zrozum, wszyscy są wykończeni dzisiejszym dniem, dlatego tak łatwo o kłótnię.

- Nie zauważyłaś?! - płaczliwy bełkot wydobył się z wnętrza gorącej jaskini. - Oni się nade mną pastwią! Nie tylko dziś. A Błękit to już w ogóle! Traktuje mnie jak jakąś dziwkę czy coś! Nasza dupcia, laleczka, cukiereczek. Zresztą oni wszyscy są tacy sami. Międlą im się w tych łbach jedynie nogi, cycki, dupy, pizdy. Uhh! - Pati rozżaliła się na dobre. - Poszatkowali nasze ciała tylko na te elementy. Nic innego się nie liczy. Dla nich jesteśmy sumą prostych określeń: małe, duże, okrągłe, obwisłe, spiczaste, gdy mowa o piersiach, jeśli pośladki, to płaskie, wypukłe, jędrne albo nie. Nogi? Smukłe, krzywe, grube, blade, a może opalone. To wszystko! Finito! Kobiety, które w całości przykuwają ich uwagę, to jedynie stare jak świat schematy do dziś powodujące ślinotok na męskich ryjach. Albo lolitka rozchylająca nóżki, odziana w różowe podkolanówki i z wdziękiem zadzierająca kusy sweterek. A może wampiszon o potężnych udach wciśnięty w lateksowe wdzianko, ciasno opinające nadmuchane sztuczne cyce. Chętnie też lesbijki, trójkąciki, a dla fantazji - czekoladowe piękności afro. Orgietka z surową guwernantką? Dlaczego nie? Pielęgniarką, sekretarką, opiekunką do dziecka,

sąsiadką z naprzeciwka, luksusową kurewką, spikerką wiadomości o smutnych oczach, kelnerką, najlepiej w samym fartuszk... Zwariować można! Niech tylko seksownie rozchyli uda, napręży grzbiet, cycuszki do przodu, główka w tył odrzucona, rozchylone wargi. Jedne i drugie. Boże!!! I jeszcze mnie władowali do tego kipiącego gara! Dwuznaczne żarciki, szowinistyczne docinki, Pati to, Pati tamto.

- Przecież to tylko takie głupie męskie dowcipkowanie - próbowała łagodzić Ewa.

- Ależ zobacz, nawet takie słowo jak „dowcip” wywodzi się od cipy! Im tylko o to chodzi!

- Przesadzasz. I to grubo. Sama ich prowokujesz swoim wyzwolonym stylem bycia, opowieściami o łózkowych ekscesach. Zresztą mówią, że i w sekcji masz na koncie kilka przygód. - Ewa postanowiła być szczerą.

- I to wystarczy, aby traktować mnie jak panienkę stojącą pod akademikiem „Hanka” na alei Niepodległości?

- Ależ nie, oczywiście! Przyznaj jednak, że do tej pory bardzo ci pochlebiały męskie uwagi. Nie rozumiem zatem, co cię tak nagle ugryzło?

- Mam już tego dość! - Pati zrzuciła z twarzy płachtę śpiwora i, potrząsając gniewnie głową otoczoną skołtunionymi blond strąkami, rzekła: - Mam tego dość, ale wiem, że ich tylko to może w kobiecie pociągać - seksualność, prowokacja, perwersja. Spójrz na grzeczną Kasiunię. Można się przy niej porzygać z nudów.

- Wiesz co, Patrycja? - Ewkę powoli zaczynały chwytać nerwy. - Jakoś Krzychu jeszcze się nie porzygał. I takich jak on jest wielu, więc, proszę, wypłuj z siebie tę żółć, którą zatruwasz świat, i postaraj się znaleźć w sobie szczyptę dobra.

- Ewa, jaka ty jesteś naiwna! Krzychu trzyma się Kaśki, bo mu z tym wygodnie, ale gdyby tylko nadarzyła się okazja, zaraz by prysnął do jakiejś bardziej ponętnej dupci.

Ewa podniosła się, z trudem rozprostowując odrętwiałą nogę. Rozmowa i tak nie miała już sensu.

- Chyba się dziś nie dogadamy. Może jutro spojrzysz na wszystko inaczej.

- A ja ci udowodnię, kto miał rację. Jeszcze zobaczysz! - krzyknęła za nią Patrycja i jednym szarpnięciem zasunęła zamek śpiwora, tonąc w parnej i dusznej szczelinie puchu.

Wszystko można było powiedzieć o rozmowie toczonej tego wieczoru przy ognisku, z wyjątkiem jednego: była na poziomie. Tak przynajmniej zawyrokowała Ewa, sadowiąc się między Kaśką i Gruszką, który zanim ona sama zdążyła się rozejrzeć, już zrobił jej miejsce. Nikt inny, tylko Robert Janicki prowadził swój urzekający, a po trosze mentorski monolog. Tryskający niespodziewanym humorem i lekceważony przez milczącą resztę, perorował na temat kobiet. Swój ulubiony temat.

- Co sądzicie na temat białych śladów, które zostają po opalaniu się w bikini? Są obleśne, prawda? We Włoszech kobiety opalały się nago i wtedy ich ciała wyglądały rewelacyjnie. Pamiętam pierwszy szok, kiedy wyszedłem na plażę.

- Też pamiętam. Z wycieczki. Te wysuszone cycki - wtrąciła półgębkiem Kaśka. Słuchała jego wywodu jednym uchem, bo pochłaniało ją uzupełnianie notatek podróży. Ułożona wygodnie na szerokiej klacie opartego o masywny pień Krzyśka skrobała w swoim zeszyku daty, godziny, miejsca i wrażenia z trasy. Jak tłumaczyła wszystkim ciekawskim: „dla potomności”. Kanciasta i duża dłoń jej ukochanego gładziła Kasine włosy, a on sam intensywnie wpatrywał się w niebo, uporczywie poszukując konstelacji Smoka, o której opowiadał mu Robert. Od Wielkiego Wozu w górę...

- Polki powinny chodzić na solarium, żeby wyrównać opaleniznę - kontynuował wywód Błękit. - Nie mógłbym mieć takiej laski w białe - brązowe łaty.

- A co? Kojarzyłaby ci się z krową? - Gruszka przysunął się do ogniska i zamuczał przeciągle, lecz Robert zignorował go całkowicie i zwrócił się do reszty audytorium, które, pochłonięte własnymi myślami, mechanicznie mu potakiwało.

- Tak samo zresztą, jeśli chodzi o zarośnięte. Ostatnio śledziłem w sieci szeroką dyskusję na temat depilacji. Wyobrażacie sobie, że jeszcze sześćdziesiąt procent Polek nie uznaje depilacji w intymnym miejscu? I weź zrób takiej minetę.

- Nie mam nic przeciwko - rzucił Krzychu, nie odrywając wzroku od gwiazdy, która mogła należeć do smoczego ogona.

- Żartujesz?! Ale ty jesteś zacofany! Toż to głębokie średniowiecze!

- Zawsze mnie fascynowało - rycerstwo, zakony, alchemia...

- Powiedz jeszcze, że nie przeszkadza ci, kiedy twoja kobieta, zamiast seksownych stringów, zakłada barchany?

- O bieliźnie mojej kobiety z tobą nie będę rozmawiał. - Krzychu był już ubawiony. - Ale szczerze? Nie przeszkadzałoby mi to. W końcu to jej pupa i jej sprawa.

- A wyobraźcie sobie, że ludzie na południowej półkuli nad głowami mają zupełnie inne niebo - zauważył Gruszka. - Zadzierają głowy, a tam ani śladu Wielkiej Niedźwiedzicy, Oriona, Kasjopei.

Noc była ciepła. Spektakl ciał niebieskich toczył się bez antraktu, a wtórowali mu obudzeni właśnie ziemscy mieszkańcy. Kryjące się przed upałem dnia nornicopodobne żyjątko wychyliły swe ryjki spod powierzchni, gdzie wilgotna gleba koła ich odziane futrem ciała, chroniąc przed bezlitosnymi ciosami piekącego słońca. Inne, aż do zmroku ukryte w korzeniach drzew, wyszły już na polowanie i z nozdrzami przyklejonymi do poszycia węszyły w napotkanych dołach i podziemnych tunelach. Strzygąc uszami, nasłuchiwały dźwięków pobudzających krwiożercze zmysły i zaostrzające apetyt. W nieprzeniknionej ciemności błyskały tylko ich oczy wielkości wypolerowanych dwuzłotówek. Co jakiś czas te oczy napotykały wzrok dostojnego osobnika, przechadzającego się niewinnie po korytarzach puszczy. Biały kiel drapieżnika porażał wówczas lśnieniem, ale wzrok jego tracił swą moc pod czystym spojrzeniem przeciwnika, który zniknął tak niespodziewanie, jak się pojawiał, pozostawiając po sobie jedynie subtelny tętent kopyt. Ponad ich głowami uskrzydłone towarzystwo prowadziło już ożywioną dyskusję, kogoś jeszcze nawoływano, pohukiwano donośnie. Wysoko zajęte miejsca na rozłożystych konarach, w dziuplach i gęstych koronach drzew dawały wszystkim lataczom uprzywilejowaną pozycję. Z góry widać było jak na dłoni duże obszary lasu, dzięki czemu skrzydlaty obserwator, doskonale widząc scenę, już kilka sekund przed ofiarą wiedział, jaki los ją czeka. I kiedy jeszcze ona nieświadomie napawała się wonią intensywnie pachnących nocą ziół, ptak słyszał już jej zduszony jęk i widział wiotką szyję, w którą napastnik z lubością zanurza żądne krwi siekacze. A potem ostatnie konwulsyjne drgnięcia i daleki nierzeczywisty szloch, jakby ktoś błagał o zbawienie duszy ofiary lub opłakiwał brutalność praw natury. Nocne życie toczyło się dalej.

Zza zapiętych namiotów dochodziło czyjeś donośne chrapanie, jakieś delikatne pomruki, ktoś nawet bełkotał w sennym majaku. Towarzystwo padło jeszcze przed północą. Wymęczeni przedziwnym dniem o wysokim wskaźniku adrenaliny oraz coraz dokuczliwszym głodem zdecydowali, że sen jest chyba najlepszym i najbezpieczniejszym wyborem z wachlarza możliwych rozwiązań. Obficie skropione wodą rozżarzone węgielki drzewne już nie skwierczały czerwonymi iskrami. Leżały porzucone i wilgotne, a ich rozbuchana ulotna radość przerodziła się w smutne, wilgotne trwanie. Tuż obok leżał nóż myśliwski z fantazyjnie oplecioną rękojeścią oraz garnek, w którym zagotowano napar z okolicznych ziół, a może tylko zwyczajnych chwastów. Ten gorący wonny napój pozwolił oszukać żołądek i przywołał błogie uczucie słodkiego zmęczenia, które nadchodzi czasem, gdy już z ulgą przykładamy głowę do poduszki, ciesząc się na myśl o długim solidnym odpoczynku. Spali więc wszyscy równo, wsunięci w kiszki swoich śpiworów, a ponad ich głowami unosiły się obłoki sennych marzeń, fantazji, podświadomych lęków i ukrytych pragnień.

Robert przemierzał bujne ogrody Italii w poszukiwaniu Mądrości. Jednak co i rusz trafiał na zwisające z gałęzi słodkie, miękkie smakołyki, które kusily zapachem i zatrzymywały go na dłużej, niżby chciał. Kiedy jednak próbował zrywać nabrziałe syropem owoce, one niespodziewanie rozpryskiwały się w mokry pył i lekkim deszczem opadały na ziemię. Ganiał jak oszalały od drzewa do krzewu, ale wszędzie spotykało go to samo. Wreszcie znużony dotarł do domu Sofii. Otworzyła mu drzwi owinięta cieniutkim szalem, spod którego prześwitywały wszystkie krągłości jędrnego ciała. Jej mokre włosy spływały gładko na ramiona, a krople bezwstydnie wędrowały po szyi, dekolcie i nabrziałych sutkach. Już zrobił krok, aby porwać ukochaną

w ramiona, lecz jakiś zimny dotyk zamroził impulsywny gest. W odpowiedzi ujrzał stalowe oko lufy wycelowanej wprost w jego czoło. Oczy Mądrości dzierzążcej broń zrobiły się również puste i nieludzkie.

Tuż nad nimi przeleciał iskrzący Smok. Na jego płonącym ogonie siedziała Ewa. Wyśniony przez Ewę potwór zabrał ją w kosmiczną podróż po dwunastu zodiakach nieba. Płomienna smocza sierść wydzielala bursztynowe drobinki układające się w świetlistą lunę, którą ciągnęli za sobą, oznajmiając wszystkim gwiazdom i planetom swoją obecność. Aby się nacieszyć tą niesamowitą podróżą, Ewa wyciągała ręce wysoko, próbując zerwać choć jeden mały prążek światła. Na pamiątkę. Chłodny, ale przyjemny wiatr smagał jej twarz i odgarniał włosy, a ona nurzała się w pomarańczowej grzywie potwora, delikatnie muskającej skórę jej policzków. Dopiero kiedy przycupnęli na ostrej krawędzi księżyca, by zaczerpnąć nowej energii elektryzującej ich lot, Ewa odważyła się spojrzeć Smokowi w oczy. Były to szare poważne oczy Roberta Janickiego.

W tym samym czasie Gruszka nadstawiał twarz, aby obmyły go czyste, chłodne strumienie wody. Nie śniły mu się ani gwiazdozbiory, ani urywki wspomnień. Wielogodzinne pragnienie obfitej kąpieli zaowocowało fantazją pławienia się w mroźnych pianach górskiego wodospadu. Kryształowe szpilki, uderzające o powierzchnię skał, dźwięczały wysokim metalicznym odgłosem, a on z rozkoszą wkraczał w skłębioną pierzynę rzeki. Jednak szkliste krople zamiast rozpryskiwać się na rozgrzanym karku, plecach i ramionach, przenikały naskórek i dotarłszy do wnętrza, chłodziły rozpaloną głowę oraz serce. Przejrzysta woda już samą kojącą barwą pozwalała odpocząć oczom, wymywając piach i kurz spod obolałych powiek. Niewidzialne palce spadających nań sopli rzeźbiły nierówności ciała, szlifowały kanciastość podbródka, barków i

bioder, aż jego sylwetka przybrała na tyle opływowe kształty, że mógłby na zawsze zamieszkać w podwodnej krainie. Niemalże czuł, jak jego łopatki przeobrażają się w ukrwione skrzela. Zamknął oczy, aby na próbę zniknąć w spiętrzonych odmętach, i wtedy ujrzał ją, niczym migawkę wrzuconą podprogowo do świadomości. Nagle taśma urwała się. Z niechęcią podniósł powieki, obrazek rozprysł się w drobny mak, a Gruszkę ocuciło miarowe dudnienie deszczu o tropik namiotu. Świtało. Kaśka ze zwiniętymi piąstkami spała jak niemowlę, wciśnięta w korpus Krzysztofa, a nad nimi unosił się jeszcze worek pełen snów. Wyciągnięty na brzuchu Błękit spał cicho, jakby trwożnie, aż dziw, że w ogóle oddychał, natomiast Ewa bezwiednie chyba tuliła się do Gruszki, a na jej twarzy, nakropionej mgiełką lśniącego potu, zastygł rozmarzony uśmiech. Gruszcze zrobiło się jakoś lżej na duszy, objął ją i, zasłuchany w rytmiczną muzykę ulewy, ponownie zapadł w głęboki sen.

V
DZIEŃ CZWARTY

Deszcz bez ustanku ciekł z siniego nieba, bębniąc w namioty i omywając je z każdej strony. Mimo późnych godzin porannych świat dookoła spowijały bure cienie, a ściana regularnie spadającej wody wyciszała wszelkie odgłosy lasu, otoczywszy wędrowców dźwiękoszczelną kotarą. Gdyby nie wielkie krople wpływające co jakiś czas komuś do śpiwora lub strużka deszczówki dociekliwie penetrująca wnętrza namiotów, spaliby wszyscy może i do południa, nieświadomi, że ich bagaże coraz mocniej nasiąkają wodą.

Pierwszy obudził się Robert. Coś mokrego i lodowatego wdarło mu się za kołnierz, dając efekt piorunującego orzeźwienia. Z pewnym niepokojem skonstatował, że ich namiocik stał się wyspą pośrodku całkiem sporego jeziora, po którym dryfowały kubki, menażki, czarna skarpetka w towarzystwie... zaraz, zaraz, fikuśnych koronkowych stringów? No nieźle, cmoknął i zamiast wszcząć akcję ratunkową, pograżył się w typowaniu pośladek właścicielki. Ewa? Kaśka? Ewa? Może jednak Ewa? Czyżby Ewa?

Z baraniego zamyślenia wyrwało go dopiero przepelnione zgrozą czyjeś: „O Boże!”. To Kaśka otworzyła oczy i, zatrwożona widokiem zalanego przedsionka, a może własnych pływających majtek, rzuciła się do wyjścia, zmiatając wszystko po drodze, seksowne figi ku rozczarowaniu Roberta również. Zaraz też pobudzili się inni i rozpoczęto poważną akcję przeciwpowodziową. Gruszka chwycił za saperkę i energicznie zabrał się do okopywania namiotu. Ewa, wyposażona jedynie w łyżkę, gorliwie podążyła mu na pomoc, choć Krzychu z przekąsem stwierdził, że kobieta, łyżką drążąca fosę wokół namiotu, może jedynie przeszkadzać. Nie stało się inaczej. Za chwilę dołączyła do nich Kaśka, dzierżąca równie imponujący sprzęt i z podobnym zaangażowaniem zaczęła kopać. Rozmiękła ziemia kleiła się do dłoni, stóp i

ubrania, ale równie łatwo pozwalała ingerować w swoją strukturę. Jednemu zamaszystemu ruchowi saperki odpowiadało dwudziestokrotne dłubanie łyżkami, ale zacięcie wykonawczyń rekompensowało wszelką znikomość rezultatów. Przykucnięte, chowające twarze przed wielkimi jak groch kroplami deszczu, odgarniając co chwila mokre strąki włosów klejące się do czoła, zapamiętałe regulowały bieg nasilających się strumieni wokół namiotu. Robert z Makaronem, niechętni wychylaniu nosa z bezpiecznej kryjówki, zajęli się wyżymaniem wilgotnej odzieży i wciąganiem plecaków z przedziona do względnie suchego wnętrza. Nie omieszkali przy tym huknąć co jakiś czas na kąpiących, żeby się pospieszyli, bo ulewa nie czeka. Błękit nie powstrzymał się również od udzielenia im kilku rad, posługując się przy tym jedynie palcem wskazującym.

W drugim namiocie również podjęto akcję ratunkową. Doceniono wreszcie sens dźwigania saperki oraz zwyczaj owijania zawartości plecaka w czarne worki na śmieci, mimowolnie kojarzące się z dobrym opakowaniem jedynie na zwłoki.

Pół godziny później uporano się z żywiołem i kiedy pogłębiane kilkakrotnie doły odprowadzające wodę wreszcie funkcjonowały, niespodziewanie przestało padać i zza chmur nieśmiało wychyliło się słońce.

- No, chłopcy - zarządziła Pati, a wypięte mocno piersi wskazywały na znaczną poprawę nastroju - oddaliście nasze jedzenie, to czas zadziałać. Jakież polowanie?

- Popieram - rzekła Ewa, lekko oparta o Gruszkę, który też, jakby mimochodem, obejmował ją delikatnie w pasie. - Czas na powrót do źródeł. Kobiety zostaną podtrzymywać plemienne ognisko, a mężczyźni wyruszą w poszukiwaniu jedzenia.

- Myślę, że zrobimy inaczej - Robert uciął szybko nabierający tempa zamaskowany feministyczny spisek. - Podzielimy się na zespoły i rozejdziemy w cztery strony świata w poszukiwaniu leśnego runa - jagód, grzybów, bo jakoś nie mogę sobie wyobrazić was, moje niewiasty - złośliwy uśmiech rozjaśnił mu twarz i utworzył delikatną siateczkę zmarszczek wokół oczu - oporządzających zajęcia czy szczura.

Widok Pati wzdrygającej się na samą myśl o skubaniu jakiegoś zwierzęcego trupka przyniósł mu oczekiwaną satysfakcję i na dalsze roztrząsanie tego wątku wszystkim przeszła ochota. Zważywszy zwłaszcza, że głód robił swoje, a uporczywie powracające fantazje kulinarne coraz częściej uwydatniały bolesną rzeczywistość.

Gruszka, kierowany męskim instynktem, a może po prostu odruchem samozachowawczym, zagarnął Ewę oraz Krzyśka z Kaśką i, ustanawiając w ten sposób patrol o zamkniętym składzie, zaproponował wycieczkę w dolinę. Pomimo zarzucanej mu często niedojrzałości i męczącego dla otoczenia zwyczaju bujania w obłokach zdążył już się połapać w regułach gry i postanowił podjąć walkę o Ewę. Po Ameli była pierwszą dziewczyną w jego życiu, która odwiedziła go we śnie. To musiało coś znaczyć. Poza tym ona w ogóle nie pasowała do Błękita - snoba, cynika i typowego bazarza wiecznie rozprawiającego o klubach, trendach i zaliczonych dupach. Ona była inna.

To, że była inna, nie uszło również uwagi Roberta. Zdecydowanie mniej ładna od dziewczyn spotykanych w klubie czy choćby na ulicy. Z charakterkiem też nie lepiej. Dlaczego aż z taką furją zaatakowała go za tamten incydent? Byli wtedy pijani. OK, może tamta mała bardziej, ale przecież cały wieczór skamlała o szczyptę uwagi. Poszedł na całość. Rozpacz, głód i chęć zapomnienia zaślepiły go całkowicie.

Zresztą, który facet, szczególnie po kilku drinkach, oprze się apetycznej i chętniej panience? Dopiero w trakcie okazało się, że jest zupełnie pijana i ledwo przytomna. Ale wtedy już było za późno - opanowała go żądza. Oparł ją o blat w szatni i zrobił swoje. Już w momencie, kiedy pomagał jej włożyć majtki i zapinać guziki od sukienki, czuł do siebie odrazę. Kilka dni później okazało się, że parę osób widziało tę żenującą scenę. Było mu głupio. Ale, powiedzmy szczerze, kto ma nieskazitelnie czyste konto? Każdemu może się przytrafić. Tylko dlaczego to rude stworzenie zjawia się w jego życiu i mu o tym przypomina? Żeby chociaż zawsze zachowywała się jak typowa żołą! Ale nie. Słodka, złośliwa, przymilna, obrażona - na zmianę. A w sumie trochę nijaka. Więc dlaczego, do cholery, łapał się na tym, że ciągle dąży, aby być blisko? Albo zerka co chwila na jej małe piersi sterczące pod cienkim T - shirtem? Przecież on lubi pełne, obfite i ciężkie biusty! Żadnych rodzyneków na ledwo wyczuwalnej wypukłości. Żadnych desek Teresek, z którymi nie da rady na Hiszpana. A tu proszę bardzo. Osamotnienie, góry, wysiłek fizyczny i fantazja płata mu takie figle!

Gorzka autorefleksja urwała się dopiero, kiedy wraz z Pati dotarli do jagodowego poletka upstrzonego ciemnogrnatowymi borówkami wielkości małych truskawek. Na samą myśl o soczystej uczcie ślinianki obojga zwiększyły produkcję i nadszedł czas, aby uwolnić umysł od wszelkiego ciężaru i całkowicie zatracić się w jagodowym szaleństwie.

Jeden za drugim owoce znikają w ich ustach, przybierających coraz ciemniejszy odcień granatu, barwiąc przy tym wargi, palce i ubranie. Ziarnisty czerwony miąższ przyjemnie rozgniatą się na podniebieniu, a słodczy z delikatną domieszką cierpkości syciła żołądek na tyle, aby odprężające ciepło rozeszło się promieniście po całym ciele. Dopiero kiedy zaspokoili pierwszy głód, zaczęli część zbioru

wrzucać do menażki zgodnie z umową, że łupy przynoszą do obozowiska i wówczas wspólnymi siłami sporządzą jakiś pożywny posiłek. Robert przyjął taktykę „co drugi do buzi” i sukcesywnie, jagódka do jagódki, zapełniał swój litrowy stalowy kubek; Pati natomiast zagarnęła menażkę i poszła kawałek dalej, twierdząc, że na słońcu na pewno rośnie więcej owoców. Błękit już miał na końcu języka chłodne spostrzeżenie, że ziemia i słońce są w ciągłym ruchu, toteż cień jest zmienną, ale dał sobie spokój. Na żołądku było mu tak błogo, że rozsiadł się wygodnie pośród oblepionych krzaczków i z zamkniętymi oczami penetrował leśne poszycie. Bez trudu wyczuwał palcami aksamitny owoc i to wrzucał go do pojemnika, to z lubością pakował sobie na język. Trwaj, chwilo! To jedyne, co mógł w tym momencie pomyśleć.

Toteż kiedy za plecami usłyszał szelest kroków, niechętnie uniósł ociężałe powieki i zajrzał do swojego kubka. Nie było nawet połowy. Fakt, trochę się ociągał, a skoro Patrycja wraca, to z pełną menażką i pewnie zaraz będzie marudzić. Zagęścił trochę ruchy, żeby szybko nadrobić zaległości. Pati już stała za jego plecami. Był przekonany, że drwiący uśmiezek ozdobił pyszczek małej żmijki, lecz nie zwracając uwagi na jej nachalną obecność, markował zapamiętałe zbieranie, aby jak najdalej odwlec oczekiwaną lawinę upomnień.

Ona jednak milczała. Chłodne dłonie spoczęły na jego ramionach. Zaskoczony odwrócił się. Była zupełnie naga, tak jak ją pan Bóg stworzył. Stała przed nim wyprężona, w kuszącej pozie modelki wyciętej z plakatu. Pośliniła palce, dotknęła najpierw ud, a potem brzucha i krągłutkich piersi. Zatkaną go, choć już dawno nie był prawiczkim.

- No coś ty? - wydukał wreszcie, a jego spojrzenie zawisło na idealnie wygolonym wzgórku łonowym. Kiedy ona to zrobiła? - przemknęło mu przez myśl.

Na więcej nie było czasu, bo Pati usiadła na nim okrakiem i podała mu do ust ciemne sutki. Ssał niczym osesek, czując, że rozkosz napływa mu do pęczniejącego z minuty na minutę penisa.

- To się wszyscy zdziwią! - cieszył się Gruszka i zajrzał Ewie w twarz. Podobało mu się, kiedy umykała pod takim spojrzeniem, a jej usta rozchylały się w uśmiechu przyjemnego zmieszania. Szli kilkadziesiąt metrów za Kaśką i Krzychem, którzy znów prowadzili ożywioną dyskusję. Dziwne, bo nie trzymali się jak zwykle za ręce, zajęci gwałtowną gestykulacją. Co i rusz Krzychu łapał Kaśkę za ramię i potrząsał nią, jakby nie miał już innego argumentu i za wszelką cenę pragnął otworzyć jej oczy. Na co? Nie wiedzieli, bo docierały do nich tylko strzępki rozmowy. Zresztą w stałych związkach takie sceny są nieodłącznym elementem współżycia, więc nie było powodu do niepokoju. Ich cieszyło przede wszystkim to, że mają prowiant i to nie byle jaki! Szli objęci, nieskrępowani, i nie mogli wyjść z podziwu dla własnego fartu.

Zbita z żerdzi chatka góralska, w zagrodzie wokół kilka kóz i spore stadko owiec, strzeżonych przez cztery dorosłe psy. Podwórko zadbane, obok źródelko z drewnianą kładką i dwójka dzieci chlapiących się wodą. Z góry przypominało to domek z piernika niegroźnej Baby - Jagi. Na tle rozległych łąk i lasów niewielka osada wyglądała bajkowo i nierealnie. Biały welon dymu unosił się ponad dachem, tonąc wysoko w kłębach obłoków. Cieniutkie prążki słonecznego ciepła poślącały ubogie obejście, tak że wydawało się być przytulną oazą dla zabłąkanych wędrowców. Przytroczone owcom dzwonki dyndały śpiewnie, a poszczekiwanie czteronogich strażników uzupełniały ową kakofonię dźwięków i kolorów. Kiedy zeszli w dolinę, nie mogli oprzeć się ciekawości, szczególnie że i mali tubylcy nie ukrywali zainteresowania przybyszami i podbiegli, aby dokładniej zlustrować intruzów. Kaśka wyciągnęła z kieszeni landrynki i wcisnęła im po jednej w brudne łapki, czym zaskarbiła sobie ich dożywotnią

sympatię. W górach nigdy nie rozstawała się z tanimi i starymi jak świat cukierkami. Były nagrodą za każde podejście, każdy trudny odcinek - dawały słodycz, a przy tym nie wywoływały pragnienia. Wczoraj tylko dzięki nim przetrwali wieczór. Dzieciaki wpakowały sobie w usta lepkie smakołyki i z radosnym krzykiem popędziły do chaty, prawdopodobnie wołając kogoś ze starszyny. W drzwiach stanęła kobieta i zaczęła besztać maluchy, tłukąc je po głowie zdecydowanie bardziej efektowniej niż efektywniej. One zresztą zupełnie nie zważały ani na pokazowe ciosy, ani na zrzędlawy ton starej. Wskakiwały jej na plecy, wskazując gorączkowo grupkę hojnych cudzoziemców zmierzających w ich stronę.

Kobieta nie mogła być bardzo wiekowa. Świadczyły o tym oczy - zupełnie młode i kontrastujące ze zmęczoną i pooraną słońcem twarzą oraz przykurczoną sylwetką, odzianą w wielowarstwowe workowate szmaty. Spostrzegłszy nadchodzących obcokrajowców, spieszenie wróciła do izby i już w progu przewiązała głowę chustką, jakby bez okrycia wyglądała niestosownie do nadciągającej chwili.

- Dzień dobry! - zakrzyknęli, aby od razu zaznaczyć dobre intencje i dać do zrozumienia, skąd pochodzą.

- Dobry dzień - odpowiedziała kobieta i przyjrzała im się z ciekawością. - Schodzicie z gór?

- Tak, biwakowaliśmy tu niedaleko - zaczął Krzychu niewprawnym ukraińskim i wskazał jej, zatopiony w ciężkich, skłębionych chmurach szczyt, z którego schodzili od dwóch dni.

Kobieta pokiwała ze zrozumieniem i zapytała, skąd pochodzą. O Polsce gdzieś słyszała, ale nie wiedząc, co znajduje się za najbliższym górskim pasmem, nie mogła mieć pojęcia, gdzie jest cały ten ich bogaty kraj. Z wnętrza chaty wydobywał się jakiś przyjemny słodki zapach. Bystra Ukrainka w mig połapała, co turystów sprowadziło do jej

skromnej i biednej gospody. Jako że była osobą życzliwą i przyjazną każdej żywej istocie, zaprosiła niecodziennych gości na gorący ziołowy napar, częstując ich kozim serem własnej roboty. Smaku lokalnego specjału nie można było porównać z niczym. Ani ze smakiem popularnego „Sekretu mnicha”, ani tym bardziej trójkącika brie czy Ewy ulubionego - słonawego rokpola. Górski smakołyk przyjemnie chrząścił pod językiem i rozpływał się w ustach, pozostawiając delikatnie piekącą goryczkę. Głupio było im wcinać ze świadomością, że Błękit z Patrycją w pocie czoła zbierają runo leśne, dlatego Gruszka zapytał, czy kobieta nie odsprzedałaby im trochę swojego wyrobu.

- Ależ, dziecko! Na co mi w głuszy twoje pieniądze! - Zaśmiała się dobrotliwie i pogłaskała Gruszkę po włosach, uznając jego propozycję za głupiutki żart.

Gruszka jednak niezbity z pantałyku zaczął grzebać w plecaku. Oczy wszystkich rozszerzyły się do rozmiarów spodków, a dolne szczęki równo opadły z łoskotem. Z czeluści worka wyłoniła się paczka mielonej kawy i opakowanie marlboro. Kobięcie aż zapłonęły oczy i już nic innego nie zdołało przykuć jej uwagi.

- Co pani powie na taką wymianę? - zapytał Gruszka niewinnie, udając, że nie dostrzega błysku w jej oczach ani pytającego spojrzenia Krzycha, jak, u licha, zdołał to ukryć przed pogranicznikami. - Naszych przyjaciół, którzy pozostali na górze, bardzo ucieszyłaby możliwość skosztowania tutejszego rarytasu.

Jego ukraiński był płynny, jakby od dziecka nim władał, co jeszcze mocniej wcisnęło resztę towarzystwa w prowizoryczne siedzenia.

Tym sposobem nabyli kilka kilogramów sera, co było nie lada gratką w porównaniu z przewidywanym łupem pozostałych. Bo cóż mogli przynieść z lasu Błękit i Pati?

Grzyby, jagody, maliny? Ich zdobycz to niekwestionowany hit. Zniknie równie łatwo, jak się pojawi.

W nastrojach faworytów i z minami bezdyskusyjnych zwycięzców wkroczyli do obozowiska; wspólnymi siłami z doszczętnie przemoczonego drewna rozpalili ogień. Brakowało tylko Pati i Błękita. Cień lekkiego zawodu przeszył Ewę jednym celnym ukłuciem, ale ciepłe objęcie Gruszki sprawiło, że nawet nie uświadomiła sobie, dlaczego jej nastrój odrobinę oklapł. Po chwili w garze zabulgotała zupa grzybowa, a kuszący zapach rozszedł się wokół, niebiańsko drażniąc ich podniebienia i wyostrzoną na bodźce smakowe wyobraźnię. Na deser zaplanowano kisiel z dodatkiem świeżych jagód i malin. Jedynie łup Roberta i Patrycji pozostawał niewiadomą.

Stali więc dookoła dymiącego kotła i ponownie szczylicili się sukcesem odniesionym w wyprawie po żywność. Zachwycano się wyjątkowym urodzajem grzybów oraz gigantyczną wielkością leśnych owoców. Gruszka wyjął z plecaka pachnący kozi ser. Postanowiono, że będzie to gwóźdź programu, zaserwowany między zupą a deserem. Pobudzone wyobraźnię żołądki wzmogły swoją pracę, a uwaga oczekujących na posiłek całkowicie skoncentrowała się na doglądaniu, mieszaniu i smakowaniu zupy grzybowej.

Nie ma większego masochizmu od czuwania nad garnkiem w stanie skrajnego wygłodzenia. Parujący aromat jedzenia powoduje niepohamowany ślinotok i zwielokrotnia skurcze żołądka. Tęskne spojrzenia rzucane raz po raz na gotującą się potrawę zatrzymują czas w miejscu i głupie kilka minut urasta do wieczności, naznaczonej prawdziwą katuszą. Własna fantazja wbija już tylko gwóźdź do trumny, podsuwając kuszące wizje i obrazy.

- Wiecie, na co mam ochotę? - zapytał Makaron. Przymknął oczy, oblizał się teatralnie i zawiesił głos, aby dać sobie czas na poszukanie czegoś naprawdę wyjątkowego.

- Nic mi nie mów, nic nie mów! - Gruszka zatkał uszy, jakby jeszcze niewypowiedziane słowa mogły go śmiertelnie ugodzić.

- Wiem, już wiem! - zawołał z triumfem. - Zjadłbym kebab z sosem czosnkowym, popiłbym colą, a na deser... hmm, co na deser?

- Na deser tort śmietankowy z truskawkami! - dołączyła się Kaśka. - Ale najpierw największa pizza na grubym cieście z podwójnym serem i do tego cała micha sałatek.

- A ja tęsknię za polskim niedzielnym obiadem. Schabowy, tłuczone ziemniaczki i surówka z białej kapusty, mniam, mniam - to było kolejne menu.

- Na pierwsze obowiązkowo rosółek z kury z makaronem.

- Obowiązkowo - zgodzili się chórem i na chwilę pograżyli się w ciszy, bo chyba każdy zasiadł już przy suto zastawionym stole i szykował się do wcinania świątecznego rosółku. Rajem i piekłem, udręką i ekstazą była więc myśl, że przez najbliższy czas ich posiłek sprowadzi się do grzybowej brei, szczypty sera i owoców umaczanych w skrobiowym klei - ku. A mimo wszystko, w ich sytuacji była to myśl słodka i niezwykle podnosząca morale całego oddziału.

Wysoki poziom obniżył dopiero spektakularny powrót Błękita i Pati. Wrócili bowiem roześmiani, promieniejący szampańskim nastrojem, z bezwstydnie pustymi naczyniami.

- Nie mogliśmy się oprzeć.

Do tego sprowadziło się ich tłumaczenie i tylko Ewie to zdanie wydało się wówczas bardzo wieloznaczne.

Przekonująco oszukane żołądki wreszcie pozwoliły skoncentrować się na czymś innym. Postanowili wyruszyć na trasę, aby możliwie prędko dotrzeć do najbliższej mikrocywilizacji, gdzie zdołaliby nabyć jakiś wysokoenergetyczny prowiant.

Posiłek o mizernej wartości kalorycznej skutecznie zabił w młodych organizmach ambicję i chęć rywalizacji. Nikt nie przyspieszał, nikt nie wysuwał się na czoło, nikomu nawet do głowy nie przyszło, aby zostawić resztę w tyle i samemu wytyczać ścieżkę. Dreptali ospale, prawie flegmatycznie, zbici w ciasną grupkę, racząc się mało wyszukanymi dialogami (to też pewnie rezultat lichego śniadania). Mięsożercy ubolewali nad wegetariańsko - breathariańską męczarnią, a Kaśka, od niedawna gorąca wyznawczyni New Age, kontratakowała proekologicznymi argumentami. Pati z kolei próbowała wciągnąć Ewę w dyskusję o najlepszych w Poznaniu butikach z seksowną bielizną, doprowadzając tym Gruszkę do szału, który swoją Ewunię chciał mieć tylko dla siebie. Natomiast Krzychu z Robertem dali się pochłonać typowej w górach męskiej rozmowie o fizjologii. Dzielili się więc doświadczeniami, kto może, a kto nie, ile razy dziennie i dlaczego jeden ma biegunkę, a drugi zaparcie. Jeśli ktokolwiek stwierdzi, że temat ów wcale nie należy do ulubionych dżentelmeńskich pogawędek, znaczy, że albo nigdy nie chodził po górach, albo nie był tam wystarczająco długo. I nie zna jeszcze własnego upodobania do gównianych dywagacji.

Pewnie więc, ku rozczarowaniu większości, należy powiedzieć, że ów kwiat polskiej młodzieży, nadzieja naszego narodu, całkowicie ignorując ojczystą tradycję, nawet przez chwilę nie otarł się o tematy ważne i zaangażowane. Żadnej polityki, bolączek społecznych, rozważań natury

egzystencjalnej. Głupie żarty, infantylne docinki, plotki i ekscytacje niskiego lotu. Nawet ekologiczna świadomość Kaśki nie przedstawiała szczególnej wartości, gdyż ta całkiem urocza istota co miesiąc fascynowała się czym innym, z zazdrością obserwując studentów kulturoznawstwa, filologii, którzy na co dzień bładzili w naukach mistycznych, tajemnych i jakże inspirujących. Niestety! Ani krzty odpowiedzialności za wspólne cele i dążenia! Zupełny brak poczucia społecznej misji! Bezrefleksyjność, pasywność i bierność w budowie nowego świata i drodze ku lepszemu! A w zamian? Hedonistyczne podejście do życia, konsumeryzm (bo jak inaczej nazwać wiecznie powracające zdanie: „kiedy już wreszcie dojdziemy do sklepu, to sobie kupię...”) i całkowita degradacja wartości duchowych.

A jakie rozmowy, taka literatura! Zapamiętani w żartach i wygłupach nie zauważyli momentu, w którym względnie jeszcze czyste niebo znów zasepiło się burzowymi chmurami. Ciężkie granatowe pokrywy piętrzyły się tuż ponad nimi i potęgowały złowieszczy wiatr, rozdmuchujący ostatnie zagubione promyki światła. W ciągu kilku sekund pociemniało, a nieprzyjemny chłód nasączył powietrze. Rwęce ciosy zawieruchy okładały im twarze, zrywając z głów czapki oraz chustki i wydymając koszulki oraz spodnie. Ciemny ołowiany granat, ogarnawszy całe sklepienie, kłębił się dynamicznie i miarowo. W przesyconej wilgocią atmosferze ciążyły nawet gwałtownie intensywniejsze zapachy.

Zaczęło padać. Najpierw lekkie, jeszcze subtelne drobinki deszczu ukłuły niemały Gruszkowy nos, lecz zanim zdążył wyrazić odkrywczą myśl, że trzeba by się gdzieś schować przed nadciągającym kataklizmem, z nieba runął obfity strumień lodowatej wody.

Uczucie, kiedy zniecka spada na twarz i ramiona zimny prysznic deszczu, nie należy do przyjemnych. Ostrza podłużnych kropel drążą jedna po drugiej nagrzaną skórę, która pod wpływem chłodu momentalnie ciasno opina ciało, wstrząśnięte nagłym dreszczem, kurczące się, aby utrzymać resztkę ciepła zwijającą się w kłębuszek wewnątrz organizmu. Dopiero gdy woda dotrze do wszystkich odkrytych zakamarków i skropi każdy suchy fragment ciała, coś w środku pęka i bardzo powoli zaczyna tam rosnać przyjemne ciepło, które pod wpływem wilgoci nabrzmiwa i rozkwita od wewnątrz. Zamknięte w łuk ramiona znów się rozchylają, kręgosłup nabiera sprężystości, a twarz i wnętrze dłoni wychodzą deszczowi naprzeciw, pragnąc więcej i więcej ożywczego soku.

Wcale nie chciało im się chować gdziekolwiek, gdyż uczucie całkowitego przemoczenia było tak przyjemne i oczyszczające, że właśnie marsz wydawał im się czymś najrozkoszniejszym na świecie. Zwyciężyła jednak zdroworozsądkowa teoria - prędzej czy później wychłodzą się i nie będzie już im do śmiechu, a kiedy nasiąkną również cała zawartość ich plecaków, stracą zdrowie i humor całkowicie.

Ukryli się wreszcie w małej skalnej wnęce, zamaskowanej od zewnątrz gęstymi pnączami, które spuszczały długie giętkie łodygi, tworząc rodzaj idealnej zasłony chroniącej przed wiatrem, słońcem i deszczem. Stłoczeni na dwóch rozłożonych karimatach, nie mając nic lepszego do roboty, śpiewali. Akompaniował Robert, ponieważ Gruszka nie chciał tracić ani chwili, którą mógł przeznaczyć Ewuni. Kategoriecznie odmówił grania i przygarnął ją do siebie, a teraz gładził po włosach i policzku z iście motylą delikatnością i niesamowitym namaszczeniem, jakby dotykał kruchej cudu natury. Błękit patrzył na tę scenę z kpiarskim półśmiechem, ale do jednego nie przyznawał się

nawet przed samym sobą. Pod czułymi dłońmi Gruszki Ruda wprost jaśniała. Nabierała delikatności i uwodziła Roberta nieuchwytnym kuszącym pięknem, którego nijak nie potrafił zdefiniować.

Krzychu, wciśnięty między Kaśkę i Pati, przygrywał na harmonijce; zapalił świece i teraz ich kryjówka stała się przytulnym schronieniem. Deszcz wciąż dudnił za ścianą pnączy, płomień świec grzał powietrze tak, że parowały im ubrania, i zanosilo się, że spędzą tu resztę popołudnia.

Na początku nawet nie zwrócił uwagi, kiedy Pati położyła mu rękę na udzie. Takie poufałości były normalne w ich gronie. Poza tym obok siedziała jego Kasia, która teraz zamknęła oczy i, oparłszy mu głowę na ramieniu, zapadła w cichą drzemkę. Wiedział, że jest na tyle mroczno, że nikt nie zauważy, a jednak poczuł niepokój, kiedy jej smukła dłoń powędrowała wolno i spokojnie w stronę jego krocza. Nie było to nieprzyjemne. Wręcz przeciwnie. Rozkoszne ciepło napłynęło gorącą falą i poczuł, jak pęcznieje. Myśl, że są tutaj wszyscy, a nieświadoma niczego ukochana śpi obok, ku jego zaskoczeniu przerodziła się w podniecającą fantazję. Pati tymczasem bardzo delikatnie przykryła go leżącym obok swetrem i ostrożnie, z niebywałą wprawą rozpięła mu rozporek.

Spuścił się do środka spodni i chwilę później poczuł się obrzydliwie. Odsunął śpiącą Kasię, odtrącił głaszczącą go dłoń Patrycji i wyszedł, aby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Za chwilę wychyliły się również głowy innych i z pewnym rozczarowaniem stwierdzono, że przestało padać i nie ma co dłużej zwlekać z wędrówką. Na przesączonej wodą ziemi zrobiły się kałuże, przez które przepływały całe potoki wody, niosącej wszystko, co napotkała po drodze.

Zanim ktokolwiek się zorientował, Gruszka już zrzucił z siebie spodnie i z radością przedszkolaka zaczął skakać po

błotnistych bajorkach, rozpryskiwać je na boki z wyraźną zachętą dla niezdecydowanych. Ewę na ten widok przeszły zimno, zaspana Kasia schowała się z powrotem, a z zaproszenia skorzystał jedynie Robert, który szybkimi ruchami pozbywszy się dolnej części garderoby, z wrzaskiem doskoczył do przyjaciela. Błotnista kąpiel na tyle wyzwoliła ich niespożyte pokłady energii, że z łagodnych podskoków, płynnie przeszli w ochlapywanie się, tarzanie i turlanie w zawieszistej mazi. Widok ten stawał się kuszący również dla Krzysia, a może chodziło o zwykłą samczą ambicję, bo wkrótce wszyscy już taplali się w błocie jak dzieci, wznosząc przy tym prawdziwie dostojne bojowe okrzyki. Ewa wróciła do wnęki, gdzie było cieplej, i usiadła razem z Pati i Kaśką. Śmiechy i wrzaski ucichły zaraz i jedynym możliwym wytłumaczeniem dla nagłego zgaśnięcia ich entuzjazmu był oczywiście brak kobiecej widowni, dla której przeznaczali swoje popisy. Ewa nawet chciała do nich dołączyć, ale nie miała na tyle odwagi, żeby tak po prostu rzucić się w ohydne, zimne i nieprzyjemnie ciemne bajoro. Nim zdążyła o tym pomyśleć, z dzikim wyciem do środka wpadła oblepiona błotem wataha. Złapali każdą w pół i nie zważając na ich piski i ślepe ciosy, zaczęli je bezlitośnie tarzać w błocie.

Robert niósł Ewę, Gruszka mocował się z Kaśką, a Makaron, wcale niekoniecznie zadowolony z takiego wyboru, trzymał na barkach Pati. Ich piski wzmożyły się, kiedy wreszcie zanurzono je w błocie, ale wtedy nie miały już nic do stracenia i, aby dać popalić swoim oprawcom, rozpoczęły równie zaciętą walkę. Batalię o zachowanie honoru. Co i rusz ktoś komuś podkładał nogę, znienacka wskakiwał przeciwnikowi na plecy i dopiero gdy tamten runął jak długi w grząską ziemię, walka nabierała charakteru. Wśród donośnych śmiechów i złorzeczeń bito się bez sumienia, obrzucano błotem, w przenośni i dosłownie, wtykano muł za kołnierz, a

ofierze, która już zaniechała obrony i tylko darła się wniebogłosy, uklepywano najzdrowszą maseczkę według przepisów medycyny naturalnej. Kaśka do spółki z Gruszką powaliła Makarona i teraz ona unieruchamiała mu nogi, a Gruszka sprawnie nagarniał mu na klatę i szyję moką, cuchnącą breję.

- Powiedz głośno i wyraźnie, kto jest tutaj szefem? - wymuszał na nim Gruszka i z satysfakcją pakował na niego kolejną porcję zawiesiny.

- No i co, zadziorna dziewczynko? - W tym samym czasie Robert rozłożył Ewę na łopatkach, usiadł na niej okrakiem i pochylił się tak blisko, że czuł jej gorący oddech i przyspieszone tętno. - Nie można zaczynać ze starszymi, prawda?

- Puszczaj! - wydusiła i znów zaczęła się szamotać, ale żelazny uścisk Roberta przygwoździł ją do ziemi, co zresztą wcale nie było takie znów nie do zniesienia. Sprowokowała go.

Nie. To on ją sprowokował. Pod dobrym pretekstem. Inaczej Gruszka rzuciłby się na niego z pięściami. A kiedy już przygniótł ją swoim ciałem, załaskotało go przyjemnie w podbrzuszu. Doświadczenie podpowiadało mu, co to oznacza, i najgorsze, że był to jeden z nieomylnych sygnałów wysyłanych przez jego podświadomość.

Nie wiadomo, kiedy Gruszka zdążył zauważyć, że niedaleko w dole płynie wartkim nurtem spora rzeka, a wzdłuż niej ciągnie się usypana żwirem droga. Pewnie jednak, pomimo zarzucanej mu wielokrotnie spontanicznej bezrozumności, gdyby nie wiedział, że istnieje możliwość kąpieli w rwącym nurcie potoku, w życiu nie zainicjowałby takiego szaleństwa.

Inni zreflektowali się w momencie, gdy wyczerpali już całą energię i siedzieli mokrzy i dyszący ze zmęczenia, a błoto spokojnie zasychało im na ubraniu i skórze, budując ciasną brunatną skorupę. Pierwsza w panikę wpadła Partycja. Przy jej dbałości o wygląd zewnętrzny aż dziw, że w ogóle dała się namówić na taką zabawę.

- Bardzo śmieszne, naprawdę, tylko może wyjaśnicie mi, chłopcy, gdzie my się teraz umyjemy z tego błota? - Wstała z ogromnej kałuży i z determinacją zabrała się do strzepywania mokrego piachu z włosów.

- Nie myłem się dwa dni, mogę i dziś się nie myć - stwierdził Robert od niechcena.

Uwielbiał ją drażnić. Nie było to trudne, a dawało tyle satysfakcji. Patrząc na tę buźkę stopniowo oblewającą się rumieńcem wściekłości, usteczka wykrzywione w niekontrolowanym grymasie i zmrużone oczy jak u tygrysicy, która szykuje się do ataku.

- Co się wysuszy, to się wykruszy - dodał równie beztrudnie Gruszka i znów zanurzył się w brei, chrumkający z zadowolenia jak prosię tarzające się w grząskiej ziemi.

Ewa z Kaśką siedziały cicho, bo zanosilo się na małe śpięcie, ale w gruncie rzeczy i one marzyły, aby zmyć z siebie to paskudztwo, nie wspominając, że przemoczone ubranie ciążyło i potęgowało chłód.

- To ty, Gruszka, jesteś specjalistą od kretyńskich pomysłów, więc proszę cię bardzo, wymyśl coś! - Pati przypominała rozkapryszoną dziewczynkę z kreskówki. Brakowało tylko tupnięcia.

- Też możesz ruszyć swoją blond główką, maleńka. - Błękit napawał się sukcesem, ale Gruszka opamiętał się. Nie zamierzał tworzyć kolejnej konfliktowej sytuacji, machnął na nich ręką i podążył ku ściętej skarpie, z której widać było migotliwy skrawek rzecznej koryta. Od wytęsknionej od kilku dni prawdziwej kąpieli dzieliło ich jedynie kilkaset metrów.

Wskakiwali do wody z krzykiem bezgranicznego szczęścia, gwałtownie przechodzącym w kwik spowodowany piorunującym zimnem, przeszywającym ciało do szpiku kości. Wartki prąd rzeki podcinał im nogi, a piętrzące się fale, odbite od potężnych głazów, porywały ich głębiej i głębiej. Gruszka już nurkował, Robert z miną męczennika zdołał dopiero zanurzyć się po kolana i w pozie baletnicy - na czubkach palców i z uniesionymi rękami - poddawał się lodowatemu dotykowi rzeki. Kaśka, Patrycja i Ewa, które w przyływie kolejnego szaleństwa postanowiły zdjąć podkoszulki i staniki, oddaliły się kawałek i we własnym gronie upajały się rozkosznym rytuałem oczyszczenia. Chichocząc, pluskając i pławiąc się w dobrodziejstwie natury, przypominały rzeczne nimfy.

Gdyby nie ten paralizujący ziąb, zgwałciłby je od razu, przemknęło przez myśl Robertowi, spoglądającemu kątem oka na całkiem wdzięczny haremik z jednym brakującym ogniwem. Nim, oczywiście. O czym myśleli Krzychu i Gruszka, mógł się tylko domyślać, a ich znaczące uśmiechy tylko utwierdzały go w przekonaniu, że wielodniowa wędrówka, wysiłek i brak cywilizacji u wszystkich owocuje tym samym - potężnie wyostrzonym libido. Na szczęście sam

smak kąpieli był tak wyśmienity, że rekompensował wszelkie inne braki. To jakby narodzić się na nowo. Odrzucić stężoną skorupę błota, brudu i potu, i ponownie dotrzeć do czystego, nagiego ciała. Komórki jedna po drugiej nabierały oddechu, wypełniały się witalnością i energią, a skóra odzyskiwała kolor i sprężystość. I to przedzieranie się przez płynną, ale zwartą strukturę wody, pokonywanie jej oporu i ocieranie się o chłodny kojący dotyk. Wszechobecny, wnikaający do najskrytszych miejsc, docierający do każdej szczeliny.

Ewa miała wrażenie, że woda przenika przez nią i stopniowo wypełnia ją od środka tak, jakby ozdrowieńcza moc wody obejmowała również wewnątrz każdego, kto zechce się w niej zanurzyć. Przekazuje mu siłę i daje nowy pęd ku pasji, życiu i do walki z wszelkimi przeciwnościami, z nieobliczalnym losem, z własnymi słabościami.

Gdy już się osuszyli i ubrali, byli nowymi ludźmi. Tak przynajmniej zdawało się niektórym. A że zmierzch ze względu na wiszące nisko chmury nadszedł wcześniej, niż się spodziewali, postanowili rozbić nad rzeką obozowisko i wybrać się na nocny obchód do wsi.

Wieś, rozciągnięta wzdłuż pasma rzeki, okazała się całkiem spora. Niewielkie chatki, niczym domki z piernika świeciły ciepłym pomarańczem, sączącym się przez odsłonięte okna. To w nich tętniło jeszcze życie. Na zewnątrz jego oznaką były tylko poszczekiwanie psów, wymieniających wieści ze swojej zagrody. Dopiero po upływie kilkunastu minut dotarli do miejsca lokalnej rozrywki. Podwórze różniło się tylko tym od innych, że wystawione tu były stoły i ławy, przy których siedzieli mężczyźni w średnim wieku oraz starcy. Obsługiwani przez krzykliwą kobiecinę, przypuszczalnie gospodynię skromnej chaty i maleńkiego obejścia, pokrzykiwali na nią tubalnie, a ona, aby nie pozostać dłużna - odszczekiwała się piskliwie, odchrząkując co rusz grzęznącą

w gardle chrypę. Niewielki asortyment wiejskiej karczmy i zarazem jedyne sklepu spoczywał na starej wersalce mieszczącej się w sieni domu. Chleb na zakwasie, cukierki zawinięte w brudno - kolorowe papierki, jak niegdyś polskie irysy czy toffi, mleczko zagęszczane, czekolady i powgniatane puszki z konserwą mięsną. Tuż obok stała lodówka, gdzie chłodziło się piwo, a na półkach leżały ułożone w równe stosy sery oraz kiełbasy i wędliny niewiadomego pochodzenia.

Dawno nie było we wsi tak hojnych kupców. Mówiąc krótko, w oczach miejscowych nowo przybyli opływali złotem - dolary niemalże sypały im się z kieszeni, a przy tym działali jak szarańcza. Wymietli ze sklepu wszystek towar z wyjątkiem mięsa, które znaczącym pomrukiem uznali za zbyt ryzykowny nabytek. Przy tym cieszyli się jak uciekinierzy z głodującej Afryki na widok słodczy, pieczywa i sera. Zaproszeni do stołów skorzystali z ciepłego przyjęcia i streścili wszystkim przygraniczny incydent. Odpowiedzieli na sto pytań i kiedy już przełamano pierwsze lody, nadeszła wyczekiwana od dawna chwila: strzeliły kolejno kapsle, uwolniony trunek syczał kusząco i już wiedzieli, że ten wieczór będzie udany.

Rozkosz pierwszego łyku. Biała chłodna piana przyjemnie osadzająca się nad górną wargą. Jakby rozpoczynać morską kąpiel od zanurzenia ust. Nagazowane mikrobąbelki szturmują język i podniebienie, oblepiają je, dopóki nie spowodują lekkiego odrętwienia. Zaraz potem pękają wdzięcznie jeden za drugim i wraz z falą złotego płynu wędrują dalej do gardła i przętyku z wielką misją orzeźwienia. To na początek. Poczucie ulgi ugaszonego pragnienia, ugaszonego pożaru. Wreszcie chłód, przyjemny chłód wypełniający ciało od środka i pozostawiający po sobie jedynie delikatną goryczkę, tak lekką, że w świadomości zapisuje się słodczy. To uczucie, smak pierwszych łyków wkrótce ustępuje miejsca

przychodzącemu stopniowo odprężeniu. Wiotczeją ręce i nogi, ale tylko one, kula ziemską obraca się odrobinę szybciej, a wszystko wokół nabiera subtelnego komicznego rysu. Tylko my, jako jedyni, piękniejemy i rośniemy, na razie jedynie we własnym mniemaniu. Jest dobrze. Jest świetnie. I nie możemy się nadziwić, że jeszcze przed chwilą zajmowały nas takie drobiazgi! Wymyślaliśmy sztuczne problemy, coś nas gryzło i zżerało od wewnątrz. Teraz to coś śpi. Nastął czas wolności, śmiechu i bycia na luzie. Przecież wszystko jest takie fajne! Robert z Makaronem koślawo, ale jakoś dogadywali się z miejscowymi, Kaśka bez zażenowania mówiła po polsku i, o dziwo, była doskonale rozumiana, choć zasada działała tylko w jedną stronę. Patrycja była wreszcie w swoim żywiole. Znow znalazło się audytorium - ci, dla których żyje, czyli faceci. Nie mogła się powstrzymać, aby nie przetestować na mężczyznach swoich wytrenowanych chwytów - omiatała ich spojrzeniami niewinnej królowej, odrzucała w tył włosy, oblizywała wargi i robiła wszystko, aby zostać gwiazdą wieczoru. Zresztą drapieżny seks z nieokrzesanym ukraińskim wieśniakiem już dawno kołatał się jej po głowie w formie kuszącej fantazji erotycznej. A o zainteresowanie z ich strony nietrudno, bo choć Ukrainki słyną ze swojej urody w całej Europie, to jednak zadbane, zamożne przybyszki z Zachodu nie mogą nie wzbudzać żywej ciekawości.

Alkohol spokojnie krążył w żyłach i robił swoje. Usypiał demony strachu, smutku, nieśmiałości i budził do życia ukryte, tłamszone pragnienia. Miejscowi coraz bardziej maślili oczy do polskich dziewczek, Gruszka mocniej niż zwykle obejmował swoją ukochaną, zaznaczając swój teren tak, że wyszła z niego samcza posesywność, która ku zaskoczeniu Ewy nie schlebiała, ale drażniła. Jego ciepło było takie dobre, a jednocześnie zaborcze, jakby chciał mieć ją na wyłączność. Muśnięcia, którymi obdarzał jej kark, ramiona, policzki

przepęłniała bezgraniczna czułość. Pocałunki w nos, czoło, najwyżej kącik ust adresował jako wyraz absolutnego oddania i jednoczesnego taktu, aby nie przekroczyć granicy, nie nadużyć zaufania. Nie mogła zaprzeczyć, nigdy z nikim nie czuła się równie bezpiecznie. I ta świadomość całkowitej akceptacji. Widziała ją. Nietrudno było dostrzec, że zachwyca go wszystkim, każdym uśmiechem i każdym grymasem. Nie mógł się nią nasyć. Był coraz bliżej i bliżej, a jednak wciąż za daleko. Ona natomiast z poczuciem winy i wewnętrznym konfliktem, bo przecież i jej własne doświadczenie, i opowieści Kratki jednoznacznie wskazywały, z kim ma do czynienia, co chwila zerkając na Roberta. Może to alkohol, a może kobieca przewrotność, aby lgnąć do facetów z gatunku „szowinistyczny cham”, coraz mocniej wyzwały w niej pociąg ku niemu. Miał coś, czego do tej pory nie odnalazła w Gruszcze - zwykłą chemię, od której hormony zaczynały wibrować we krwi. Nie chciała, ale wytwory wyobraźni nachalnie stawały jej przed oczami. Sekundowe wyselekcjonowane migawki, od których aż ciepło się robi tam w środku: zdiera z niej ubranie, brutalnie i władczo, zniewala ją i w niepohamowanej, napastliwej, a jednak szalenie podniecającej żądzy miętosz jej wiotkie uległe ciało, jak miękkie, podatne na nacisk ciasto - piersi, policzki, pośladki. A kiedy już bliski jest osiągnięcia szczytu uniesienia i pochłania ją swoim pożądaniem, wtedy to ona, właśnie ona góruje nad nim i napawa się doznaniem, które zdołała w nim wzbudzić.

Wszystko się mieszało. Plątały się języki, krzyżowały spojrzenia, dotyk dłonią, biodrem, ramieniem przenikał przez ich rozedrgane byty. Zupełnie inne teraz, kiedy strząsnęły zmęczenie i nerwy do ciemnych butelek z krótkimi szyjkami. Śmiech, który unosił się nad podłużnym stołem miał swoje źródło gdzieś głębiej niż tylko w gardle, pochodził ze środka.

Do głosu doszła wreszcie zasuszona wewnętrzna istota, która ożywa wraz w ukrytych na co dzień obszarach naszej świadomości. Dopiero wtedy, gdy z jakichś powodów odłączony zostanie nasz osobisty cenzor, nieznośny belfer - ten od wypadu, nie wypadu.

Rozmywały się kształty. Krawędzie, ostrza i kanty zaokrąglaly się na tyle, aby przestać dokuczać swoją stanowczą formą. Tak zakrzywiona przestrzeń łatwiejsza jest do zaakceptowania, a nawet wydaje się piękna. I znów zadziwienie, że wcześniej tak trudno było się cieszyć ze zwykłego faktu istnienia.

Jej kosmate loki, drobinki piegów, zamyślony uśmiech i nawet całkiem nieobecny wzrok. Gruszkę ścisnęła w gardle, tak bardzo była piękna, tak bardzo jej pragnął, czasem aż tak, że chciał ją zjeść, pochłonąć, wtopić całą w siebie. Nie obchodziły go rozmowy, żarty, drażniła kokieteria Patrycji i chichot Kaśki, zupełnie do niej niepasujący. Chętnie wpadłby teraz razem z Ewą w czarną dziurę i chciałby, żeby wokoło nie było nikogo i niczego, co mogłoby choć na chwilę odwrócić ich uwagę od siebie nawzajem. Buzująca w żyłach adrenalina, niezaspokojona irracjonalna tęsknota, silne ciśnienie szturmujące wszystkie komórki ciała, tak że nadchodzi strach, czy zaraz nie rozerwie go na strzępy. A potem, na koniec potworne zmęczenie, totalne wycieńczenie organizmu i marzenie, aby jak najszybciej znaleźć się w łóżku, zasnąć, dać sobie czas na odtrucie i regenerację.

Tego wieczoru nikt nie pamiętał, jak i kiedy znaleźli się we własnych namiotach i śpiworach. A na zewnątrz rosła już czerwona linia świtu.

Obróciła się na brzuch i wcisnęła dłoń pomiędzy lekko rozchylone uda. Opuszkami palców odnalazła twardą już kulkę - guzik rozkoszy - i zaczęła delikatnie pocierać ją ruchem miarowym, kolistym, na razie jeszcze powolnym. Pierwsze nadeszło odprężenie, każda cząstka tułowia, nóg i rąk stała się lżejsza, trochę jakby płynna, pozbawiona kształtu i granicy skóry. Błogie ciepło zapulsowało w środku i rozpląnęło się po całym ciele, a drobne igiełki nadchodzącego cudu przebiegły po ramionach. Akupunktura szczęścia. Nachalne, nie dające spokoju obrazy tłoczyły się pod powiekami - pożądanie w jego krótkich spojrzeniach, niewymuszony, przypadkowy dotyk, pasja ich tańca, wzajemnego przyciągania i odpychania. Oślepiająca jaskrawość konturów niepohamowanego ścierania się dwóch kształtów: kobiecego i męskiego. Żądy i dumy, pragnienia i niechęci, namiętności i rozwagi. Pośliniła palce, aby zmniejszyć opór i łagodniej przedrzeć się przez granicę do receptorów rozkoszy.

Punktów zapalnych kosmicznego wybuchu, wywołujących kilka sekund prawdziwej ekstazy. Drugą dłonią ciągała i szczypała sterczące w gotowości do słodkiej i bolesnej pieśczości sutki. Ugniatała miękkie piersi, schodziła do twardego podbrzusza, aż wreszcie rozchyliła wargi, aby otworzyć dostęp dla potęgującego, napinającego się podniecenia. Zanurzyła palce w sączącej się wilgoci, zwiększyła tempo, a ruchy - coraz mniej precyzyjne, lecz agresywne - oddawały rosnącą niecierpliwość. Już było ich kilku, drapieźnych, samczych, ogarniętych zwierzęcym instynktem. Zdzierali z niej ubranie, miętosząc i śliniąc każdy fragment skóry, pieszcząc każdą szczelinę, dysząc w wiecznej obsesji na punkcie pokus jej dziewiczego ciała. Zdusiła w sobie westchnienie. Najgorętsza fala wzburzała się,

pieniła i nadchodziła szturmem. Narkotyczny smak boskiego lotu wdzierał się do umysłu i wyobraźni. Puls bębnił we wszystkich komórkach, huczało jej w głowie i uszach. Napięta jak struna i skurczona jak owad czekający śmiertelnego ciosu, przygotowała się do ostatniego natarcia. Już była ich branką, niewolnicą, niezaspokojoną kociczką do rżnięcia, posuwania, pierdolenia. Penetrowali każdą dziurę - wkładali tam języki, dłonie i kutasy. Lizali i gryźli do krwi płatki gorących warg. Suczka, dziwka, wyuzdana kurewka do jebania. Jęcz, dziwko, słyszysz? Wypnij dupkę, żebym ci mógł wsadzić głęboko. Chcesz tego, prawda? Dobrze ci? Dobrze? Krzycz, drzyj się, suko, lubisz to?! Tak? Jeszcze? Mocniej? Tak, tak, tak!

Wyrzuciła w zwinięty sweter stłumiony okrzyk i odetchnęła głęboko. Wszyscy jeszcze spali. Była mokra, ale fala ciepła powoli już odpływała. Poczowała niesmak i wstręt do samej siebie. Związane z nim fantazje przysły jak za pociągnięciem magicznego pędzla. Przewróciła się na bok i wtuliła głowę w Gruszkowe ramiona.

VI
DZIEŃ PIĄTY

1

- Co cię tak rano zerwało na nogi?

Z trudem rozwarł sklezione wyschniętym śluzem powieki, przetarł oczy i, z westchnieniem człowieka strudzonego życiem, przyjrzał się Kaśce. Stała przed namiotem i w pośpiechu pakowała swoje rzeczy. Nawet nie odwróciła głowy, słysząc, że wychyla się z namiotu. Dochodziła dziesiąta, ale po wczorajszej libacji cała grupa pogrążona była w głębokim alkoholowym uśpieniu. On zaś, zmuszony przez pęcherz do przebudzenia, wstał, ale z przekonaniem, że zaraz powróci w pielesze nagrzanego śpiwora. Dopiero niebawem miał się dowiedzieć, że tego ranka nie zmruży więcej oka.

- Po co się już pakujesz? - Podszedł bliżej. - Wszyscy jeszcze śpią i nie zanosi się dziś na wyjście w trasę.

- Zależy dla kogo.

Jedna rzecz po drugiej w zawrotnym tempie łądowały w przepastnym wnętrzu plecaka.

- Ej! Co z tobą?! - Nie pamiętał Kaśki równie roztrzęsionej. Jej twarz miała kamienny wyraz jakiegoś piekielnego zacięcia, grymasu, którego do tej pory jeszcze nigdy u niej nie widział. Zbyła go milczeniem i nadal upychała rzeczy w bezkształtnym worze plecaka, z każdą chwilą nabierającym kształtu i formy.

Wzruszył ramionami i poszedł się odlać, ostatecznie kobiety mają różne humory, a niewyspane kobiety to już w ogóle trąby powietrzne. Lepiej się nie wtrącać. Nie czuł potrzeby, aby oddalać się jakoś znacznie. W końcu znajdowali się na łonie natury. Sikając, kątem oka obserwował Kaškę. To nie było do niej podobne. W gruncie rzeczy należała do najbardziej sensownych dziewczyn, jakie znał. Wierzchem dłoni ocierała leżące się jej na policzki prawdziwe potoki łez, ale wciąż zachowywała ten sam nieprzenikniony wyraz całkowitej zatwardziałości. Za długo ją znał, żeby dać się

zwieść woskowej masce. Zresztą już sam płacz stanowił wystarczający dowód. Pierwszy raz widział Kaśkę mażącą się. Wszystkie dziewczyny z sekcji nieraz wykorzystywały tę broń, aby manipulować facetami i postawić na swoim. Kaśka - nigdy. Skoro zatem podjęła taką decyzję, musiała mieć ku temu powód. Ale jaki, do cholery? Żeby tak nagle postanowić samej wracać przez dziki kraj? To się w żaden sposób nie trzymało kupy.

Szybkim ruchem zapiął rozporek i znalazł się przy niej.

- Może jednak mnie oświecisz, dlaczego zamierzałaś zostawić wszystkich bez słowa wyjaśnienia?

Wiedział, że w takich chwilach najlepiej lecieć konkretami, żadnych umizgów, głaskania, rozczulania się. Werbalny odpowiednik trzaskania histeryka w gębę. Atak, dzięki któremu zamiast pogrążyć się w smutku, jest szansa na odwrócenie myśli od zabiedzonego, skrzywdzonego „ja”.

- Nie udawaj, że nie wiesz, Robert! Proszę cię. - Głos jej się załamał i opadła całym ciężarem na mokrą ziemię.

- O czym nie wiem?! - krzyknął zdumiony. Zaczynało być nieprzyjemnie. W popłochu przeleciał w myślach ostatnie wydarzenia, aby upewnić się, czy na pewno nie uczestniczył w jakiejś aferze, plotce czy innej intrydze. Ale nie. Raczej nie. Był czysty.

- Krzysztof ci nie powiedział? Nie podzielił się sukcesem ze swoim najlepszym kumplem? - Nawet nie próbowała ukryć ironii i widać, że się dopiero rozkręcała: - A może też miałeś na to ochotę i dlatego działaliście każdy na własną rękę? Ale to dziwne. Przecież tak bardzo lubicie szczycić się podbojami. Szczególnie wysmakowanymi.

Nie miał pojęcia, o co jej może chodzić, ale przeginała. Znalazła sobie chłopca do bicia? Będzie po nim jeździć jak po łysej kobyle, bo jej Krzyś nie okazał się wyśnionym księciem z bajki?

- Może jednak byś się opanowała, co? A nie, opierdalasz mnie nie wiadomo za co, i co sobie myślisz, że ja niby jakaś wróżka jestem? Ja, kurwa, nie mam pojęcia, o co ci idzie, i jeszcze śpię, rozumiesz? Więc albo wyrażaj się jaśniej, albo zostaw mnie w spokoju.

- To ty się przypieprzyłeś. Spadaj do swojego śpiwora, pochrzaniony egoisto!

Chwyliła leżący tuż obok oblepiony błotem traper i z impetem cisnęła nim w Roberta. Wycelowwała bezbłędnie. Zanim ten zdążył się zorientować, rzeźbiony traktor podeszwy rąbnął go w czoło. Drobinny mokrej gliny i piachu posypały mu się na twarz i szyję. Zalewająca go fala wściekłości nie znalazła ujścia, Kaśka bowiem nagle wyrosła tuż przed jego nosem. Była blada, aż prawie przezroczysta, a jej wielkie oczy rozrosły się do rozmiarów oczu z japońskiej mangi.

- Ja nie chciałam, przepraszam.

Stała przed nim niewysoka i tak biedna, że wziął jej rękę i pociągnął ku dołowi, aby mogli usiąść. Kiedy powiedziała mu o Patrycji i Krzychu, zalało go kleiste, nieprzyjemne gorąco. Czuł, że i on sam babrze się w tej paskudnej historii. Narastała w nim niechęć do siebie, pokrętnej, nieludzkiej Patrycji i w ogóle wszystkiego, co cielesne i w gruncie rzeczy takie żalodne. Dla kilku sekund przyjemności rujnuje się czyjeś życie, krzywdzi niewinnych, a potem, gdy już jest po wszystkim, i siebie samego się nienawidzi. W miarę poznawania szczegółów jaskiniowego incydentu, sumienie uaktywniło swoje służby przyzwoitości i może to jeszcze nie był kac moralny, ale niewątpliwie doznanie o podobnym ciężarze gatunkowym, równie trudne, bo pozbawiające człowieka psychicznego komfortu.

Na szczęście ich krzyki odbiły się echem i z namiotów powychylały się kolejne głowy to zainteresowane, to rozwścieczone tak nagłą pobudką. Ale Kaśka nie chciała już o

tym rozmawiać. Makaron, choć mógł domyślać się, o co chodzi, nie miał odwagi zapytać wprost. Odtrąciła jego rękę i powiedziała mu, żeby nie pokazywał jej się na oczy, do chwili aż ona stąd nie wyjedzie. I wtedy podniosła się lawina - każdy chciał wiedzieć, o co chodzi, dlaczego Kaśka stroi fochy. Padł pomysł, aby sprawę poddać dyskusji na forum, a im bardziej głosy wokół nabierały mocy, tym bardziej Kaśka zapadała się w sobie. Skurczyła się, pobladła jeszcze bardziej i szary cień zażenowania i smutku przeciął jej dziecienną buźkę. Jej twarz zaczynała żyć własnym życiem - kąciki ust drgały, jakby ktoś je boleśnie nakłuwał, oczy ciemniały i jakaś wewnętrzna siła zasysała je do środka, a na ruchomym czole, tuż ponad brwiami, wypisywały się wszystkie rozterki - gniew, żal i wstyd, że tyłu jest świadków jej upokorzenia.

Ewa patrząc na tę scenę, nie miała pojęcia, co, jak i dlaczego, ale nie potrafiła dłużej stać beczynn timer. Dla każdego choć odrobinę wrażliwszego obserwatora to było nie do zniesienia. Skoro milczy, to chyba jasne, że nie chce mówić. Ale nie można tak po prostu pozwolić jej odejść. Szczególnie że Katarzyna dawała Ewie jakieś irracjonalne poczucie bezpieczeństwa. Nie przyjaźniły się, ale Ewa wiedziała o jej życzliwości, optymizmie i pozytywnym nastawieniu do świata i miała świadomość bliskości drugiego człowieka. Nawet jeśli nigdy by nie skorzystała z jej pomocy, rady czy ciepłego słowa. Potrzebowała jej tak, jak potrzebował jej Krzychu. Stał teraz niemy, sparaliżowany strachem, filtrujący tabuny stłoczonych myśli. Jak prosto kogoś utracić, jak łatwo zniszczyć coś, co jeszcze przed chwilą wydawało się niezniszczalne. Niczym zły sen, koszmar, z którego nie można się wybudzić i który wciąga coraz mocniej, pochłania, zagarnia i z każdą sekundą jest coraz straszniejszy. Wreszcie zebrała się w sobie, podeszła do Kaśki, objęła ją i poprosiła, aby się przeszły. Kawalek, na spacer, a tymczasem niech

reszta weźmie się do robienia śniadania, bo nie pamięta, kiedy ostatnio jadła jakiś normalny posiłek. Zdziwiona swoją stanowczością, wzięła Kasię pod rękę i poprowadziła ją nad rzekę.

- Nie musisz nic mówić - uprzedziła ją na samym wstępie Ewa - chcę tylko, żebyś wiedziała, że niezależnie od wszystkiego są tu osoby, którym będzie bardzo cię brakować.

- Daj spokój, Ewka! - zachnęła się Kaśka. - Przyczyniłaś się do tego!

- O czym ty mówisz?

- O waszym zakładzie. Patrycja mi wczoraj wszystko powiedziała. Jak wracaliśmy ze wsi.

- Daj spokój! Chyba się tym nie przejęłaś! Ten zakład to jej idiotyczny pomysł. Po prostu wkurzyła się, kiedy usłyszała moją dobrą opinię o waszym związku i palnęła, ot, tak. Pati lubi pieprzyć głupoty.

- To prawda, mojego faceta też lubi pieprzyć!

- Zwariowałaś?! Chyba nie bierzesz serio jej dziecinnych pogroźek?!

Kaśka zatrzymała się, stanęła naprzeciwko Ewy i wybuchła płaczem.

- Kurwa! To się już stało, rozumiesz! Nie znasz jej. To podła suka! Wykorzysta każdą okazję, żeby kogoś zniszczyć, żeby rozpierdolić wszystko, co jest choć trochę lepsze od niej! Boże, jak ja jej nienawidzę. Jak ona mogła!!! Ewa, to wszystko to jest pojebane bagno, im prędzej to zrozumiesz, tym lepiej.

Stały po kolana w lodowatej rzece. Kaśka z wściekłością rozpryskiwała wodę, ciskając w nią kamieniami, a Ewa, nieruchoma, wrosnięta w dno jak słup soli, zastygła z przerażenia. Słuchała wszystkiego, o czym wczoraj Pati pod wpływem alkoholu opowiedziała Kaśce.

- Najbardziej mnie boli, że zrobił to w ten sposób. Na te kilka obleśnych minut przestałam się dla niego liczyć, nic nie było ważniejsze od jej ręki i jego kutasa.

- Wydaje mi się, że forma zdrady to sprawa wtórna i nie ma sensu się nad tym rozwodzić. Zdrada jest zdradą, a każda zdrada, niezależnie od tego, jak, gdzie i z kim, jest podła.

- Nie tak do końca. - Kaśka zaczynała łagodnieć. - Wcześniej też czasem zdarzały mu się różne przygody. Nikt nie jest święty, a to tylko facet, więc starałam się nie zwracać na to uwagi, dopuszczać do głosu rozsądek.

Ewa spojrzała zadziwiona.

- Tak po prostu? Nie bolało cię, nie zwijałaś się z zazdrości, nienawiści, wstrętu? Nie pytałaś, w czym jesteś gorsza?!

- To nie miało znaczenia. Naprawdę! Też kiedyś mi się wydawało, że zdrada równa się końcowi, ale wreszcie zrozumiałam, że mężczyźni tacy już są. To jest natura. A w naturze nie ma monogamii.

- Wybacz, ale nie wyobrażam sobie czegoś podobnego. Ja bym tak nie potrafiła. I proszę, nie mów mi teraz, że zamierzasz mu wybaczyć.

- Nie, tego nie. - Kaśka pokiwała stanowczo głową. Była znów sobą - spokojna, opanowana, ale stanowcza. - Zbyt mocno mnie upokorzył. Muszę wyjechać, odejść, odciąć się od tego.

- Wyjazd niczego nie rozwiąże! Poza tym wyjechać znaczy poddać się. Ucieczka niczego chyba nie załatwi.

- Może i nie załatwi, ale powiedz mi, jak ja mam dalej funkcjonować, patrzeć na Patrycję, Krzyśka?

- To oni powinni się zastanowić, jak tobie spojrzeć w oczy. Powinnaś zostać, pokazać klasę, a nie uciekać jak winowajca. To oni mają powód do wstydu i, szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak będziemy ich traktować, ale ty, Kaśka,

zostajesz, jesteś ponad tym żalnym zdarzeniem. To już postanowione.

Kaśka tylko uśmiechnęła się w odpowiedzi. Był to uśmiech nikły, może tylko skurcz ledwie przypominający kształtem uśmiech, ale Ewie dał nadzieję, że może jednak uda się ją przekonać. Wciąż nie przestawała zadawać sobie pytania, jak ludzie o tak odmiennych wizjach miłości, szczęścia i życia mogą chodzić obok siebie na jednej i tej samej planecie.

Śniadanie zakończono, jak w luksusowym życiu dyplomatów, dobrze po czternastej i wówczas zdecydowano, zgodnie z ukrytymi pragnieniami każdego, że już nie czas na wyjście w trasę. Rozeszli się więc do własnych zajęć. Patrycja, maskując trawiące ją wyrzuty sumienia, cały ranek narzekała na potwornego kaca i zaraz po posiłku powróciła do śpiwora. Uznawszy, że lepiej przeczekać, aż gromadzące się nad nią burzowe chmury przegoni wiatr uwagi nad czymś innym, zapadła w niewinną drzemkę. Krzychu zaciągnął Kaśkę na długi spacer, a Błękit, Ewa i Gruszka wzięli książki i poszli z ręcznikami nad rzekę.

Dzień wchodził właśnie w fazę najgorętszej spiekoty i wypoczynek tuż nad wodą zdawał się świetnym pomysłem. Od wartko płynącej rzeki bił rześki powiew chłodu i wilgoci. Ewa nałożyła bikini, Gruszka slipki kąpielowe, a Robert pozostał jedynie w bokserkach. Choć na co dzień zgodnie pogardzali rasowymi plażowiczami, dziś leniwe wylegiwanie się na słońcu plus dobra lektura to było to, co tygrysy lubią najbardziej.

- Kiedy sobie pomyślę, że już za dwa lata zamiast trzech miesięcy wakacji, będę mieć jedynie jakiś skromny urlop, to chciałabym studiować do końca życia - powiedziała Ewa półgłosem. Wsparta na łokciu, odszukała wzrokiem Gruszkę i upewniona, że zajęty jest nurkowaniem w rzece, przysunęła ręcznik bliżej Roberta. - A ty? Jak ty to znosisz?

- Wierz mi, że praca okaże się dla ciebie największym marzeniem. Wielomiesięczny urlop zwany bezrobociem zbrzydnie ci szybciej, niż myślisz - odrzekł, ale nie podniósł głowy znad powieści w tandetnej okładce z nagą kobietą i rakieta kosmiczną w tle. Mógłby o tym gadać godzinami, więc wolał się nie nakręcać.

- Przesadzasz. Z tego, co wiem, jak ktoś chce znaleźć pracę, to ją znajdzie. Chyba że leży, patrzy w sufit i czeka, aż mu oferty z nieba spadną.

Robert zaśmiał się na samo wspomnienie jego własnych, podobnie radykalnych i buńczucznych przekonań.

- Też tak myślałem. Ruszyłem pełną parą. Drukowałem dziesiątki CV, listów motywacyjnych, wysyłałem w ciemno, chodziłem, pytałem, sprzedawałem swoje pomysły. Ale kiedy raz, drugi, trzeci i dziesiąty nic się nie wydarzyło, ktoś mnie zbył, ktoś inny potraktował jak intruza albo akwizytora, mój zapał trochę podupadł. Bo każde spotkanie, każda wizyta to cholerny stres. Nie taki jak na egzaminie u profesorka, którego znasz, a jego psim obowiązkiem jest z tobą porozmawiać. Kiedy szukasz pracy, jesteś nikim, anonimowym człowiekiem z ulicy, który raczej stanowi zagrożenie, więc trzeba się na nim wyżyć, pokazać swoją wyższość, nierzadko upokorzyć. Z dnia na dzień tracisz wiarę w siebie, w rzeczywistość i wszystko dookoła. Nie masz motywacji, aby wstawać z łóżka, więc wylegujesz się do południa, a potem to już nie ma sensu zaczynać czegokolwiek, skoro wieczór tak blisko. Do późnych godzin nocnych przewalasz się z boku na bok, bo w sumie jesteś wyspany, ale nie chce ci się czytać książek, do kina nie ma za co pójść, ludzi unikasz, bo wstyd. Zostaje tylko telewizor. I tak mija czas, dni zlewają się w jedną beznadzieję i nudę, i tylko co poniedziałek lecisz z wywieszonym ozorem i nadzieją po „Wyborczą” do kiosku, żeby za chwilę przekonać się, że potrzebują jedynie przedstawicieli handlowych, pieprzonych akwizytorów, ewentualnie magistrów farmacji do pracy w aptece.

- Nie wiem, czy chcę o tym gadać. Nie lubię, kiedy ktoś mnie straszy. Wystarczy, że w mediach wciąż bombardują nas statystykami.

- Ale to są fakty. - Robert zamknął książkę i odwrócił się na plecy. Zamknął oczy i z wielką przyjemnością poddał się dotykowi słonecznego żaru. - Pocieszające jest to, że prędzej czy później znajdziesz tę pracę. Lepszą lub gorszą. Niestety, nastawić się musisz na prawdziwą bitwę. Myślisz, że dlaczego wyjechałem na rok do Włoch? Zwyczajnie. Nie wytrzymałem tej presji. Teraz, kiedy otworzyły się granice, większość ludzi po studiach wyjeżdża. Wcale nie z powodu chęci życia na Zachodzie czy lepszych perspektyw.

- To niby jaki inny powód pchałby ich do pracy w Europie?

- Ze strachu przed konfrontacją z rynkiem pracy, cholerną konkurencją. Świadomość, że takich jak oni co roku uczelnie w całym kraju wypuszczają na tony.

- Ja nie mam ochoty w ogóle stawiać temu czoła, w jakikolwiek sposób - zachnęła się Ewa i powróciła do książki, ale już po kilku liniijkach spaceru przez uliczki nocnego Paryża, znów powróciła do tematu pracy. Nie powinna o tym jeszcze myśleć, ale ten wątek dość często gościł u niej w domu, jak zwykle w formie życzliwego pytania: „Co zamierzasz zrobić ze swoim życiem?”. To było chore. Czy wszyscy wraz z osiągnięciem tytułu licencjata, magistra muszą wiedzieć, co dalej? A zresztą ona, na razie, wcale nie chciała być dorosła. Przynajmniej w takim sensie. Że niby jak? Z dnia na dzień całkowicie przeprogramować się w człowieka odpowiedzialnego, obowiązkowego, prowadzącego regularny tryb życia i planującego urlop letni już w styczniu, bo takie są wymogi kadr? Na szczęście nie była odosobniona w swojej niechęci do zamykania ostatniego etapu życia, w którym jeszcze istniała tolerancja dla błędów, głupstw i szaleństwa, margines mieszczący wszystkie odchylenia od społecznego pojęcia „dorosłości”. I choć wielu jej znajomych z roku zdążyło już wskoczyć w krępujące oddech krawaciki i

ruszyć na podbój rynku pracy, ona wdzięcznie uchylała się od przedwczesnego wytrysku żądy wtrybienia się w socjalny mechanizm 7.00 - 15.00. Jeszcze nie chciała się obudzić. Jeszcze nie. Proszę, mamó, jeszcze pięć minut, jeszcze minutę...

Praca w Londynie się nie liczyła, to było co innego. Krótka, egzotyczna przygoda za dobre pieniądze. Wtedy można być nawet niewolnikiem, bo po robocie jest się panem własnego życia. Tu, za kilkaset złotych, pozostaje się niewolnikiem ubóstwa całą dobę, każdego dnia. Zobaczyła siebie w eleganckiej garsonce, szykownych szpilkach, podporządkowaną korporacyjnemu dress code. Co za bzdura! Zmiana kadru. Może szkoła? Profil ekonomiczny. Nie lubi gówniarzy, więc pewnie urządziłaby rzeź niewiniątek. Administracja? Media? Własna działalność gospodarcza? Zasilek? Renta? Emerytura? Jakoś trzeba będzie przetrwać te czterdzieści lat pracy.

- I co? Podoba ci się? - Robert oparł dłoń na zielonkawej twardej okładce i pogłaskał ją prawie czule.

- Czytałeś? - Ewa zdziwiła się przyjemnie, bo dziś Błękit pochłaniał czytało science fiction, coś, czego ona nie tknęłaby nawet kijem.

- Jasne, że czytałem. Kultowa lektura, dziecinko. - Uszczypnął ją w policzek i roześmiał się bezczelnie. - W punkcie szczytowym kryzysu działamy wyłącznie za pomocą impulsów, wbrew wszelkim przewidywaniom, robiąc najbardziej nieprawdopodobne szaleństwa. Doszłaś już do tego fragmentu? Te kryzysy są jak metafizyczne wybuchy. Służą do ukazania nam prawdziwego absurdu, absurdu spokojnego i uporządkowanego świata. Pamiętasz te słowa?

- Nie, nie pamiętam - powiedziała Ewa, ale przecież właśnie tych słów, które tak pięknie tłumaczyły wszelkie podłe odruchy, potrzebowała teraz. To nie mógł być

przypadek. To musiał być znak - wsunęła rękę w jego dłoń i zamknęła oczy.

Gruszka był idealny. Naprawdę tak czuła. Ale jednocześnie wiedziała, że podświadomie szuka kogoś ze skazą. Potłuczonego i obszczerbionego jak ona sama. Czasem tak ją drażnił, złościł, doprowadzał do pasji, lecz coraz częściej uświadamiała sobie, że to o nim myśli chwilę po przebudzeniu i zaraz przed zaśnięciem. Wiedziała również, że Robert należy do facetów, którzy nie mogą dać kobiecie szczęścia. A mimo wszystko pozwalała, aby fantazje z nim w roli głównej opanowały jej sny i marzenia. Przeczowała, że ten człowiek kiedyś bardzo ją skrzywdzi, ale kuszący głos wewnętrznych pragnień błagał, aby zaryzykowała. Nie mogło z tego wyniknąć nic dobrego, nic konstruktywnego, nic, co stanowiłoby choć cegiełkę w budowie sensownego związku. To czysta chemia objęła swoje rządy i nikt inny nie mógł dojść do głosu. Chciała, żeby jej dotknął, wypieścił, ogarnął swoją męskością, zgniótł w brutalnym uścisku, zamrocył.

Ale on w żaden sposób nie odpowiedział, choć również się nie odsunął. Pozostał w bezruchu, pozwalając, by jej drobne, szczupłe palce błędziły po jego nadgarstku. Udawał, że czyta, lecz w rzeczywistości czarne rzędy liter przebiegały tylko przed jego oczami, nie wywołując żadnych konotacji, żadnego choćby najmniejszego zwarcia neuronów mózgowych. I mimo że Stalowy Szczur nigdy nie należał do wymagających kompanów, teraz nawet za nim trudno było Robertowi nadażyć. Za to uważnie śledził Gruszkę, całkowicie pochłoniętego sobą. Pluskał się w tej rzece jak bóbr, a przy tym w każdego nura wkładał maksimum entuzjazmu i precyzji. Nic tu nie było połowiczne, takie sobie. Cholera, wcale nie miał ochoty na starcie z Gruszką, ale to z kolei całkowicie klóciło się z ochotą na coś innego. Dużą ochotą na Rudą. Ale chyba, mimo wszystko, nie nadszedł jeszcze czas.

Jeszcze powinien ją trochę podrażnić, ponęcić i dopiero kiedy zdoła wystarczająco ją zaintrygować i rozbudzić, ruszyć do ataku. Nie ma nic gorszego niż falstart, bo wtedy niweczy się cały trud przygotowań, wielogodzinny trening, upada koncentracja i wysiadają nerwy. A gorycz dyskwalifikacji piecze dotkliwiej niż przegrana. Z drugiej strony Gruszka wciąż pozostawał jego przyjacielem, młodszym bratem. A bratu świństwo się nie robi. Dziś jeszcze zwyciężała przyzwoitość, choć argumenty Oliveiry osiadły wygodnie w jego podświadomości, aby jeszcze zaistnieć w odpowiednim czasie. Teraz jednak zdecydowanym ruchem wysunął rękę, podniósł się i odszedł w stronę obozowiska.

Kaśka zgodziła się zostać. Nie, nie przekonał jej spacer z Krzyśkiem. Wręcz przeciwnie, czuła do niego narastający z każdą minutą wstręt.

Szli ramię w ramię, w milczeniu, i Makaron zaczynał wierzyć, że może jednak da się wszystko naprawić. W końcu to niemożliwe, aby tak nieistotną głupotą pogrążyć całe lata. To przecież nie jest film, w którym musi być zachowana dramaturgia, punkt kulminacyjny i rozwiązanie akcji.

Dopiero kiedy usiedli i Krzyś mógł spojrzeć na jej twarz, zauważył, że jej tu nie ma. Miękki, matowy głos, jakby otulony przyjazną dla ciała materią, szeptał jej do ucha: Czasem, kiedy się kłócimy, łatwo można zapomnieć o wszystkim, co zbudowaliśmy pięknego przez tyle lat. Nie wiadomo skąd, pojawia się nienawiść granicząca z obrzydzeniem i wtedy uświadamiamy sobie, że to wcale nie stało się przed chwilą. Zalewająca umysł fala złości, żalu i niechęci rosła w tobie od dnia, w którym po raz pierwszy poszłaś na niewygodny kompromis, nie powiedziałaś czegoś, co mogłoby okazać się przykre. Każda zduszona drobina gniewu i każdy najmniejszy smutek zjednoczyły się tu i teraz w walce o ciebie. Byś zachowała własną tożsamość i godność, byś była wolna i samowystarczalna. Dlatego właśnie uczucia te są skrajne, gdyż oto przez kilka sekund wyświetlają ci kronikę wszystkich przykrości i upokorzeń, dziennik powszedniego bólu, summę wyrzeczeń i ustępstw. To musi być nienawiść, wstręt i obrzydzenie, bo tylko one dadzą ci złudzenie siły, która pozwoli ci wyrwać się z więzów tego człowieka. Tylko one stworzą kuszący miraż, że sama będziesz szczęśliwa, niezależna, wreszcie pozbawiona cierpiętniczego balastu chorej miłości. I przez jedną chwilę zapala się myśl - podprogowy refleks światła, podobny do błysku wyskakującej z wody ryby w jasny słoneczny poranek

- przez ten jeden moment wierzysz, że ów żaloszny koniec to w rzeczywistości początek czegoś całkowicie nowego. Jesteś czysta, nowo narodzona, niczym tabula rasa czekająca na zapis nowego życia. Wreszcie nadejdzie czas, kiedy znów będzie można cieszyć się absolutną wolnością - robić, co się chce i kiedy się chce, nawet o najbardziej zwariowanych porach umawiać się ze znajomymi, oddać się zaniedbanym pasjom, flirtować, chodzić na randki, spędzać noce w kafejce internetowej i wreszcie nie musieć się spowiadać, ani tłumaczyć, ani myśleć, co zjemy na obiad, bo przecież wcale nie trzeba codziennie jadać obiadów. W ogóle nic nie trzeba. Zaczynasz się sobie dziwić, po co tyle czekałaś? Dlaczego doprowadziłaś do sytuacji, w której to on cię krzywdzi. I znów on udowadnia światu, jakim jest jurnym samcem, atrakcyjnym kaskiem, gwiazdą, do której lgną wszystkie napalone samice. Że też mogłaś być aż tak naiwna i głupia! Zamiast go wysłać do piekła jeszcze wtedy, kiedy uganiał się za tobą, podobny do psa skomlaącego pod płotem płodnej suki. Powinnaś odwrócić się i odejść, gdy nie widział poza tobą świata. Nie dopuścić do chwili, w której będzie leciał za każdą panienką, aby poznać smak obcej kobiety, zanurzyć się w innej cipie, szczypać sutki, znów odczuwać dreszcz, zdobywając nieznanie terytorium, podbijając nową krainę. To nawet nie zazdrość. Prędeż urażona ambicja, podeptana godność. Już nie żal, ale wściekłość i narastająca z każdą minutą nienawiść oraz pogarda. Złość na siebie, że poświęciłaś tyle czasu takiemu dupkowi, nędznemu człowieczkowi. Chcesz to z siebie strząsnąć. Odraza podchodzi ci aż do gardła i marzysz, aby wyrzucić to z siebie, zwymiotować, oczyścić się od środka. I wreszcie to z ciebie wychodzi. Nagły przypływ energii, jakaś potężna siła wypełnia twoje wnętrze. I nagle z samej głębi wydobywasz ohydny, przeraźliwy, oblepiony żalem, upokorzeniem, lecz również świadomością ostatecznego

zwycięstwa krzyk. Ten krzyk rozbrzmiewa dookoła i odbija się donośnym echem. Teraz możesz już biec. Jesteś wolna.

- Czuje się obrzydliwie i nie ma odwagi stanąć z Kaśką twarzą w twarz - skwitowała Ewa po powrocie do obozowiska, kiedy nie znalazła Patrycji ani w namiocie, ani w najbliższej okolicy.

- Nie dziwię się - rzekł Błękit - chociaż z drugiej strony, znamy ją z tyłu numerów, że jeden więcej nikogo już nie zdziwi. Nie zapomnę, jak kilka lat temu na jakiejś imprezie obciągnęła wszystkim facetom. Ustawiali się w kolejce do łazienki, a ona była tak pijana, że nie robiło jej żadnej różnicy, czyjego bierze do buzi. Następnego dnia jakaś dziewczyna, której chłopak też załapał się na darmowe ssanie, nazwała ją dziwką. Wtedy Pati zaczęła się drzeć, że z nich wszystkich ona jest najporządniejsza, bo wciąż jest dziewicą.

- Masakra. - Ewa zachichotała, choć pewnie gdyby należała do grona świadków tej historii, odczułaby dotkliwy niesmak.

- Może i masakra, ale kumple byli zadowoleni. - Błękit znów zgrywał cynicznego pewniaka.

- Oszczędź sobie szczegółów - wtrącił Gruszka. Tego typu męskie pogawędki nigdy go nie interesowały. Nie chodziło bynajmniej o pruderię, ale o czyste poczucie estetyki. Poza tym Pati, niezależnie od świństw, jakie czyniła innym, wciąż pozostawała jego przyjaciółką z podwórka, a to zobowiązywało do lojalności.

Tymczasem uwagę ich trojga przykuł Krzychu w pojedynkę wracający ze spaceru. Szedł krokiem szybkim i zamaszystym i nietrudno było zauważyć, że jest wściekły. Cała jego sylwetka spięła się w tężejącym skurczu, który niczym struna napręzał wszystkie mięśnie i członki. Nogi pracowały mu równo, prawie mechanicznie, dłonie zaciśnięte w pięści wetknął w kieszenie, przycisnąwszy łokcie do ciała. Był sztywny jak kołek i jak ściana blady. Ewa jeszcze nigdy

nie widziała go tak rozjuszonego, nawet Robert, który znał Krzyśka od lat, mógł przysiąc, że ostatni raz widział go równie rozpienionego, kiedy kibole Lecha pobili kumpla z Kenii, który przyjechał do Polski w ramach stypendium naukowego. Wtedy było mu straszliwie głupio. Jak miał wytłumaczyć gościowi, że banda fanatyków skatowała go tylko za to, że miał ciemną skórę? W XXI wieku takich odruchów w cywilizowanym narodzie nie można było tłumaczyć rasizmem. Szczególnie wśród Polaków - niedawnych ofiar nazistowskiego prześladowania w czystej, odhumanizowanej do granic formie. Nie ma gorszych i lepszych kultur, są ludzie, lecz tamtego dnia wszyscy równo nie cierpieli naszej polskiej zaściankowej hipokryzji i pielęgnowanej od wieków sarmackiej ksenofobii. Dobrze, bo polskie. Gówna prawda! Potem Kenijczyk uparł się, żeby jechać na marsz równości do Krakowa i na tym skończyła się jego walka o miejsce dla każdego. Tydzień później wrócił do swojego kraju.

Ale teraz sprawa przedstawiała się inaczej. Teraz Krzychu należał do współwinnych. Choć przyglądając się furii tryskającej z każdego gestu, można było wysnuć przypuszczenie, że Makaron cały świat stawia w stan oskarżenia, sprytnie wyłączając siebie samego.

Wreszcie zatrzymał się przed nimi i przez zaciśnięte zęby wysyczał:

- Gdzie jest ta mała dziwka?!

Dopiero z bliska widać było, jak dygoczą mu ręce, drży podbródek, a posiniałe wargi zacięte są w wykrzywioną cienką kreskę.

- Zabiję tę małą podstępną sukę!

Ewa przezornie odsunęła się o krok. Był żaloszny, obrzydliwy i zarazem straszny. W tej chwili była przekonana, że w dzikim gniewie rzeczywiście mógłby zamordować, a na

co dzień, przy lżejszej irytacji, na pewno lałby swoją żonę. A zatem to może opatrność czuwa nad Kaśką i ów incydent z Pati wcale nie zdarzył się przypadkowo.

- Ej, chłopie, uspokój się. - Robert wkroczył do akcji i jednym szybkim ciosem powalił Makarona na ziemię. - Nie puszcę cię, dopóki się nie uspokoisz - ostrzegł.

Krzychu jeszcze przez chwilę wierzgał nogami, lecz spostrzegłszy tuż nad głową poważne spojrzenia Gruszki i Ewy, dał za wygraną.

- Lepiej gadaj, gdzie podziała się Kasia. - Robert, o dziwo, działał rzeczowo. - Ją już zabiłeś i teraz szukasz nowej ofiary?

- Przestań! - głos Krzycha nieoczekiwanie stał się płaczliwy. - Nie wiem, gdzie jest. Pobieгла. Zostawiła mnie. Rozumiesz?! Zostawiła mnie!

Robert popuścił uścisk i usiadł obok. Nie było już potrzeby go trzymać, bo rozkleił się na dobre.

- Ja ją tak kocham! Ona jest jedyną i najważniejszą osobą w moim życiu. Ja bez niej nie dam rady. Rozumiecie to? - Łkał już jak dzieciak, któremu objawiono, że Święty Mikołaj nie istnieje. - Jak ja będę żył? Ja już nie chcę! To nie ma sensu.

- Nie przesadzaj! Wszystko się jakoś ułoży. W końcu to nie pierwszy raz. Zawsze ci wybaczała, to i teraz wybaczy.

Ewa spojrzała pytająco na Gruszkę, ale on tylko wzruszył ramionami i wykonał jednoznaczny gest, że nie ma ochoty w żaden sposób w tym uczestniczyć. Wreszcie ujął ją za rękę i pociągnął w stronę namiotu. Po tych wszystkich żenujących scenach nie pragnął niczego bardziej, niż położyć się przy niej i mocno ją przytulić. Oni przecież byli inni. Ich ten cały bajzel wypełniony pozorami, hipokryzją, zdradą w żaden sposób nie dotyczył. Uczucie, które ich połączyło, należało do tych wyjątkowych, zdarzających się jednej parze na tysiąc sto lat,

chyba że mowa o sztuce, w której ludzkość od zarania dziejów lokuje swoje największe pragnienia i żądze.

Tymczasem Krzychu już nie szlochał. On histeryzował:

- Dlaczego, Robert? Kurwa, powiedz mi, dlaczego ja to zrobiłem? Ona mi nie wybaczy, rozumiesz? Nie tym razem. Wtedy przymykała oko, bo nikt nie powiedział jej wprost, nie miała stuprocentowej pewności i nie była upokorzona. Nie znasz jej. To już koniec. Boże, ja się zabiję. Co mam robić, Robert?

- Spokojnie. - Błękit próbował grać na zwłokę, bo w końcu co powiedzieć przyjacielowi, który dał ciała na całej linii? - Daj jej trochę czasu. Musi się otrząsnąć.

- Otrząsnąć?! Nie widziałeś jej twarzy! Ona straciła dla mnie cały szacunek. Gdybyś słyszał tę pogardę w jej tonie, a zarazem jakąś cholerną, moralną siłę, jaką dała jej moja zdrada. Kurwa! - Złapał się za głowę i uśmiechnął szyderczo. - Żeby to chociaż była zdrada, żebym miał z tego jakąś przyjemność.

- To pewnie kara za wcześniejsze przyjemności. - Robert wciąż próbował zbagatelizować dramatyzm sytuacji. - W końcu co użyłeś, to twoje, ciepła przystań w ramionach Kaśki pozostawała niezmienna przez lata.

- Bawi cię to, że ją straciłem? Że byłem takim idiotą i nie potrafiłem jej docenić, a nikt z was, facetów, którzy nie mieli tyle szczęścia, nie raczył mnie oświecić? - Krzysztof podniósł się i przyjął postawę bojowej gotowości, na co Błękit odpowiedział tym samym.

- No, no! - Ustawił się w bezpiecznym rozkroku naprzeciwko nabuzowanego Makarona i wyciągnął ręce z kieszeni na wypadek, gdyby trzeba było natychmiastowo reagować. - Nie szukaj winnych dookoła. Spieprzyłeś to na całej linii i finał, ale - dodał łagodniej - nie ma ludzi

niezastąpionych, na szczęście oprócz Kaśki są jeszcze inne kobiety na tym świecie.

No nieźle. Sam nie mógł uwierzyć, że to powiedział. Może to nie on, ale ktoś inny za niego. Ktoś w środku, kto już zdążył się wyzwolić ze wspomnień o Sofii i teraz mimowolnie coraz częściej zwracał się w zupełnie inną, jakże różną stronę? Tak, śniło mu się dzisiaj. Obudził się z niejasnym odczuciem i wizją mglistych obrazów, ale teraz, zupełnie nieoczekiwanie zaczęły się one wypełniać kolorami i konturem - całkiem wyraźnym.

W oślepiającej jasności dostrzegł rysującą się sylwetkę Sofii. Opasana w biodrach barwną chustą kroczyła po stosie nowych kolorowych fotografii. Ich wspólnych fotografii pstrykanych najnowszą cyfrówką Canona, którą rzeczywiście zakupił za pierwszą wypłatę u starego Włocha. Ona, przyklękając, nachylała się nad każdą i gładziła opuszkami palców zastygłe w uśmiechu twarze, które pod jej dotykiem ożywały i powtarzały uwiecznione gesty miłości. Z lśniących i gładkich powierzchni zdjęć bił blask, którego biała gęsta luna przysłoniła cały obraz. Ziarnista mgła pochłaniała Sofię, szczelnie osnuwając wszystko wokół. Zobaczył siebie próbującego tam dotrzeć, przedrzeć się przez mleczne zwoje, ale towarzyszył mu tylko coraz bardziej odległy, głuchy śmiech Sofii i dopiero gdy ucichł, zostawiając po sobie jedynie opadające echo, biel rozrzedziła się, a na stosie porozrzucanych zdjęć wyrosło drzewo - nagie, bezlistne drzewo. Z pustki wyłoniło się blade, szczupłe dziewczę w płóciennej letniej sukience. Sunęła do niego lekko, jakby płynąc, a ujrawszy drzewo bez liści, zatrzymała się, aby pogłaskać jego chude żalonne gałązki. I ona, i drzewo mieli w sobie wyraźną rysę podobieństwa. Zdawali się obnażeni, samotni, nieporadni w swojej cielesności. Niepewność i chwiejność gestów świadczyły o dużej nieśmiałości. Każdy

krok stawiała ostrożnie, badając przestrzeń, w którą została wrzucona, może przez przypadek albo czyjaś pomyłkę. Dopiero kiedy ujrzała stos starych, pożółkłych fotografii, całkowicie dała się pochłonać pamiątkom przeszłości. Drobnymi białymi palcami podnosiła po kolei każde zdjęcie, obramowane charakterystyczną dla dawnych zdjęć koronką i z kolorystyką w tonacji sepii. Przyglądała im się z uwagą i zaciekawieniem, zdmuchując z nich kurz i próbując odnaleźć w niewyraźnych liniach jakieś kształty i postacie. Centymetr po centymetrze z precyzyjnym namaszczeniem badała każdy fragment, aby wreszcie wyciągnąć z kieszeni drewnianą klamrę do bielizny i zawiesić fotografię na nagich ramionach samotnego drzewa. A potem następne, jedno za drugim. Kiedy już odziała każdy konar, nawet najmniejszą gałązkę, spojrzała na swoje dzieło, roześmiała się cicho i wykonała obrót. Jeden, drugi, kolejny. Szemrząca z daleka muzyka poprowadziła ją w tańcu. Fotografie załopotwały na wietrze, a taniec stał się piękny, spontaniczny, rozedrgany emocjami. I śmiech jej przerodził się w śpiew, a śpiew przeobraził się w...

Ech, czy to ważne? Jakież senne widziadła. Po jakiego diabła ulega kiczowatym podszeptom podświadomości? Jego kumpel przeżywa życiowy dramat, w który dość pobieżnie, ale jednak i on jest wmieszany, i zamiast go jakoś z tego wyciągnąć, myśli tylko o sobie. Zamrugał, chcąc przywrócić aktualny obraz rzeczywistości. Krzychu wciąż miał minę przegranego, któremu grunt usuwa się spod nóg. Nie pozostawało nic innego, jak trzepnąć go silnie w ramię i odwrócić uwagę.

- Chodź - Robert poczęstował Krzycha solidnym kuksańcem - bez sensu mazać się jak baba. Najpierw popływamy, a potem będziemy myśleć.

I żeby dłużej nie zwlekać, zarzucił ręcznik na ramię i skierował się w stronę rzeki. Wiedział, że Makaron zaraz go

dogoni, bo tym, czego Krzychu bał się teraz najbardziej, była samotność.

- W tym całym dramacie znalazłam jedno pocieszenie - powiedziała Kaśka - samotność otwiera drzwi do nieznanego jutra.

Ewa znalazła ją nad rzeką. Uśmiechała się. Przez jej smutek, przebijała jakaś wyższa filozofia, którą musiała sobie wypracować przez te kilka godzin. Żeby nie zwariować, nie rzucić się na niego z pięściami albo sobie samej nie zrobić krzywdy.

Podniosła pierwszy lepszy kamień i rzuciła go w toń rzeki, robiąc kaczkę.

- Potrójna. - Uśmiechnęła się, nacierając w dłoni kolejny kamyk.

Ewa poszła jej śladem. Przypomniała sobie scenę z filmu Amelia. Może rzeczywiście kaczki działają uspokajająco? Trzeba się skoncentrować, precyzyjnie zaplanować lot kamienia, w ostatniej nanosekundzie odpowiednio podkreślić, a potem patrzeć, jak po kolei rozpryskują się małe centra wody, wyznaczone przez twardy pocisk.

- Od kiedy pamiętam, byłam z Krzyśkiem. Stanowiliśmy jakąś całość - wspólne studia, mieszkanie, jedzenie, spanie, wyjazdy. Czasem w duchu marzyłam o chwilach bez niego, o niezależności wolnej dziewczyny. Marzyłam o tym, aby nic mnie nie trzymało w jednym czy drugim miejscu. Moje przyjaciółki wyjeżdżały na wakacje albo dziekanki za granicę, skąd wracały odmienione - z nowymi doświadczeniami, energią do działania, potwierdzeniem swojej przedsiębiorczości i atrakcyjności. Pełne świetnych wspomnień, przygodnych znajomości, ekscytujących romansów. A ja zawsze miałam z tym problem. Bo Krzysiek. I oto w ułamku sekundy otwiera się przede mną nowa perspektywa. Wiesz, Ewa? To pewnie głupie. Ale moje rozczarowanie wypiera nieokreślone podniecenie. Znow nie

wiem, co mnie czeka jutro. Znów mogę być otwarta na innych. Czuję, jakbym zaczynała nowe życie.

- Zaczynasz. - Ewa niepewna, czy powinna wykonać jakiś śmiały ciepły gest, położyła jej rękę na ramieniu. - On nie był ciębie wart.

- Nie wiem, czy jakikolwiek facet wart jest kobiecej miłości i poświęcenia - parsknęła Kaśka i zaraz dodała ze znaczącym uśmiechem: - Z wyjątkiem Gruszki oczywiście.

Ewa wykonała nieokreślony ruch ręką.

- Daj spokój. Nie wiem, czy cokolwiek z tego będzie. Rzeczywiście jest dobrym, cudownym chłopakiem, ale chyba nie jest facetem dla mnie.

- Chyba wiem, o czym myślisz. Czyżby nie było tej chemii, która sprawia, że masz na faceta ochotę?

- Skąd wiesz?! - Ewie rozszerzyły się oczy ze zdziwienia.

- Ten typ. Wszystkie dziewczyny traktują go jak brata. Jest cudowny, ale nie dla mnie. Wiesz, ile tak mówiło?

- Naprawdę? Ale ja nie wiem, na czym to polega. Przystojny, ciepły, opiekuńczy, imponuje mi chyba we wszystkich dziedzinach, a jednak nie mogę. Przytulić się - tak, ale coś więcej?

- Znasz receptę na bycie kochanym? Myśl tylko o sobie, kochaj tylko siebie, bądź dumny, niezależny, niszczone uczucia innych, nie obiecuj i nie żądaj obietnic.

Ewa nie mogła powstrzymać się od kpiącego wyrazu twarzy.

- Rzeczywiście brzmi obiecująco - zadrwiła.

- Wiem, ale taka jest prawda. Za ludźmi kotami zawsze gonią oddani im, ufni i kochający ludzie psy. Ja to wiem najlepiej, bo sama byłam takim psem gończym, któremu wydawało się, że dostanie kiedyś kość za swoją bezgraniczną miłość. Nie łudź się. Im wcześniej to zrozumiesz, tym lepiej dla ciebie.

- Udało się. - Ewa klasnęła w dłonie, kiedy jej kaczuszka zrobiła czwarty plusk i na dobre utonęła w odmętach.

- Szybko się uczysz. - Kaśka uniosła brew na dowód prawdziwego uznania i chuchnąwszy na swój kamień, posłała go równie imponująco na dno rzeki. - Chyba czas na nas, co? Nie chcę, żeby mój eks nadszarpnął sobie zdrowie, drżąc z niepokoju o mój los.

Gruszka z Robertem gadali przy świeżo rozpalonym ognisku o filmach, podniecając się efektami specjalnymi w Final Fantasy i powieściami Banksa. Kiedy tworzyli zgrany duet, można by ich stopić w jednego mężczyznę i istniała szansa, że zlepek szorstkości i ciepła, męskości i chłopięcości, seksualności i braterstwa stanowiłby ideał kobiecych fantazji. Niestety byli dwójką odrębnych istot i Ewa, spoglądając na nich z daleka, nie wiedziała, który z nich pociąga ją bardziej. Chociaż wcale nie. Oszukiwała się. Wiedziała. Od pewnego czasu. Jednak jakaś rozsądniejsza część jej duszy wciąż jeszcze walczyła o pozycję Gruszki w tym sfingowanym rankingu. Prawdopodobnie nadaremnie. Jej uczucia do Gruszki rozwijały się odwrotnie proporcjonalnie do jego zaangażowania. Pewnie gdyby nie okazywał jej na każdym kroku całkowitego oddania i uwielbienia, miałby większe szanse. Ale poczciwy chłopak otworzył się jak książka, z której każdy może wyczytać, co się mieści w samym sercu. Tymczasem Robert stanowił dla niej kuszącą zagadkę. Bezwiednie odsunęła od siebie pogrążające go opowieści Kratki oraz misję, którą powierzyła jej przyjaciółka, i niemalże całkowicie zaufała hormonom, prowadzącym ją wprost w jego ramiona. Na razie co prawda tylko na poziomie marzeń.

- Jesteś! - Robert szczerze się ucieszył na widok Kaśki. Niesprecyzowane wyrzuty sumienia, podobne do naprzykrzającego się bachora, dręczyły go trochę. - Chodź i

się przytul. - Rozłożył ręce i zachęcił ją, aby podeszła, robiąc przy tym minę zatroskanego tatusia.

- Dziękuję bardzo! Na razie mam alergię na męskie pierwiastki. Niech wszyscy faceci spadają na drzewo. Z wyjątkiem Gruszki, oczywiście.

Podeszła do Gruszki, zmierzwiła mu czuprynę i śmiejąc się lekko teatralnym chichotem, poszła po sweter, gdyż chłód nadciągającego zmierzchu zaczynał już doskwierać nieosłoniętym ramionom. Reszta popatrzyła na siebie ze zdziwieniem i usadowiła się wygodniej przy ognisku. Ewa, wcisnąwszy się między Błękitą i Gruszkę, brutalnie ucięła pasjonującą dyskusję. Zapadła cisza, na tyle przyjemna, aby posłuchać trzasków gałęzi smaganych przez rozniecające się jęzory ognia. Chwilę później dołączyła do nich Kaśka. Usiadła po turecku, wzięła patyk i zajęła się grzebaniem w ziemi. Nikt się nie odzywał. Robert zastygł w bezruchu. Gruszka owijał sobie wokół palców kosmyki Ewinych włosów, co chwila całując jej odsłonięty kark. Ewa niby od niechcienia trzymała dłoń w połowie spoczywającą na udzie Błękity, a drugą odwzajemniała Gruszkowe pieszczoty (to się nazywa podzielna uwaga!), a Kaśkę nadal pochłaniało rysowanie na piasku.

Mrok przycupnął tuż za ich plecami, nad głowami zawisło ciężkie, złotawo rozświetlone niebo, chłodził się nagrany brzuch ziemi. I parował. Suknie ulotnych mgieł roztańczyły się w głuchej czerni, zahuczały pierwsze sowy, zagrał świerszcz. Nadeszła noc i objęła swoją wartę.

- Słuchajcie, w sumie to mnie nie powinno obchodzić, ale gdzie jest Pati? - Kaśka wreszcie oderwała się od znużonego kreślenia abstrakcyjnych wzorów. - Nie ma jej od południa.

- No właśnie - zaczął Błękit. - Szukaliśmy jej z Gruszką kilka godzin, ale zgodnie doszliśmy do wniosku, że nie przewrócimy okolicy do góry nogami. Jak ją znam, siedzi

teraz kilka metrów za nami i dobrze się bawi. Zgłodnieje, to wróci. Tak zawsze mawiała moja babcia i sprawdzało się.

- Nie jestem taka pewna. - Ewa zawahała się. - Pamiętaj: jesteśmy na końcu świata. Jaką masz pewność, że nie grasują to jakieś dzikie zwierzęta?

- O to się nie bój. To raczej ona jest groźna dla otoczenia. Ale tak serio, macie jakieś propozycje?

- Trochę też się o nią niepokoję - przyznał Gruszka, odrywając się na chwilę od całowania Ewki. - Krzychu poszedł do wioski, ale ona? Myślisz, że marznie gdzieś w lesie? Może się zgubiła?

- Wiecie co? - Ewa obudziła się. - Zobaczmy, co ze sobą wzięła. Będziemy wiedzieli, czy zamierzała się zaszyć w tej głuszy.

Razem z nią poderwała się i Kaśka.

- Kto ma latarkę? Dajcie!

Od dziecka marzyła, aby wcielić się akurat w ten schemat. Być kochanką. Niezależną, samowystarczalną, przepelnioną tajemnicą, której nigdy nie będą posiadać żony. Chciała budzić w mężczyznach pasję i pożądanie. Odrzucać jednych, aby polować na następnych. Ta rola zawsze wydawała jej się najbardziej atrakcyjna. Uwielbiała identyfikować się ze znanymi uwodzicielkami - blond spryciarą z Nagiego instynktu, Zosią z kiczowatych Zakochanych, Kate ze spektaklu Namiętność, który widziała kiedyś w Teatrze Nowym. I chociaż grająca tam rolę modliszki Krukówna ciągle kojarzyła jej się z małą brzydką Janką, to postać sama w sobie imponowała. Z satysfakcją spoglądała potem na powiędłe twarze innych kobiet, kiedy opadła kurtyna i zapalono światła. Niewiele z nich miało tego dnia udany wieczór. Zasiano w nich niepokój odważną teorią, że wszyscy zdradzają. A skoro tak, kochanka staje się jedyną, która wychodzi z twarzą. Jej się nie okłamuje ani nie upokarza. Z kochanką gra się w otwarte karty, do kochanki się wraca.

Szczękając zębami i drżąc z zimna, włożyła kolejny sweter, na który zarzuciła śpiwór, aby się nim szczelnie owinać. Wszystko już było wilgotne i ciężkie. W okolicznych domach powoli gasły światła, ujadały tylko psy, a ich szczekanie niosło się daleko i odbijało groźnym pogłosem od czarnej ściany zgęstniałej nocy. Oparła się o płot i skuliła mocno, żeby zatrzymać w sobie choć trochę ciepła. Gałęzie rozłożystego iglaka stanowiły schronienie, ale jednocześnie dręczyły ją, wciskając swoje kłujące wici w każdą wolną szczelinę.

Oczywiście zdawała sobie sprawę, że życie etatowej kochanki posiada i ciemne strony - wciąż bycie tą drugą, samotność, brak rodziny - lecz mimo to instynktownie czuła, że tylko tak osiągnie spełnienie. Póki była młoda, dynamiczna,

póty nic jej nie groziło. A na myślenie o starości miała jeszcze czas. Teraz należało się bawić i doskonalić sztukę korzystania ze wszystkich uroków życia. Przecież zawsze marzyła, aby być stuprocentową hedonistką. I oto ku własnemu zaskoczeniu prześcignęła swój ideał. Eliminowała wszystko, co może przeszkodzić w dążeniu do przyjemności. Osiągnęła taki perfekcjonizm w cynizmie, wyrachowaniu i uwodzeniu (o opornym Gruszcze na chwilę zapomnijmy), że z przerażeniem odkryła, jak bardzo jej psychika jest spustoszona. Wypaliła się w niej zwykła przyzwoitość, współodczuwanie, umiejętność bycia z drugim człowiekiem. Nie szanowała innych, deptała ludzką godność, nie przyświecały jej żadne zasady, z wyjątkiem jednej - nie wypadać z gry. Gry, w której reguły należało dostosowywać do sytuacji. Ona była elastyczna. Bardzo.

Autobus do najbliższej cywilizacji odchodził dopiero jutro. Na myśl o tym, że spędzi noc w lesie, oblewał ją zimny pot i ogarniał dreszcz przerażenia. Gotowa była wrócić do obozowiska, aby kajać się przed każdym z osobna. Wiedziała jednak, że taka kapitulacja oznaczałaby jej sromotną porażkę na długie lata, w szerokim gronie. Już widziała ich miny - Kaśki, która zaraz odzyskałaby rezon i znów wiodła prym w grupie, tej dziwnej Ewki, bo może gdyby nie ona, to wcale by się tak nie potoczyło, nierozumiejącego nic Gruszki i cynicznego Błękita z wszystkowiedzącym uśmiechem i satysfakcją, że jemu też sama wlaźła do łóżka. Żeby jeszcze do łóżka! Dała mu dupy na ziemi, uwalala się piachem, tylko po to, by ją zerznął. Nawet się cham nie zdobył na rewanż. Boże, jak ona ich nienawidziła. Przecież to zło oni wygenerowali. Była ich tworem. Sprawiali, że wszystko, co w niej plugawe, wypluwało na światło dzienne. Nie mogła inaczej, skoro Gruszka nie raczył zwracać na nią uwagi, Ewka drażniąco obnosiła się z tymi skośnymi oczami i niewinną

twarzyczką, Kaśka z Krzyśkiem zajmowali się tylko obwieszczaniem całemu światu, jak bardzo się kochają. Czy zostawała dla niej inna rola? A może miała być marną kopią któregoś z nich? Robert był draniem. Wszyscy to wiedzieli i w jakiś sposób akceptowali. Dziewczyny do niego lgnęły. Ona była tylko jego kobiecym odpowiednikiem. Modliszką, suką, femme fatale. I za to została wyklęta. Jemu można było. Jej nie. Dlatego nie wróci do nich, choćby miała tu zdechnąć, rozszarpana przez dzikie zwierzęta, zgwałcona przez ukraińskich chłopów, unicestwiona jakkolwiek. Przez nich. Przez swoich przyjaciół.

Dlatego zaraz po zmroku zakradła się do jednego z ogrodów i tam postanowiła spędzić noc. Najgorszą noc w całym swoim życiu, noc, podczas której nie zmrzy oka, przemarznie do szpiku kości i będzie tylko patrzeć, jak wszystkie jej dotychczasowe doświadczenia przesuwać się będą kolejno w pamięci. Tak jakby miała za chwilę umrzeć i robiła rachunek sumienia. Na szczęście tylko na własny użytek. Jej Bóg, zlepek wszystkich kultur plus twór czystej wyobraźni, nie był sędzią, nie rozliczał. Życie to esencja, twierdził, którą należy wycisnąć. Im mocniej, tym lepiej, nawet jeśli naruszy się przy tym moralne reguły, które są przecież wskazówką dla ubogich. Dla niej nie.

W najbliższym domu przygasła ostatnia lampa. Poszli spać. Wreszcie można się ruszyć. Byle dotrzeć do świtu. O świcie pójdzie nad rzekę, aby się umyć i przygotować do podróży. Wstała, poprawiła ułożenie plecaka, na którym umościła sobie zagłówek, zwinęła się w kłębek i zamknęła oczy. Boże, jak dobrze, że jest czas. Czas nigdy się nie leni. Idzie do przodu. To on zaprowadzi ją do jutra, które będzie lepsze niż ten przeklęty miniony dzień i trwająca noc. Zaprowadzi ją również do chwili, kiedy stanie w progu domu, zrzuci cały balast i zanurzy się w gorącej wodzie z górami

lekkiej jak chmura piany. Zmyje z siebie kurz, pot i całe obrzydzenie tej wyprawy. Będzie szorować każdy milimetr ciała, myć pojedynczo włos po włosie. I dopiero gdy narodzi się na nowo, oczyści całkowicie, wówczas wyjdzie z wanny, ubierze się w najlepszą sukienkę, zadzwoni do najbardziej żarliwego adoratora i pójdzie z nim na kolację, gdzie zgiełk cywilizacji i pyszne jedzenie zagłuszą ostatnie resztki wspomnień. Góry przestaną istnieć. Będą koszmarem, z którego się wybudzi i wraz z brzaskiem zapomni. Sekcja też pójdzie w zapomnienie. Wymaże z notesu kilka nazwisk i telefonów, a miasto jest na tyle duże, że co najwyżej miną się gdzieś na ulicy. Jak przypadkowi przechodnie, zupełnie sobie obcy sąsiedzi. Zacznie żyć od nowa. Nie wie jeszcze jak. Może inaczej niż dotąd? Może znajdzie prawdziwą przyjaciółkę, z którą będzie mogła w duecie podbijać świat? A może nie będzie nic podbijać? Zakocha się i zatone w jednych ramionach na wieki? Boże, co za bzdury! Do domu! Do domu! Do domu!

Gdziekolwiek ów dom jest. Cokolwiek kryje się pod tym słowem. Niech będzie ciepło, przytulnie i bezpiecznie. Tak, żeby móc zamknąć oczy i nie myśleć o niczym. Tak, żeby świat zapadł się w sobie, został wessany przez nicość i tylko sen, czyste trwanie zawłaszczyło ją w swoje objęcia. Dom to miejsce, gdzie dusza rozbiera się do naga. Dom to miejsce, gdzie można zdjąć maskę i dać się domowi pogłaskać po policzku. Dom kołysze do snu. Dom nie ocenia, nie rozlicza, dom kocha bezwarunkowo i bezinteresownie. Tylko dom tak kocha. Jeśli jest prawdziwym domem.

Zaciągnęła się głębokim świszczącym oddechem. Patrycja spała. Śnił się jej prawdziwy dom.

- „Niech was szlag prowadzi”. Tak napisała. Gruszka szukał jeszcze innych wskazówek, ale była tylko ta kartka.

- Ślicznie nas pożegnała - zauważyła Kaśka.

- I chyba pożegnała nas definitywnie, bo nie ma żadnych jej rzeczy.

- To właśnie znaczy, że niedefinitywnie. - Robert uniósł znacząco brew. - Gdyby szła się zabić, nie pakowałaby plecaka.

- Przestań! Darowałbyś sobie te niesmaczne żarty!

- Może jeszcze nie zdążyła wyjechać? - Gruszka zastanawiał się głośno. - Może jutro mamy szansę ją dogonić. Jak myślicie?

- Niezależnie, czy ją dorwiemy tu czy w Polsce, chyba czas już wracać. - Kaśka starała się nie mówić emocjonalnie. - Wystarczająco dużo się stało i nie ma powodu, abyśmy dłużej mieli być na siebie skazani.

- Czy wszyscy tak uważają? - zapytał Krzychu, który podchmielony dopiero co wrócił ze wsi. Cholernie nie lubił, kiedy jego sprawy stawały się kwestiami publicznymi.

W pełnym zgody milczeniu skinęto głowami. I jakby powietrze się oczyściło i zrobiło się znacznie lżej. Czy to świadomość rychłego powrotu do domu, czy ulga, że już niedługo nie będą przymusowymi kompanami, a może tysiące planów na pierwsze dni po powrocie sprawiły, że powrócono do ogniska w znacznie lepszym nastroju.

Krzychu zajął się dokładaniem do ognia, który już zdążył się wypalić i teraz był tylko kopcem czerwonego żaru. Wkładał w łamanie gałęzi pełną siłę i energię, której nie było na co spożytkować. Nie chciał myśleć. Mógł się zajmować wszystkim, byle tylko zagłuszyć tę dudniącą ciszę w środku. Nie patrzył na Kaśkę, choć ona spoglądała na niego częściej niż inni.

Gruszka zastanawiał się, co pokaże Wiewióreczce, kiedy zaprosi ją do siebie. Nie mógł się doczekać chwili, gdy ona weźmie w swoje smukłe palce jego lalki. Gdy dopieści je tym tajemniczym i przenikliwym spojrzeniem. Chciałby jej którąś z nich ofiarować. Ale którą? Wiadomo, że najukochańszą, lecz każdą z nich kochał na swój sposób. Były jego dziełami, tworamami jego rąk i wyobraźni. Z kawałka drewna i materiału przeistaczały się w żyjące istoty. Nie mógł bez nich żyć, tak jak nie mógł żyć bez Ewy. Wiedział to od chwili pierwszej rozmowy, magnetycznego spotkania oczu i przypadkowego dotyku. W Ewie odżyła i zmaterializowała się Ameli, jego pierwsza poważna miłość. Ewa była klamrą spinającą bolesną przeszłość i pełną nadziei przyszłość. W Ewie spotkały się wszystkie kobiety, które znał, wszystkie jego wspomnienia. Ewa była w nim od zawsze i on od zawsze był w niej. Tak czuł. Wszystko, czego doświadczył i co przeżył dotychczas, było Ewą, a teraz nadeszła chwila, że Ewa przybrała kobiecą postać, niespodziewanie wyrosła przed nim, aby się nią zaopiekował i ofiarował jej swoją miłość.

Objął ją najmocniej jak potrafił i wtulił się w jej plecy. Miała najzgrabniejsze plecy pod słońcem, takie szczupłe, odrobinę przygarbione, jakby się bała życia. Ale przy nim już niczego nie będzie musiała się bać. On ją ochroni. Stworzy jej nowy świat, który odgrodzi potężnym i mocnym murem od świata zła, nienawiści i zdrady. Przykładając ucho do lewej łopatki kochanych pleców, słyszał bicie serca. Biło równo, miarowo i spokojnie. Zupełnie tak samo jak jego własne. To dlatego, że ich miłość dawała im obojgu poczucie bezpieczeństwa, harmonię i azyl. Od wszelkiego zła.

- Dobranoc - Kaśka przerwała ciszę. - Padam z nóg.

Wstała, podciągnęła poncho, aby się nim ciasno otulić, i udała się w stronę namiotu. Chciała już spać. Żeby było już jutro, żeby był dzień. Noc nie sprzyja nieszczęśliwym i

samotnym. Nocą wszystko nabiera groźniejszych kształtów. Nocą budzą się lęki. Noc otula tylko kochanków. Dla innych jest zimną i bezwzględną macochą. Czarną siostrą Królowej Śniegu.

- Gruszka, chodź ze mną po chrust - odezwał się Krzychu, wrzuciwszy do ognia ostatnią partię drewna. Musiał go oderwać od Ewy, bo patrzenie na ich czułości wzmogło u niego mdłości i wstręt. Ale Gruszka się ociągał.

- A Błękit nie może?

- Ciebie proszę, nie Roberta. No dawaj! Rusz się!

- Idę, idę.

Ledwo zniknęli w ciemnościach, Błękit ocknął się.

- O co chodziło Krzychowi? Co on taki nabuzowany?

- O nic. Ciężko mu. - Ewa przysiadła się do Roberta, tak że stykali się ramionami. - Wie, że na Gruszcze będzie mógł się powyżywać i on nie powie mu „spadaj”. A z tobą nie chciał, żebyś nie wysłał go do stu diabłów.

- No wiesz? Za kogo wy mnie macie?

- Za drania, draniu! - Ewa roześmiała się i szczypnęła go w ucho. Czulej, niż powinna.

Nie był zaskoczony. Wyciągnął dłoń i otworzył ją zapraszająco. Nie mogła się oprzeć. Wsunęła tam swoją, dużo mniejszą od jego dłoni. Smukłą i kruchą w porównaniu z jego masywną męską łapą. Nic więcej się nie działo. Patrzyli oboje w ogień, który wił się i skomlał, pożerając drobne gałązki i spopielając łapczywymi kęsami grube pnie. Ich dłonie zdawały się istnieć osobno, prowadziły własne życie. Poza nimi byli nieporuszeni niczym dwa posągi. Zastygli, jakby się bali utracić tę chwilę, zakłócić przebłysk zgody, nieoczekiwaną harmonię. Byli od siebie daleko. Jedynie ich ramiona stanowiły most łączący odrębne ciała, obce sobie światy. Ich marzenia dryfowały po innych galaktykach przeżyć i oczekiwań. Łączyły ich tylko dłonie. A myśli? Ewa

wiedziała, czego chce. Robert też wiedział. Pytanie tylko, czy ich wizje tuliły się do siebie, ocierały się brzegami czy szymbowały w zupełnie odmiennych kierunkach.

Jakie przyjemne, podniecające i nasycone erotyzmem może być zwykle penetrowanie opuszkami palców wnętrza cudzej dłoni, tropienie linii papilarnych, gładzenie przezroczystej skóry nadgarstka. Im bardziej subtelny dotyk, tym silniejsze igielki pożądania, które rozbiegają się po całym ciele, podobne do baletnic czule podrygujących na czubkach naprężonych stóp. I splecione ze sobą palce, zaciskające się mocniej i słabiej, wędrujące co jakiś czas do serca dłoni, do jądra, gdzie można nadać komunikat o swoich pragnieniach oraz intencjach. Delikatnym pocieraniem, naciskaniem, drażnieniem złożyć bardziej wymowną propozycję niż tysiącem wypowiedzianych słów, które w takich sytuacjach brzmią zwykle głupio i niezdarnie.

W chwili, kiedy usłyszeli pierwszy łomot, zwiastujący rychłe przybycie Krzycha i Gruszki, zdążyli już złożyć sobie propozycje i teraz odskoczyli od siebie w porę, by zająć się jakąś pozornie interesującą rozmową.

- Wiecie co? - wydyszał Gruszka, rzucając na ziemię stos suchych konarów. - Jak dotrzemy do jakiejś europejskiej cywilizacji, to najpierw pójde na wielką pizzę, potem na kebab, a na końcu skuszę się nawet na to ścierwo z McDonalda. Rany, jaką mam ochotę na fast fooda.

- I zimną colę - dodał Krzychu, który dołączył z lekkim opóźnieniem, ale widać, że kulinarne tematy towarzyszyły im od dłuższego czasu.

- A ja - rozmarzyła się Ewa - pójde do Empiku i kupię stos nowości wydawniczych. Zasyję się w domu i będę czytać.

- A ja - Błękit przysunął się do ognia tak, aby tylko kątem oka patrzeć na Ewę - wsiądę na rower, odwiedzę wszystkich

znajomych i z każdym obalę butelkę pysznego zimnego browca.

- A ja - podjął wątek Gruszka - przywitam się z moimi marionetkami i spędzę cały tydzień w pracowni, rzeźbiąc kolejną. Będzie miała twoje oczy, Ewinku.

Pogładził Ewę po głowie, odgarnął jej grzywkę z powiek i ucałował w oko. Najpierw prawe, a potem lewe. Odsunęła go lekko od siebie. Zrzucił to na karb jej nieśmiałości i niechęci do czułości przy obcych, a to rozczuliło go jeszcze bardziej.

- A ja... - Krzychu też chciał zaistnieć jakoś w tej licytacji. - Co ja zrobię po powrocie?

Wzrok całej czwórki spoczął na trzaskającym ogniu. Odpowiedziało mu pełne konsternacji milczenie.

Suwaki śpiworów zgrzytnęły. Gruszka przyciągnął do siebie Ewę i przylgnął do jej pleców. Spanie z dziewczyną „na krzeselko” albo „na łyżeczkę” wydawało mu się najpiękniejszym ułożeniem ciał. Tak sypiają ze sobą ludzie naprawdę bliscy, oddani sobie, obdarzający się zaufaniem. Odszukał ulubioną kosteczkę na Ewinym karku, musnął ją subtelnym pocałunkiem, po czym wtulił twarz w gąszcz pachnących ogniskiem rozrzuconych włosów. Miał świra na ich punkcie i mógłby spędzić całą noc na obcałowywaniu każdego pojedynczego włosa z osobna, lecz zanim zdążył o tym pomyśleć, jego ciało zwiotczało, zrobiło się ciężkie i pociągnęło go mocno ku ziemi. Ewa zamknęła oczy, ale wiedziała, że nie przyjdzie jej łatwo zasnąć. Była zbyt pobudzona. Nie minęło kilka chwil, a już na jej szyi osiadł równy oddech Gruszki. Przy ognisku został Robert i Krzychu. Krzychu chyba się mocno rozkleił, bo słyhać było podniesiony głos Błękita:

- Facet, weź się w garść. Schrzanileś to na maksa, ale każdemu się zdarza. To ludzkie. Może ci wybaczy, może nie. Ale twój kurs powinien być niezależny. To nie Kaśka dmucha w twoje żagle, ale ty. Ty sam. Kobiety mają tę tendencję, że tylko przepływają przez nasze życie. Przychodzą i odchodzą. Nie należy się do nich przywiązywać. To oczywiście trudne, ale po moim romansie z Sofią zrozumiałem, że to najwłaściwsza filozofia. Spójrz na to z innej strony. Masz jedno życie, wokół tyle cudownych kobiet - brunetki, blondynki, o ciałach wiotkich jak modelki lub kształtach apetycznych niczym ciastko z kremem, intelektualistki, romantyczki, feministki, lolitki. Do wyboru do koloru. A zatem smakuj, rozkoszuj się, poznawaj, zgłębiaj, czerp radość z różnorodności doznań, jakie przynosi każda z nich.

Mówił tylko Robert. Ewa wsparła się na łokciach i nieznacznie odchyliła połą namiotu, aby lepiej słyszeć. Wypowiedź Roberta podniecała ją i boleśnie kłuła, intrygowała i budziła irytację, lecz to, co zwyciężało, nazywało się niezmierną ciekawością, którą mężczyźni określają jako zwykłą babską ciekawość.

- Kaśka jest fajną dziewczyną pełną wigoru i werwy, ale to nie czas, chłopie, żeby się wiązać na całe życie. Kobiety się emancypują. Są niezależne, przedsiębiorcze, otwarcie wyrażają swoje potrzeby, same inicjują seks. Nasi ojcowie wiele by dali, żeby żyć w tych czasach. A nam pozostaje z tego korzystać, a nie zamykać się w domu z jedną babą, pieluchami i gazetą codzienną. To model skończony. Teraz trzeba inaczej - chwytaj dzień, oddawaj się pasjom, dbaj o to, aby zarówno poziom adrenaliny, jak i alkoholu nie spadał za bardzo. A wtedy kobiety będą do ciebie lgnąć. A ty je bierz i ciesz się nimi. One mają ci urozmaicać życie, a nie być przyczyną bólu i cierpienia. A jak potrzebujesz ciepła, to spraw sobie kota. Albo nie. Lepiej psa. Żadna baba ci się bardziej nie odda niż pies. No, nie krzyw się. Naprawdę. Nie słyszałeś o psach, które przemierzają tysiące kilometrów wiedzione tęsknotą za panem? Albo kładą się na grobie swojego właściciela, aby tam umrzeć? Słyszałeś, żeby jakkolwiek kobieta tak postąpiła? Może z wyjątkiem bohaterki literackiej wychodzącej spod męskiego pióra i będących projekcją naszych marzeń i pragnień.

Powinna się wkurzyć, ale czuła, że to ją podnieca, że fala gorąca napływa jej do podbrzusza. Być jego kochanką. To najpierw. A potem sprawić, że ta jego pieprzona szowinistyczna teoria runie, że się zakocha i straci głowę. To było prawdziwe wyzwanie.

- Wiesz co, stary - odezwał się wreszcie Krzychu - obaj wiemy, że pierdolisz i że wcale tak nie myślisz. Masz ochotę

na taką pozę, proszę bardzo, ale to tylko gra. A w życiu nie chodzi o teatr, ale o prawdę. Dzięki za dobre rady. Idę spać.

Zwinął karimatę, włożył pod pachę śpiwór i chwiejnym krokiem udał się na spoczynek.

- Z Bogiem. Ja zostaję - odpowiedział po czasie Robert, dorzucił drewna do ogniska i przysunął się tak blisko, aby ciepło płomienia rozgrzało go i uśpiło. Też już nie miał ochoty na gadanie. Niech już będzie jutro, niech wrócą wreszcie z tej dziwnej poplątanej wyprawy.

Ewa odsunęła się od wejścia namiotu i pospiesznie zawięła w śpiwór. Krzychu wgramolił się ociężale do środka. Śmierdziało od niego alkoholem. Przewróciła się na brzuch, ale on, gdy już wykończył wszystkie piwa przyniesione z wioski i był lekko wstawiony, wcale nie kwapił się do tego, aby wreszcie zastygnąć w bezruchu. Wręcz przeciwnie. Nie chcąc zbudzić Kaśki, szukał wszystkiego po omacku. Dudnił menażkami, kubkami i wściekał się, że nie może znaleźć skarpet. A noc nie należała do najcieplejszych.

- Zapal tę latarkę. Będzie szybciej - wyszeptała Ewa, nie mogąc dłużej znieść jego nerwowej szamotaniny i kurw cedzonych przez zęby.

- Nie widzisz, że Kasia śpi? Nie mogę jej zbudzić. - Odchrząknął, zakłopotany własną troską, i powrócił do przerzucania zawartości plecaka. - Do kurwy nędzy! Sweter, podkoszulki, szczoteczka do zębów, kubek. Wszystko jest z wyjątkiem skarpet. Ja pierdołę, chyba w dupie jest jaśniej. Nic nie widzę.

- Zapal tę latarkę i przestań się pieklić!

Ewa była wściekła. Nie z powodu hałasu, jaki robił, ale dlatego, że przerwał bardzo interesującą rozmowę. To tak, jakby wyłączyć film w kulminacyjnym momencie, kiedy chłonie się każde słowo, śledzi i rejestruje najdrobniejszy grymas i gest.

- Chyba powiedziałem, że nie będę jej budził. - Krzychu robił się agresywny. - Jakbyś nie wiedziała, to ja ją kocham.

- Udowodniłeś to wczoraj - zadrwiła przesadnie gorzko Ewa, po czym zsunęła śpiwór i zaczęła szukać butów. - Kiedy się położysz i uspokoisz, to wrócę. Jakoś nie mam ochoty na towarzystwo pijanego histeryka - oświadczyła surowo. I wyszła z namiotu w czarną, prawie mroźną noc.

Robert leżał na wznak przy ognisku i miał zamknięte oczy. Ponad nim strzelały iskry, jeszcze wyżej zwisały zmrużone oczy gwiazd. Księżyc ze stoickim spokojem ciął niebo - równo, spokojnie, miarowo. Ustała szamotanina w namiocie i równe, ciche oddechy głąskały teraz wnętrze tropiku. Ewa stanęła poza zasięgiem bijącego od ognia blasku i przyglądała się Robertowi. Trwał nieporuszony. Muskularne ramiona skrzyżował na piersi, ugiął nogi w kolanach, a głowę wtulił w tułów jak śpiący ptak, z którego uleciała drapieżność. Wciąż jednak pozostawał męski aż do granic kobiecej wytrzymałości. Wobec tej mieszanki arogancji, nonszalancji, dowcipu i inteligencji nie można było pozostać obojętną. Niezależnie od emocji, jakie wzbudzał w dziewczynach, Ewa dałaby głowę, że każdej z nich musiała chociaż przemknąć przez myśl nasycona pożądaniem fantazja z nim w roli głównej. Nie było siły. Ani rady. Miał w sobie to pieprzone coś, co sprawia, że kobiety tracą rozum. Ewa, stojąc ciągle w tym samym miejscu, poczuła łaskotanie w podbrzuszu, a potem ściskanie w dołku. Podeszła w krąg światła, stanęła nad nim i usłyszała swój głos:

- Coś ty mu zrobił? Wszedł do namiotu, kipiąc z wściekłości!

Błękit niespiesznie otworzył oczy, patrzył chwilę w milczeniu w pustą przestrzeń, po czym przybrał znudzony grymas i rzekł:

- Nie gadajmy już o nim. Chcesz się dosiąść?

- A nie przeszkadzam?

- Nie rzucam propozycji, kiedy nie mam na coś ochoty - zadrwił, ale czule, po czym wsparł się na łokciach i dłonią wskazał jej miejsce obok siebie.

Usiadła niepewnie, trochę zakłopotana, ale tym razem on przejął inicjatywę. Objął ją lekko w pasie i uśmiechnął się zachęcająco i naturalnie.

- Nie bój się, Ruda, nie zjem cię.

Skinęła głową. Byle prysła pierwsza bańka onieśmienia. Na razie linię ich oczu krzyżował płomień, który tylko pozornie koncentrował na sobie uwagę. Dopiero ręce, niby oderwane od ciała, umysłu, bezwiednie przemierzające drogę, aby się spotkać, pierwsze przełamały barierę i splotły się w mocnym niespokojnym uścisku. Oprócz dłoni wciąż byli osobno. Zamknięci w skorupie własnego świata, która chroni, daje poczucie bezpieczeństwa. Niechętni, aby zrzucić pancerz, stanąć twarzą w twarz z ryzykiem, podjąć wyzwanie i pokazać miękki, bezbronny brzusek. I choć czasem w skorupie aż gotuje się od namiętności, trudno się na to odważyć. Łatwiej czekać. Ale Ewa nie mogła już czekać - wnętrzności przewracały się na drugą stronę, nasilało się łaskotanie poniżej pępka, serce podchodziło do zaciśniętego niewidzialną pętlą gardła. Dziś albo nigdy.

Odwróciła się tak, aby znaleźć się naprzeciw niego. Twarz w twarz, oczy zielone, skośne kontra duże, szare, okolone cięciami czasu. To mogło trwać ułamki sekund, nie dłużej, bo wówczas wkroczyłoby między nich zmieszanie - przykra bogini wroga wszystkiemu, co spontaniczne i nowo narodzone. Aby nie spanikować, należało iść dalej. Ewa oparła wolną rękę na jego udzie i mocno zacisnęła palce. Drgnął. Ona w środku telepała się już od dawna. Coś zwijało się i rozwijało dookoła żołądka, kołysało na wątrobie, skakało wzdłuż przełyku. Poniżej pępka harcowała przyjemność.

Musnął ustami gładkie, piegowate czoło. Jej skośne oczy były zamglone niemalże dziewczym speszaniem. Schowała głowę w jego ramionach. Zamknęła oczy i uniosła podbródek.

Ogień rzucił linię światła, oblewając złocistym blaskiem jej profil. Wyglądała wyzywająco, a jednocześnie jakoś tak niewinnie. Wypełniła go nieoczekiwana fala rozczulenia. Była inna niż reszta dziewczyn. Niż Pati i wszystkie pozostałe. Nie wiadomo dlaczego, ale nie można jej było potraktować w kategoriach smakowitego ciacha na jeden wieczór. Ujął w dłonie jej szczupłe policzki i odcisnął na wargach najdelikatniejszy pod słońcem pocałunek.

Serce waliło jej jak opętane, ale wiedziała, że jest gotowa na więcej, że pragnie dostać to, o czym marzyła od początku. Po to tu przyszła. Po to zaryzykowała. Ponownie zetknęli się wargami - wciąż jeszcze lekliwie, ledwo co, czujni i gotowi na odwrót. Podczas gdy ich usta dopiero się poznawały, oswojone dłonie przemierzały obce sobie ciała. Jego palce wędrowały po Ewinych ramionach, budząc do życia stada kłujących mrówek, a jej zaognione opuszki zwiedzały mocny kark Roberta i szyję żłobioną szlakami wypukłych żył. Pierwsze zasieki zostały przerwane.

Robert, choć podniecony, znacznie mocniej przeżywał to zbliżenie w sferze pozaseksualnej. Każde zetknięcie ciał, spięcie na granicy skóry ścisnęło bolesnym skurczem dudniące pospiesznie serce. Może właśnie teraz szczególnie potrzebował poczucia bliskości, czułości, świadomości, że ktoś chce być blisko niego, ot, tak. Bez konkretnego zamiaru ani żądania. Ewa przeciwnie - zmęczona przesłodzoną czułościowością Gruszki cieszyła się z pokonania najtrudniejszej bariery i huraganowa chmura pożądania wrzała w niej coraz odważniejszymi gestami i posunięciami. Śmiało wędrowała po jego ciele, wyczuwając pod warstwami materiału to, co powinno już być nabrzmiałe. I było. To

oznaczało podniesienie szlabanu. Rozpięła zamek bluzy i pozwoliła swoim drobnym sutkom wyskoczyć spod bawełnianej koszulki. Objął je ustami - nie drapieźnie ani samczo, ale miękko, jakby się obawiał, że może tym słodkim maleństwom uczynić krzywdę. Jęknęła cicho, mimo że w myślach krzyczała o więcej. Ale dzikość i namiętność ruszyły już w niej galopem. Zsunęła spodnie. Robertowi zdało się, że w jej źrenicach zapłonęło piekło. Wcisnęła mu w spodnie dłoń i chwyciła mocno. Skrzywił się z bólu. W tym świetle jej włosy również iskrzyły się ogniem. Położył się na wznak. Nie, to ona rzuciła go o ziemię i usiadła na nim okrakiem. Dotykał jej krągłości, aż jej zęby błysnęły w rażącym uśmiechu zadowolenia. Maltretowała go szybkimi, agresywnymi ruchami, co i rusz pochylając się nad nim, parzyła oddechem jego szyję i wkręcała się językiem w zdumione, półotwarte usta. Gryzła go. Krwawo. Słyszał wydobywający się z jej krtani stłumiony diabelski chichot. Robiła mu siniaki i draśnięciami znakowała jego ciało. Niespodziewanie spostrzegł, że jej paznokcie zaczynają rosnąć i w ciągu sekund przeobrażają się w tygrysie szpony - zakręcone i wyostrome na końcach. Raniły głęboko, wżynając się w ciało aż do kości. W mózgu usłyszał przenikliwe skrobanie. Lizała go po szyi, czuł, jak mokra, cudza wydzielina zaczyna go oblepiać. Jej przyspieszony oddech przeradzał się w sapanie, charczenie wyglodniałego agresywnego zwierzęcia. Miała go w swoich pazurach. Jednym zgnieceniem mogła wycisnąć z niego wszystkie soki, wywalić na wierzch wnętrzości, sprawić, że mózg i trzewia wypłyną wszystkimi możliwymi otworami. Zaśmiała się. Jej podniebnie nie było czarne jak smoła. Przycisnęła go do siebie, aż poczuł na klatce świdrujący ból, który zadawały mu jej ostro nabrzmiałe sutki. Wepchnęła sobie jego dłoń między uda. Dotkliwe gorąco oblepiło skórę. Mokra jama wchłaniała jego rękę. Po nadgarstek, po łokieć.

Wciągało, zasysało i jeszcze chwila, a cały on zostanie pożarty przez tę dziurę bez dna. Ciemną, moką, duszną cierpkim zapachem jaskinię śmierci.

- Puść! Cholera!

Robert wyjął zdrętwiałą rękę z jej krocza i agresywnym gestem uwolnił się z krępujących objęć. Osłupiała Ewa zamarła z półotwartymi ustami.

- Odczep się, idiotko!

Chwyciwszy dziewczynę za szyję, odepchnął ją i szybkim ruchem podniósł się, aby usiąść.

- Ej, co robisz?! - Ewa w zdumieniu obciągnęła koszulkę i jednym pociągnięciem zasunęła zamek bluzy. - Co jest z tobą?!

Pozostawione w nieładzie kosmyki włosów opadały jej na czoło, zaróżowione policzki dopiero stygły w popłochu i tylko usta, jeszcze przed chwilą pęczniejące pożądaniem, drżały teraz nerwowo, zdradzając prawdziwe uczucia.

- Jesteś taka jak wszystkie - wycedził Błękit z wściekłością. Nie patrzył na nią, zaabsorbowany porządkowaniem garderoby.

- Słucham?! - Ewa zacisnęła pięści, powstrzymując chęć wyładowania oburzenia na jego ordynarnej gębie. - Nie chciałeś tego? Ja pierdolę, a twoje aluzje, podjazdy, zapraszające gesty?

- Nie przypuszczałem, że zachowasz się tak pospolicie i od razu rozłożysz nogi.

Był zimny jak arktyczny wiatr. Krzty zrozumienia, odrobiny ciepła, strzępka humanizmu. Nie było w nim nic.

- Boże, jak ja ciebie nienawidzę. Za Kratkę, za siebie i za wszystkie inne kobiety, które zraniłeś i jeszcze zranisz. Jesteś podłym chujem! Boże. - Ewie napłynęły łzy bezsilności. Zacisnęła szczęki. - Gardzę tobą. Sobą też.

Robert wzruszył ramionami, a ona wróciła do namiotu. Kątem oka widział jej smukłe, sarnie nogi, które unosiły chudy, przygarbiony tułów. Co też mu strzeliło do głowy?

Tęsknota to fizyczny ból. Silny tępy ucisk, rodzaj skurczu, który obejmuje żołądek i klatkę piersiową. To uczucie, jakby ktoś wyłamał żebra i wpakował do środka rękę, a potem mocno ścisnął serce. Tęsknota boli naprawdę. Zadaje cierpienie ciału. To najpierw. Potem ból przesuwają się w sferę myśli. Dominuje je. Obrazy i wyobrażenia, które przetaczają się przez umysł, zostają zdominowane przez jednorodną wizję - przedmiot tęsknoty. Na koniec porażenie tęsknotą atakuje poziom odczuwania. Totalny paraliż. Irracjonalny smutek. Niechęć do wszystkiego, co nie wiąże się z obiektem tęsknoty. Bezsens życia, brak motywacji, aby wstawać z łóżka. To stan, w którym nic nie cieszy, nic nie angażuje. Przyszłość jawi się jałowo, teraźniejszość jest koszmarem. Dla takiej tęsknoty tylko sen może być ratunkiem. Tylko tam projekcje marzeń stają się realne i rzeczywiste. Sen tęsknotę nasyci. Sen jako jedyny przynosi ulgę i zapomnienie. Sen zbawia. Sen to uniwersalne lekarstwo na palącą tęsknotę.

Kaśka i Krzysztof tęsknili do siebie, Ewa tęskniła do Roberta, Robert tęsknił za Sofią, Gruszka tęsknił za Ewą, Pati, śpiąca pod gałęzią rozłożystego krzaku, tęskniła za komfortem domu.

Każda z tych tęsknot była tęsknotą samotną, tragiczną i tej jednej nocy całkowicie niezaspokojoną...

VII
DZIEŃ SZÓSTY

Jak nigdy wcześniej, wszyscy wstali już o świcie - bez ociągania, marudzenia, zrzucania na siebie roboty. Spakowano się i zwinięto namioty wyjątkowo sprawnie, w milczeniu zjedzono naprędce przygotowany posiłek i wyruszono na przystanek autobusowy.

Wracali do domu.

Robert z Krzychem w milczeniu szli przodem. Żaden z nich nie darowałby sobie, gdyby dziś nie zdążyli wyjechać i musieliby gnić w tej wiosce kolejną dobę. Za nimi kroczył Gruszka, brzdąkając coś na przewieszanej przez ramię gitarze, a gdzieś na końcu niespiesznie dreptały dziewczyny. Jak zwykle pogrążone w rozmowie. Próbujące zagadać ból, zmęczenie i złość.

- Kiedy tylko dotrzemy do jakiejś cywilizacji, kupię sobie największego i najbardziej kalorycznego fast fooda - rozmarzyła się Kasia, która zawsze walczyła z nadwagą i nieustannie wypróbowywała nowe diety.

- A ja - Ewa wyrwała się z zamyślenia - zapiszę się wreszcie do biblioteki i zacznę czytać. Dużo, regularnie i ambitnie.

- Ciekawe, czym będziesz się sugerowała w wyborze lektur?

- Wydawnictwem, oczywiście - zaśmiała się Ewa. - Szerokim łukiem ominę serie typu Literatura na Obcasach i może wreszcie ugryzę bardziej ambitną, niskonakładową literaturę z zamiarem przebrnięcia przez najtrudniejsze pozycje.

- Podstawa to zacząć. To tak jak jazz. Najpierw wydaje ci się jazgotem, potem zaczynasz słyszeć instrumenty, aż wreszcie łapiesz rytm, czujesz melodię i nawet nie wiesz kiedy, twoje ciało podryguje w takt muzyki. Tej samej, która

jeszcze niedawno była nie do zniesienia i wywoływała gęsią skórę.

- Chyba coś w tym jest. - Ewa zaśmiała się. - A powiedz mi - przystanęła i spojrzała badawczo na Kaśkę - jakie podjęłaś postanowienia w sprawach sercowych?

- Jak tylko przyjadę, zaloguję się w portalu randkowym.

- Chyba żartujesz?!

- Nie, wcale nie. Nigdy tego nie próbowałam, a opinie są podzielone. Wielu moich znajomych nawiązało całkiem trwałe i sensowne znajomości.

- Rozmawiacie o znajomościach z netu? - zwabiony rozmową Gruszka, dołączył do dziewczyn, ciekaw ich zdania na ten temat, ale one potraktowały go zdawkowym uśmiechem i kontynuowały. Szedł więc obok nich w milczeniu, podrzucając kolejny znaleziony okaz skalny.

- Nie wątpię w to, że w sieci są wartościowi ludzie - sprostowała Ewa - ale po pierwsze, giną w gąszczu żonatych, znudzonych i zblazowanych kochasi szukających przygód, a po drugie, ja osobiście nie potrafię się zaangażować w wirtualną relację. Śmieszą mnie papierowe wyznania, tęsknoty, maile pełne czułych słów.

- Miałaś tego typu doświadczenia? - zainteresowała się Kaśka, machinalnie obserwując podrzucany przez Gruszkę kamień.

- Był jeden koleś całkiem niedawno. - Ewa zrobiła pauzę, aby mieć czas na zrekonstruowanie tamtej historii. Kaśka milczała wyczekująco, a Gruszkowy kamień prawie zawisł w powietrzu. Nie. Jednak upadł. I ukrył się w mocno zaciśniętych palcach chłopaka. Czyżby odczuwał zazdrość? - Fajnie nam się rozmawiało, potrafił stworzyć klimat, te same zainteresowania, światopogląd - wszystko super, ale ja nie traktowałam go poważnie i kiedy zauważyłam, że chłopak się angażuje, zamiast od razu go odstawić, zaczęłam z nim grać.

Słodkie słówka, obietnice, deklaracje. Bawiło mnie to. Szczególnie że czułam, iż z jego strony jest to serio. Więcej. Bywałam zaborcza i zazdrosna, robiłam mu sceny, kiedy zbyt długo milczał, a w duchu śmiałam się ze wszystkiego. Jakbym pisała film albo książkę. Wszystko było dla mnie grą, niewinną manipulacją.

Gruszka zwolnił kroku. Zrobiło mu się niedobrze, jakby jakaś łapa ścisnęła go za żołądek i wkręcała mu w brzuch śrubę. To przecież niemożliwe. Los nie bywa aż tak ironiczny i szyderczy. Zwykła nadinterpretacja z jego strony. To nie film przecież. Szedł za nimi. Na tyle blisko, aby słyszeć, i na tyle daleko, aby im się nie rzucać w oczy. Jak szpieg - torturowany domysłami, idiotycznymi wizjami, które przypalały go do żywego.

- Najgorsze, że z każdym dniem - ciągnęła swą opowieść Ewa - oboje wchodziliśmy w to coraz głębiej - on uczuciowo, ja wcielona w moją życiową rolę. Wreszcie dotarliśmy do momentu, kiedy należało się spotkać w realu. I wtedy jak z nieba spadła na mnie nieoczekiwana propozycja wyjazdu zarobkowego do Anglii.

- I co? Nie spotkaliście się? - Kaśkę zżerała ciekawość.

Gruszka przystanął. Wczorajsza kolacja podeszła mu do gardła. Zatrzymał się, próbując pohamować wstrząsające całym tułowiem konwulsje. Na próżno. Czerwonawa breja wielkim chlustem wystrzeliła mu z ust. Pluł wymiocinami, pospiesznie ocierając usta. Ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. Dziewczyny, pogrążone w swoich opowieściach, oddaliły się wystarczająco, aby nie mógł ich już słyszeć. Było mu zimno i słabo. Nie było żadnych wątpliwości. To ona. Ta sama. Jedna o dwóch twarzach. Nie był na nią nawet zły. Po prostu bolało. Bo kiedy mit niespodziewanie runie, kiedy budowla, którą obarczamy nadziejami i złudzeniami, w jednej chwili zamienia się w gruz, wtedy nie ma już nic, oprócz

poczucia totalnej jałowości. I już nic nie jest takie jak przedtem.

Nie usłyszał końca tej historii, ale przecież znał ją wystarczająco dobrze, aby dopowiedzieć sobie resztę. Teraz swoje pięć minut miał on. Poprawił szelki plecaka i ruszył, aby dogonić resztę. W drodze ćwiczył uśmiech i pogodny wyraz twarzy. Swoją rolę do końca wyjazdu. Potem zamknął się w pracowni. Potem wykreślił, co trzeba. Nie bez trudu.

Złapał ich dopiero przy przystanku. Pakowali się do rozklekotanego autobusu, charczącego z wysiłkiem wieloletniego schorowanego staruszka. Stał na końcu kolejki i przepuściwszy wszystkie babuleńki z tobołami, cierpliwie czekał na swoją kolej. Mocne dudnienie od wewnątrz w szybę ściągnęło jego wzrok. Przyklejona twarzą do okna Ewa stroiła do niego miny i na migi pokazywała, że ma dla niego miejsce. Rozciągnął usta w uśmiechu godnym Eddiego Murphy'ego i przesłał jej całusa.

Wracali do domu. Wyciszeni, zajęci własnymi myślami, sporządzający prywatny rachunek zysków i strat, bilans przeżyć, repetytorium z odbytych lekcji. Każdy z osobna. W środku własnego "ja".

Ewa tuliła się do Gruszki jak nigdy przedtem, a jego wzrok unosił się gdzieś ponad jej głową.

Za oknem przesuwwały się zielone krajobrazy Ukrainy, żyzne pola takie same jak zawsze o tej porze lata, stare sypiące się chaty, w których ktoś się rodził, ktoś inny umierał, leniwe krowy, butwiejące zagrody, żółknące już korony drzew. Przesuwało się również niebo załatanie kłębiastymi obłokami, słońce od tysiącleci spoglądające z wysokości na tę ziemską marność oraz szybujące powolnie i majestatycznie ptaki. Nic się nie działo. Świat istniał niezmiennie, według identycznych prawideł jak wczoraj, tydzień temu, rok czy wiek. Wracali do domu.

Wracali do domu z sanatorium masek, z nieoczekiwanego pobytu w klinice kukieł. Gruszka już wiedział, kogo wyrzeźbi po powrocie. Może wtedy zrozumie, co znaczy być wydrążoną w środku, pustą lalką.